

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 10 (1458) ROK XXIX

8 MARCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Cuda i niepokoje w gospodarce
- Grzebać czy spopielać?
- Havana libre
- Ilia Erenburg o wojnie w Hiszpanii

Piekło pięknych kobiet

EDWARD PAŁCZYŃSKI

Bohaterka opowiadania, Marta L., mieszkała w dzieciństwie nad samym morzem. Posiadłość rodziców otoczona była wysokim na ponad dwa metry murem. Marta, kiedy nie wypuszczano jej z ogrodu, lubiła wdrapywać się ukradkiem na kamienny mur i obserwować stamtąd morze oraz przebieg drogi na pobliskiej drodze. Później, choć mogła już swobodnie wychodzić, nadal z przyzwyczajenia spędzała czas na murze.

Pewnego dnia — miała wówczas piętnaście lub więcej lat — jak zwykle usiadła w ulubionym miejscu. Jedną nogą podciągnęła do góry, aż poczuła zimny powiew na udzie powyżej pończochy. Zapatrzona w dół nie zwracała uwagi na drogę. Dopiero po jakimś czasie spostrzegła, że przygląda jej się stary Matija. Ten bezdomny, lecz pracowity i dobroniosny dziwak, stał przed nią jak urzeczony. Pochylił się i zdjął czapkę, a oczy świeciły mu nie-zwykłym blaskiem.

Zaskoczona Marta w pierwszym odruchu opuściła nogę, ale po chwili wróciła do pierwotnej pozycji. Pokonując wstyd, podniosła kolano coraz wyżej, tak że dotknęło brody. A stary człowiek wyprost i zasławił w uniesieniu. Zdawało się, że stoi przed kapliczką przydrożną. Na koniec, zanim piękna i młoda dziewczyna zdążyła zniknąć w ogrodzie, Matija powiedział: „Dziękuję, si-

gnorina!“. Potem ruszył dalej, lecz po chwili odwrócił się i jeszcze raz podziękował.

Mineło parę lat. Marta dorosła i wyszła za mąż. I któregoś dnia powiadomiono ją, że w straszliwej nędzy zmarł pocztowy Matija. Ludziom zbierającym datki na jego pogrzeb otarowała pieniądze oraz nową, białą koszulę męża.

Zycie Marty miało okazać się burzliwe i bogate w wydarzenia. Wkrótce rozwiodła się i wyjechała z rodzinnej miejscowości. Następnie powtórnie wyszła za mąż, lecz i ten związek był krótkotrwały i bez większego znaczenia. Później przyszła wielka miłość do „prawdziwego człowieka“, która trwała dziesięć lat. I w końcu nasza bohaterka zrobiła karierę jako śpiewaczka operowa.

Była kobietą piękną i wytworną. Cieszyła się znakomitą kondycją i taką kondycją, że nawet nie czuła swego ciała, ani nie miała potrzeby o nim myśleć lub mówić. Wszysko jednak do czasu. Kiedyś — trudno ustalić dokładny moment — gdy przekroczyła już czterdzieści lat, dostrzegła w sobie i na sobie pierwsze symptomy starzenia się... Początkowo potraktowała wszystko jak zły sen, jako rzecz przykra, lecz niewiarygodną. Niestety, okropne zmiany narastały i umacniały się z każdym rokiem. Ogarnęło ją przerażenie. Studiowała uważnie jak mapę

4

Foto: Grzegorz Galasiński

1.

...nie jest ważne, słysząc tylko muzykę, tańczy mózg, a ciało nie tańczy, odpływa ciutko, jest dobrze, pusta strzykawka wpada w błoto, pal ją łyko, buri świat rozmywa się we mgle, mgła pachnie kasztanami, może macielka, jest dobrze, nie licysz głupich lat, nie licysz głupiej forsy, nie masz problemów z dziurawym butem i noża jutrzeńki na gardle, chemia załatwia bezboleśnie, ciało dostaje kopa i trafia w pustkę, gdzie nie ma krzyku, płaczu, mamony i gwiazdnych wojen, teraz już nie ci nie robią, nie boisz się, nie boisz — bo w twoich żyłach płynie kompot...

A potem jest przebudzenie. Poranna trzęsawka. Świdrujący ból rozsada czaszkę. Gniące bebechy podchodzą do gardła. Charczysz, zipsiesz, robisz pod siebie, bo nie wiesz czy żyjesz, jeszcze. Żyjesz. Hej, twoja małpa wyłazi z ciebie i szczerzy pruszące zęby. Hej, żyjesz, otwieraj oczy, rusz się, idź. To ja, strach, galopujący strach. Głód, ssawa. Co z tobą będzie, jeśli nie zadbasz o swoją „działkę“. Głód, ssawa. — Nie ma nic gorszego, niż obudzenie się na głodzie o piątej rano.

Jest siódma rano. Ludzkie meduzy: przezroczyste kościotrupy powleczone workami żółtej skóry wylażą na Piotrkowską, na Manhattan, w Pasaż. Pełzną ku znajomym bramom, po omacku. Pełzną wiedzione narkotycznym głodem, który nie daje się oszukać ani przekupić — jak ludzie. Nie mają pojęcia czy jest zima, lato, czy może wczoraj walnęła bomba, kładąc kres temu parzywemu światu. Głód — leżą na smyczy głodu, posłusznie. Ludzkie cienie wtaczają się na studienne podwórka, gdzie nierówno od-

dychają inne cienie. Osuwają się po murach skropionych moczem i śliną, która sama cieknie z bezzębnych ust. — Skóra ćpuna umiera z przedawkowania czasu — powiedział jeden ćpun. Ale tamci go nie słyszą. Siedzą w kukli i drżącymi łapami podtrzymują swoje wirujące bebechy. Gapią się na czubki własnych rozciapanych butów, jak na pepek globu. A może wcale

ROMAN KUBIAK

Witaj zaćpany dniu

nie gapią się na czubki butów, tylko gdzieś, tam, zawieszają ślepy wzrok. Tam.

Jest siódma rano. Za szybami kipł mleko, jakiś dzieciak płaczem ogłasza swoje przebudzenie. Czyjes obcasy wystukują rytm ulicy: do pracy, do szkoły, do sklepu... Do życia. — Życie jest jak guzik — powiedział jeden ćpun. — Kiedy się oberwie, zostaje jeszcze petelka. — ...nie ma Boga, nie ma miłości, nie ma kwiatów. Jest głód. Głodna małpa chwytą za gardło. Szepec:

- Hej!
- Masz coś
- Masz centa
- Masz co zagrzać
- Masz kompot
- Masz koks

Witaj dniu. Witaj zaćpany dniu.

2.

- Chcesz, pokażę ci Piotrkowską jakiej nie znasz. Pokażę ci ulicę ze snu wariata. Chcesz?
- ...
- Gównu prawda. Gdybyś chciał, mógłbyś to

3.

Manhattan. Mówią: aleja zaćpanych. Wygląda tak: rzędy ławek na betonowych podstawach, za nimi wysoki mur, przed nimi wysoki mur. Betonowe bloki, małe okienka. Nic nie widać: z góry, z ulicy, z boku. Serce miasta. Tędy chodziło się do „Centralu“. Ale już się nie chadza. Tutaj siedzą, leżą, kłęczą ludzie. Chyba młodzi. I chyba nie pijacy. Lecz jacyś tacy inni: ciem-

ni, brudni, zamuleni... dzicy. Wszyscyśmy ulepieni z tej samej gliny — powiedział jeden ćpun — ale w różnych wypaleniu piecach.

Witaj tedy już się nie chadza — aleja zaćpanych. Aleja pompek, szpilek, kompotu. Przepraszam, aleja strzykawek, igieł, polskiej heroiny. Aleja ćpunów. Przepraszam, aleja narkomanów. Po prostu nie chadza się.

I nie wychodzi się. Stąd się już nie wychodzi. Albo raz jeden. Tylko nekrologi — powiedział jeden ćpun — są nadzieją, że można rzucić ćpanie.

Ławka. Szara, wysmagana deszczem i tępym kozikiem. Trzecia albo czwarta od lewej. Może piąta. Nikt już nie pamięta Adama. Chyba tylko ta ławka. Nikt nie pamięta. Marek, Bogdan, Ewka...

— Hej, masz coś?
— Mam siedemnaście lat.
— Odpieprz się ze swoją litością.
... ty jesteś silny, umiesz dźwigać kamienie. Ty umiesz czytać gazetę i umiesz liczyć sprawnie. Ty wiesz, co znaczy kupić i wiesz co znaczy sprzedać, a kłębina w twojej dłoni zatacza zgrabne ruchy. Ty wiesz, gdzie wszelkie granice, gdzie miejsce i czas, by odkryć głowę. Życie to umiejętność — a ja nie potrafię utrzymać języki.

4.

Tutaj jest apteka. Pod apteką spotykały się pierwsze ćpuny. To było dawno: może dziesięć, może osiem lat temu. Ćpun nie liczy czasu. Wtedy prochy dostawało się na zwykłą receptę.

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błaziejewski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Małka, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Jerzy Panasewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 98.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch”, Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla
instytucji i zakładów pracy:
— zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli. 2. dla indywidualnych
prenumeratorów: osoby fizyczne
zamieszkałe na wsi i w miejsco-
wościach, gdzie nie ma od-
działów RSW „Prasa — Książka
— Ruch” opłacają prenume-
ratę w urzędach pocztowych i
u doręczyteli: osoby fizyczne
zamieszkałe w miastach — sie-
dziłach Oddziałów RSW „Prasa
— Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używa-
jąc „blankietu wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego
Oddziału RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” 3. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
przyjmuje RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Centrala Kol-
portażu Prasy i Wydawnictw,
ul. Towarowa 28. 00-958 War-
szawa konto NBP XV Oddział
w Warszawie nr 1153-201045-
139-11. Prenumeratę ze zlece-
niem wysyłki za granicę pocztą
zwykłą jest droższa od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających in-
stytucji i zakładów pracy. Ter-
miny przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprze-
dzającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 581. B-2

2 ODGŁOSY

Przez sześć godzin prezentował Michał Gor-
baczow referat polityczny Komitetu Central-
nego na XXVII Zjazd KPZR. Pełny tekst o-
publikowany w „Trybunie Ludu” (nr 48 i 49)
zajął osiem i pół strony. Jest to więc mate-
riał ogromny, który wymaga długich i uważ-
nych studiów. Po pierwszym czytaniu można
przedstawić tylko ogólne wrażenie i niektóre
ważniejsze tezy.

Co przede wszystkim zwraca uwagę? Otóż
mało miejsca poświęcono osiągnięciom, a skon-
centrowano się na analizie rzeczywistości,
wskazaniu zjawisk negatywnych oraz wyty-
czeniu pilnych i perspektywicznych zadań. Już
w części wstępnej referent stwierdził, że z
przyczyn głównie subiektywnych pojawiły się
niepomyślne tendencje w gospodarce i w sfe-
rze społeczno-duchowej. „Problemy w rozwo-
ju kraju — mówił — narastały szybciej niż
były rozwiązywane. Inercja, skostnienie form
i metod zarządzania, obniżenie dynamiki w
pracy, narastanie biurokratyzmu — wszystko to
wyrządzało spore szkody sprawie. W życiu spo-
łeczeństwa zaczęły zarysowywać się zjawiska
stagnacji.”

Zaistniała sytuacja wewnętrzna i międzyna-
rodowa powoduje konieczność przyspiesze-
nia rozwoju socjalno-ekonomicznego. W tym
celu jednak trzeba radykalnie zmienić sposo-
by myślenia i działania. Kierując się zasada-
mi marksizmu-leninizmu, nie wolno traktować
teorii jako zestawu „skostniałych schematów
i recept, przydatnych wszędzie i na
wszystkie okazje.” Aktualny etap procesu
historycznego wymaga nowatorstwa i zerwa-
nia z przestarzałymi wyobrażeniami. Należy do-
stosować styl i metody pracy do nowych wa-
runków.

Rozwój współczesnego świata kształtują czte-
ry zasadnicze grupy sprzeczności: między pa-
ństwami należącymi do dwóch odmiennych sys-
temów i formacji; sprzeczności zachodzące w
lonie kapitalizmu oraz imperializmu; między
imperializmem a krajami i narodami rozwija-
jącymi się; sprzeczności globalne dotyczące
podstaw istnienia cywilizacji (potrzeba ochrony
środowiska naturalnego, zagrożenie pokoju,
problem zubożenia kultury przez wartości ka-
pitalistyczne). Michał Gorbaczow podkreślił, że
hańba dla cywilizowanej ludzkości jest fakt
istnienia biednych i zafobanych krajów, w któ-
rych żyje ponad 2 miliardy ludzi. Dzieje się
tak z winy imperializmu. Imperializm — zda-
niem mówcy — staje się „najbardziej potwór-
nym i niebezpiecznym monstrum XX wieku.”
Wskutek jego wysiłków najbardziej postępowa
myśl naukowo-techniczna przeistacza się w
broń masowej zagłady.”

Kluczem do rozwiązania wszystkich prob-
lemów ZSRR — wewnętrznych i zewnętrznych
— ma być przyspieszenie rozwoju społeczno-
gospodarczego.

Przegląd prasy

Odbyły niedawno zjazd
Związku Literatów Polskich
spowodował spore zaintereso-
wanie sprawami literatury, jej
rolą i miejsca w życiu współ-
czesnego społeczeństwa. Zasta-
nawiam się tylko, na ile jest to
zainteresowanie trwałe, wyni-
kające z faktu, że nie może
być prawidłowego rozwoju spo-
łeczeństwa bez jednoczesnego
rozwoju literatury, jako części
kultury tego społeczeństwa, a
na ile jest to zainteresowanie
okazjonalne. Był zjazd, to tre-
ba pisać o literaturze i litera-
tach. Tym bardziej, że w tym
środowisku dzieją się różne
dziwne rzeczy, a w każdym ra-
zie toczy się ostra walka poli-
tyczna, która wywiera swój
wpływ na współczesną litera-
turę. Nie przypadkiem na kon-
ferencji prasowej po zjeździe
korespondent „New York Ti-
mesa” zapytał o dwa nurtu wy-
stępujące w polskiej literatu-
rze: ten oficjalny i ten nieofic-
jalny, zwany też „drugim o-
biegiem”.

Jak zrelacjonowało to „ZY-
CIE WARSZAWY” (nr 50 z 28
lutego 1986 roku) Jerzy Jęsto-
nowski tak na to pytanie odpo-
wiedział: — „Każdy może zło-
żyć książkę w wydawnictwie,
ale nie każda może się ukazać,
bo nie wszystkie są tego
warte. Dzieła z tej nieoficjal-
nej literatury są zazwyczaj
klepskie”. A Wojciech Zukrow-
ski dodał do tego: — „Doraźne
służenie każdemu etapowi za-
wsze dla pisarza kończy się fa-
talnie”.

gospodarczego. W przeszłości spora na ten
temat dyskutowano, lecz nie podejmowano
odpowiednich działań. Z minionych doświad-
czeń wynikają trzy istotne wnioski: po pierw-
sze — trzeba mówić prawdę i nie bać się u-
jawiania procesów negatywnych; po drugie —
nie można ograniczać się do połowicznych
środków, lecz należy działać śmiało i zdecy-
dowanie; po trzecie — powodzenie sprawy w
decydującym stopniu zależy od świadomej
aktywności mas, od dyscypliny, organizacji i
odpowiedzialności.

W gospodarce musi nastąpić radykalna refor-
ma całego systemu funkcjonowania. Przewi-
duje się: zmiana roli centrum (zwiększenie
funkcji strategicznych i wyeliminowanie in-
gerencji o charakterze operatywnym), wzrost sa-
modzielności zjednoczeń i przedsiębiorstw (roz-
wój gospodarki).

W gospodarce musi nastąpić radykalna refor-
ma całego systemu funkcjonowania. Przewi-
duje się: zmiana roli centrum (zwiększenie
funkcji strategicznych i wyeliminowanie in-
gerencji o charakterze operatywnym), wzrost sa-
modzielności zjednoczeń i przedsiębiorstw (roz-
wój gospodarki).

W ciągu najbliższych 15 lat zakłada się
wzrost o 60-80 proc. dochodów realnych na
jednego mieszkańca. W tym samym czasie ma
zostać rozwiązany problem mieszkaniowy: każ-
da rodzina powinna posiadać osobne mieszka-
nie lub dom. Ale planowany wzrost dobrobytu
nie będzie możliwy bez lepszej i wydajniej-
szej pracy, a ta z kolei nie będzie możliwa bez
nowoczesnej techniki i organizacji.

Ambitne cele i zadania społeczno-gospodarcze
stawiają szczególnie wysokie wymagania par-
tii. Do KPZR należy ponad 19 mln osób, czy-
li 9,5 proc. dorosłej ludności Związku Radziec-
kiego. Wśród ogółu członków i kandydatów ro-
botnicy stanowią 44 proc., kobiety — 28 proc.,
młodzież (do 30 lat) — 18 proc., starzy (ponad
60 lat) — 15 procent.

E. L.

Prezes ZG ZLP — W. Żu-
kowski — w wywiadzie dla
„EXPRESSU WIECZORNEGO”
(nr 41 z 28 lutego 1986 roku)
miał do powiedzenia: — „To we-
le nie oznacza, że literatura ma
być agitką, czy ściśle wiązać
się z etapem. Ma być
akuteczna, a jej artystyczna
doskonałość powinna ją
kwalifikować na trwałe. Tego
wymaga czas. Nasze zobowią-
zania wobec narodu, sąsiadów
mają się realizować poprzez
twórczość i dzieło, żeby zostało
w skarbcu dla przyszłych po-
koleń”. Czytelnik bowiem ocze-
kuje literatury współczesnej,
podejmującej te problemy, któ-
re go nurtują, interesują, zmu-
szają do zajmowania takiego
czy innego stanowiska. Szuka
niejako pomocy w literaturze,
potwierdzenia lub sprzeciwu
wobec tego, jak on rozumie
współczesność.

Gdy bierze się pod uwagę
takie wyniki socjologiczne
przecież ankiety, to zupełnie
zastanawiające brzmią słowa
jednego z dyskutantów na
zjeździe ZLP, który powiedział,
a sprawozdawca PAP przekazał,
że „zwrócił uwagę na ob-
niżenie się poziomu wielu pe-
riodyków, których redaktorzy
to pogoni za czytelnikami prze-
stali dbać o treść artystyczną
i intelektualną”. Boję się, że
autor tych słów — jeśli je
sprawozdawca PAP dobrze zre-
lacionował — bierze swoje na-
rzeczenia i pragnienia za rzeczy-
wistość, a nie stara się kon-
frontować je z rzeczywistością.
Niedawno w „Ogłosach” o-
publikowaliśmy wyniki ankiety
również socjologicznej prze-
prowadzonej wśród 300 studentów
UL, a więc wśród przyszłej
Inteligencji. Przypomnę tylko,
że najwięcej, bo 32 proc. an-
kietowanych czyta „Przekrój”,
tylko 3 proc. „Przegląd Tygod-
niowy”, któremu trudno zarzu-
cić niski poziom. W ogóle nie
czyta pism 22 proc. studentów
UL. O co więc chodzi? O ucze-
nie ludzi czytania, w sensie
wyrabiania u nich odpowied-
nich nawyków, czy też o troskę
o wysoki poziom pism, które
nie będą miały czytelników.
Znam kilka takich tytułów.
O czym więc była mowa? O
marzeniach — przyznam szczer-
nie — czy o codziennej rze-
czywistości, jakże dalekiej od
ideału?

Byłbym więc szczęśliwy, gdy-
by dyskusja o literaturze, jej
roli, stanie i przyszłości nie
skończyła się wraz z obradami
zjazdu ZLP.

LUCJAN BOGUSZ

Byłbym więc szczęśliwy, gdy-
by dyskusja o literaturze, jej
roli, stanie i przyszłości nie
skończyła się wraz z obradami
zjazdu ZLP.

NA WŁASNY RACHUNEK

Cena czasu

Przeżywamy w tych dniach i tygodniach w naszej części globu
odczuwalne zagęszczenie wydarzeń politycznych o największym
znaczeniu. Mam na myśli zarówno Projekt programu PZPR
otwierający kampanię przed X Zjazdem naszej partii, jak i o-
publikowane już u nas materiały ostatniego XXVII Zjazdu partii
radzieckiej.

Oczywiście, nie wszyscy „przeżywają”, nie wszyscy bowiem
zdają sobie sprawę z ważności tych spraw, znajdują się zawsze
i wszędzie tacy, co nie odróżniają rzeczy ważkich od błahych,
a i takich zwykle nie brak, do których ledwie dociera, że
gdzieś tam dzwonią, ale nie wiadomo, w którym kościele. I
jest w tym rozróżnie postaw i zainteresowań pewną prawidło-
wość, gdyż daleko jeszcze nam do czasów, kiedy na polityce
będą się znali nawet kucharki...

Jeśli się porównuje tezy naszego programu przedzjazdowego
z tezami obecných dokumentów zjazdowych radzieckiej partii
trudno oprzeć się wrażeniu, że bardzo silny akcent położono
tym razem i tu, i tam, na stwierdzeniu, iż socjalizm, walcząc
— jak to się mówi — o serca i umysły ludzi nie może poprze-
stać na teoretycznym tylko wykazywaniu swojej społecznej i
moralnej przewagi nad ustrojem kapitalistycznym, lecz powin-
nie to udowadniać stałą codzienną praktyką.

Ktoś mógłby odpowiedzieć, że nie w tym właściwie nowego,
że już Lenin (o czym czasami przypominamy) podkreślał konie-
czność uzyskania przez masy pracujące państwa socjalistyczne-
go wyższej wydajności pracy niż w państwach kapitalistycznych,
ale przywykliśmy do i tym podobne stwierdzenia
i nawet apele traktować jako dyrektywy, które zaczyna nas o-
bowiazować w dość nieokreślonej jeszcze przyszłości, dopiero
wtedy, kiedy osiągniemy wystarczająco wysoki poziom ustro-
jowej sprawności. A tymczasem (pocieszamy się w myślach)
dobrze jest jak jest, budujemy przecież nie mało w różnych dzie-
dzinach, szybciej lub wolniej, ale pomnażamy stale ogólny do-
robiek socjalistycznego państwa — od przemysłu po kulturę, a
na tę całokształt konfrontację naszych dokonań i możliwości z
kapitalistycznymi mamy jeszcze jakiś czas.

Otóż właśnie, jak to podkreśla się obecnie i w Związku Ra-
dzieckim, i u nas oraz w innych krajach socjalistycznych, nie
wolno nam oddać marnotrawić żadnej z upływających godzin,
nie wolno liczyć w postępie gospodarczo-społecznym na żaden
automatyzm, że mianowicie pokażą już ilość nagromadzonych
osiągnięć i doświadczeń niejako sama z siebie przeskoczy na-
głe w nową, wyższą jakość organizacji i wydajności pracy. Mu-
simy po prostu w całej rozciągłości przyjąć wyzwanie stawia-
ne całej ludzkości przez rewolucję naukowo-techniczną, urucho-
mić wszystkie drzemające dotąd potencjały, w tym ten najwa-
niejszy, jaki stanowi ludzka świadomość.

Jak wiemy z doświadczeń, nielato jest przebudować men-
talność ludzi, wyzwolić z niej teraz nieustanną gotowość do
działań skutecznych i intensywnych, uwzględniających w peł-
nym rozmiarze rolę czynnika czasu. Nawet w moim, dość
skromnym polu obserwacyjnym szeregowego dziennikarza nie-
trudno dostrzec, że wielu ludzi nieskłonnych lub niezdolnych
jest do wyrzeczenia się dotychczasowego wygodnictwa myślo-
wego, wyjścia poza rutynowe działania.

A tymczasem, jak nam to uświadamiają największe wysta-
wienia Michaiła Gorbaczowa i Wojciecha Jaruzelskiego, nie wol-
no nam głębiej ograniczać się do jałowej kontemplacji, też nau-
kowego socjalizmu w złydmym przeświadczeniu, że ich bezsporna lo-
gika i szlachetne ogólnoludzkie cele pozyskać powinny wszystkich
ludzi dobrej woli dla sprawy marksizmu i budowy nowego u-
stroju. Ludzie bowiem są na ogół pragmatykami, co być może
nie najlepiej świadczy o ich zdolności do racjonalnego myślenia
i o sile ich wyobraźni, ale z tą, powiedzmy, niedoskonałością
ludzkiej postawy należy się bezwzględnie liczyć, nie zawierając
samym tylko oddziaływaniom uświadamiającym.

Ala przede wszystkim, jak sądzę, nie należy ulegać iluzji, że
w świecie, podzielonym między dwa systemy, ustrojowe (z po-
prawką na tzw. trzeci świat) moglibyśmy sobie pozwolić na od-
ręczenie wyzwania rewolucji technicznej i żyć na „wolniejszych
obrotach” poruszając się myślami wyłącznie w wysokich reja-
nach życia duchowego. Pewna podstawowa okoliczność zmusza
nas do maksymalnych wysiłków niemal na każdym polu, a jest
nią nasze elementarne bezpieczeństwo i utrzymywanie w świecie
pokoju.

Toteż nieoczekiwanych rumieńców aktualności nabiera polity-
czna maksyma starożytnych Rzymian: „Periculum in mora”.
Niebezpieczeństwo w zwłoce! Nie mamy już żadnych rezerw
czasu...

JERZY KWIECIŃSKI

ROZSTRZYGNIECIE REGIONALNEGO KONKURSU DZIENNIKARSKIEGO „W ŚRODKU POLSKI — W ŚRODKU ŻYCIA '85”

Powołane przez organizatorów — Łódzki Oddział SD PRL,
Krajową Agencję Wydawniczą Oddział w Łodzi i redakcję ty-
godnika „Odgłosy” — jury w składzie:

Jerzy Panasewicz — przewodniczący, Grzegorz Gazda, Wiesław
Machajko, Henryk Pawlak i Jerzy Wawrzak uznają, że zarówno
ilość jak i różnorodność poziom nadesłanych prac tylko części-
owo spełniły związane z konkursem nadzieje, a potencjalne moż-
liwości twórcze środowisk dziennikarskich makroregionu central-
nego są niepomiaralnie bogatsze.

W tej sytuacji jury postanowiło nie przyznać I nagrody i przy-
znać tylko jedną nagrodę II, zwiększyć natomiast ilość wyróż-
nień, zaś nie wykorzystane kwoty przekazać na fundusz konkur-
su na rok następny.

Po rozstrzygnięciu konkursu otwarte zostały koperty z godia-
mi.

II nagrodę otrzymał tekst „Życie na uwięzi” autorstwa MAR-
KA MAMOSA (godło „Zdrowie”).

Dwie III nagrody otrzymały prace „Topielcy” pió-
ra ROMANA KUBIAKA (godło „Marzec”) oraz „W tej historii
nie ma nic nadzwyczajnego” ANDRZEJA KAROLCZAKA (godło
„Trzydziestka”).

Wyróżnienia uzyskały prace: „Tego się nie da opisać” HA-
LINY BATOROWICZ-SIER (godło „6”), „Róża cuchnących wia-
trów” ANDRZEJA KUCHARCZYKA (godło „Anka”) i „Protokół
z pewnego zebrania” DOROTY OBIENIAK (godło „77”).

Zgodnie z regulaminem również część nie nagrodzonych repor-
taży została przekazana redakcji „Odgłosy” do ewentualnego
wykorzystania.

Łódź, 24 lutego 1986 r.

NR 10 (1458), XXIX, 8 MARCA 1986 R.

Wyniki gospodarcze 1985 roku wzbudziły, w co trudno uwierzyć, liczne namietności w publicystyce prasowej od „Tygodnika Powszechnego” począwszy na „Polityce” skończywszy. Sucha statystyka i namietność — jak to pogodzić? Otóż źródłem polemik prasowych są nie tyle dane statystyczne, co sposób ich prezentacji i wynikające z niego konkluzje, motywowane niekiedy względami natury politycznej. Warto więc spojrzeć chłodnym okiem na obraz gospodarki polskiej Anno Domini 1985.

Komunikat GUS o wynikach gospodarczych osiągniętych w 1985 r. skłania do refleksji, że stan naszej gospodarki odbiega nadal od optimum wyznaczonego przez potencjalne możliwości jej wzrostu i potrzeby społeczne. W wielu przypadkach realizacja zadań gospodarczych i celów społecznych przebiegała pomyślnie, ale zarazem w kilku ważnych dziedzinach założenia planu na rok 1985 nie zostały wykonane, np. w eksporcie do krajów kapitalistycznych, w sferze inwestycji i kształtowania przychodów społeczeństwa. Obok pozytywnych tendencji pojawiły się słabości i dysproporcje w naszej ekonomice. Z tego względu trudno jest sformułować jednoznaczną opinię o ogólnej sytuacji gospodarczej Polski w 1985 roku. Można natomiast podjąć próbę dociekania prawdy o gospodarce 1985 r. na podstawie analizy wyników gospodarczych zanotowanych w poszczególnych fragmentach NPSG na rok 1985.

1. DOCHÓD NARODOWY

Najbardziej syntetyczną miarą wzrostu gospodarczego jest kategoria dochodu narodowego. Wytworzony dochód narodowy (w cenach stałych) wzrósł w porównaniu z 1984 r. o ok. 3 proc. Tempo wzrostu dochodu narodowego było, zgodnie z założeniami planu, niższe niż w 1984 roku, w którym stopa wzrostu wynosiła ponad 5 proc. Należy zaznaczyć, że dochód narodowy wypracowany w 1985 r. był nadal niższy od poziomu osiągniętego w 1979 r. o ok. 10 proc. Natomiast dochód narodowy podzielony (w cenach stałych) wzrósł o ponad 3 proc. Wyższe nieco tempo wzrostu dochodu narodowego podzielonego niż wytworzonego spowodowane zostało szybszym wzrostem importu niż eksportu. W porównaniu z 1979 r. dochód narodowy podzielony był niższy o ok. 14 proc.

W przeliczeniu na jednego mieszkańca dochód narodowy wytworzony wzrósł w porównaniu z 1984 r. o ponad 2 proc., natomiast w porównaniu z 1979 r. był niższy o ponad 14 proc. Dochód narodowy podzielony na jednego mieszkańca był w porównaniu z 1984 r. wyższy o 3 proc., natomiast w porównaniu z 1979 r. był niższy o ok. 18 proc. Przedstawione wskaźniki dobitnie świadczą o długości dystansu, jaki dzieli naszą gospodarkę od poziomu dochodu narodowego z 1979 r. Interpretując owe wskaźniki należy wszelako pamiętać, iż w obecnych warunkach gospodarka praktycznie nie dysponuje możliwościami znacznego przyspieszenia wzrostu gospodarczego. Obecne warunki gospodarowania są zupełnie nieporównywalne z warunkami, które panowały w latach 70-tych. Skończyła się bonanza kredytowa wspomagająca ekspansję inwestycyjną i konsumpcję, zmniejszyło się zatrudnienie w sferze produkcji materialnej, a przyrost naturalny ludności jest znacznie wyższy niż w minionej dekadzie.

Pole manewru w zakresie przyspieszenia wzrostu dochodu narodowego jest obiektywnie mniejsze niż w latach 70-tych. Tym silniejsza jest więc potrzeba sięgnięcia do czynników intensyfikujących wzrost gospodarczy, które drzeźnią w rozwiązaniach technologicznych, organizacyjnych i w sferze motywacji pracowniczych. Wydaje się, iż polska gospodarka wykorzystwała w latach 1982—1985 łwią część tzw. płytkich rezerw ekonomicznych, których uruchomienie nie wymagało radykalnych rozstrzygnięć. Obecnie sytuacja uległa istotnej zmianie i gospodarka narodowa stanęła w obliczu podjęcia koniecznych decyzji, których celem jest lepsze niż dotychczas spożytkowanie sił motorycznych wzrostu dochodu narodowego tkwiących w postępie naukowo-technicznym i organizacyjnym.

2. PRZEMYSŁ

Dynamika produkcji sprzedanej w przemyśle uspołecznionym w roku 1985 wynosiła 103,8 proc. W planie rocznym na 1985 r. założono dynamikę tej produkcji na poziomie 104—104,5 proc. Ogólna wartość sprzedaży w przemyśle nie odbiega więc wiele od dolnej granicy zaplanowanego przedziału. Niedobór jest skutkiem niskiej produkcji w pierwszych dwóch miesiącach 1985 roku. Przypomnieć należy, iż w styczniu i lutym ubiegłego roku produkcja przemysłowa była niższa w porównaniu z analogicznym okresem 1984 r. o 0,8 proc., a już po pierwszym kwartale wyższa o 0,7 proc., po drugim o 2,2 proc., po trzecim o 2,3 proc. Gdyby nie wystąpiło załamanie styczniowo-lutowe, wartość sprzedaży w przemyśle uspołecznionym byłaby w 1985 r. wyższa w porównaniu z 1984 r. o około 4,5 proc., a więc ukształtowałaby się na poziomie górnej granicy zaplanowanego przedziału.

Optymistyczną w gruncie rzeczy wymowę wskaźników dynamiki produkcji zakłada fakt, iż niektóre ważne gałęzie przemysłu nie wykonały zadań planowych; należało do nich następujące przemysły: mineralny, metalurgiczny, chemiczny, paliwowo-energetyczny oraz lekki. W celu uzupełnienia obrazu sytuacji przemysłu w 1985 r. należy wspomnieć, że przekroczenie planu miało miejsce w przemyśle elektromaszynowym, spożywczym i drzewno-papierniczym. W porównaniu z 1979 r. produkcja sprzedana w przemyśle uspołecznionym (w cenach stałych) była niższa o 2,1 proc.

Problem przyczyn niewykonania zadań planu przez wymienione przemysły wymaga krótkiego komentarza. Uproszczeniem jest prezentowany niekiedy pogląd, że jedyną czy zasadniczą przyczyną zahamowania tempa wzrostu w niektó-

rych gałęziach przemysłu była kapryśna zima 1985 r. Analiza warunków, w jakich przebiegał proces produkcji w hutnictwie czy w przemyśle chemicznym wskazuje, że dwie główne przyczyny kłopotów z wykonaniem planu w tych dziedzinach stanowiły: niedostateczna obsada stanowisk roboczych oraz dekapitalizacja majątku trwałego. Na przykład niewykonanie planu produkcji nawozów azotowych było przede wszystkim rezultatem dekapitalizacji urządzeń i wzrostu awarii aparatury. Natomiast w hutnictwie dekapitalizacja urządzeń idzie w parze z nie-doborem siły roboczej.

3. DOBRA PASSA W ROLNICTWIE

Znamiennym faktem jest, że rok 1985 był czwartym z kolei korzystnym rokiem w rolnictwie. Barometr gospodarczy w rolnictwie wskazywał nadal wyż. Wartość towarowej produkcji rolniczej w 1985 r. wzrosła, w porównaniu z dobrym poprzednim rokiem o 4,1 proc., z tego produkcja roślinna o 0,9 proc., zaś produkcja zwierzęca o 5,8 proc. Nieznacznie wzrosła powierzchnia zasiewów zbóż i upraw pastewnych,

WITOLD KASPERKIEWICZ

Cuda i niepokoje w gospodarce

a także wystąpiły pozytywne zmiany w strukturze zasiewów zbóż polegające na zmniejszeniu udziału powierzchni żyta na korzyść wzrostu powierzchni zbóż intensywnych, tj. pszenicy i jęczmienia.

Pozytywne tendencje utrzymały się także w dziedzinie hodowli trzody chlewnej; w październiku 1985 r. pogłowie tej trzody wynosiło 19,8 mln sztuk i było wyższe o 10,2 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku 1984. Natomiast mniej korzystne zmiany odnotowano w hodowli bydła; pogłowie bydła w październiku 1985 r. w porównaniu do stanu sprzed roku wykazało spadek o 1 proc.

Ogólna wartość skupu produktów rolnych (w cenach stałych) wzrosła o 5,1 proc., przy czym od gospodarki uspołecznionej o 1,7 proc., a od gospodarki nieuspołecznionej o 6,4 proc. Najbardziej spektakularny wynik osiągnięto w skupie żywa wieprzowego, a mianowicie skupiono o 16,3 proc. więcej niż w 1984 roku. Skup żywa wołowego był wyższy o 5,5 proc., żywa drobiowego o 12 proc., natomiast skup mleka był niższy o 3,3 proc.

Korzystny bilans w rolnictwie nie powinien zmniejszać zainteresowania instytucji centralnych tą dziedziną gospodarki. Kolejne cztery lata urodzaju nie stanowią wystarczającej przesłanki do wnioskowania, że obecny rok będzie również łaskawy dla rolnictwa. Rolnictwo polskie, mimo niewątpliwego wzmocnienia jego bazy technicznej, oparte jest nadal na kruchych podstawach materialno-technicznych. Mimo oznak poprawy powinniśmy być dalecy od błogośtanu w gospodarce żywnościowej.

4. INWESTYCJE I BUDOWNICTWO — POŚLIZGI I CUDA

Analiza działalności inwestycyjnej w minionym roku nie pozwala na pozytywną ocenę tej niewralgicznej w naszej gospodarce dziedziny. Fakty mówią same za siebie. Zrealizowane na-

klady inwestycyjne były wyższe od planowanych o 6,3 proc., nakłady zamrożone w inwestycjach nie ukończonych wynosiły ponad 2 bln zł (w 1984 r. wynosiły 1,7 bln zł), a zakończenie tych inwestycji wymaga przeznaczenia w najbliższych latach (czyli zaangażowania) nakładów w kwocie ok. 4 bln zł (w cenach aktualnych). W 1985 roku oddano do użytku zaledwie 65,7 proc. zaplanowanych obiektów inwestycyjnych. A więc ok. 35 proc. zadań inwestycyjnych zostało dotkniętych chorobą tzw. poślizgu inwestycyjnego. Spowoduje to zwiększenie zamrożenia i zaangażowania nakładów inwestycyjnych w obecnym roku.

Z dużą dozą sceptycyzmu należy odnieść się do wyników gospodarczych w uspołecznionym budownictwie mieszkaniowym. Zadania planu rocznego 1985 budownictwo przekroczyło o 3,1 proc. Trzeba jednak pamiętać, że zadania te ustalone były na niższym pułapie niż w 1984 roku. W związku z tym w 1985 r. mimo przekroczenia zadań planowych wybudowano o 3,8 proc. mieszkań mniej niż w 1984 r.

W grudniu 1985 r. w uspołecznionym budownictwie mieszkaniowym miały miejsce zjawiska nadprzyrodzone. Otóż zgodnie z informacją po-

szą gospodarka już w grudniu ubiegłego roku. Otóż import z tego obszaru był wyższy w porównaniu z 1984 r. o 5,9 proc., przy czym po 11 miesiącach 1985 r. import ten był wyższy w porównaniu z analogicznym okresem 1984 r. o 10,5 proc. Świadczy to o znacznie niższym imporcie z II obszaru w grudniu 1985 r. w porównaniu z grudniem 1984 r.

Najlepszym sposobem powstrzymania spadku importu z krajów kapitalistycznych jest maksymalizacja opłacalnego eksportu towarów i usług. Nieodczyny jest także zastrzyk kredytów zagranicznych. Należy wspomnieć, że w wyniku sankcji gospodarczych nastąpiła począwszy od 1982 roku zmiana w sposobie finansowania naszego bieżącego importu. Polska zmuszona była za import płacić z góry, co stanowi curiosum w międzynarodowych stosunkach handlowych. Powrót do normalnego placenia za nasze zakupy rozpoczął się dopiero pod koniec 1984 r. Nadal jednak sytuacja w tej materii jest niekorzystna dla naszej gospodarki. W 1985 r. płaciliśmy z góry aż za 64 proc. importu, 34 proc. finansowaliśmy kredytem krótkoterminowym, a tylko 2 proc. kredytem średnioterminowym. Nie trzeba udowadniać, jak olbrzymie jest to obciążenie dla gospodarki narodowej.

6. PŁACE, CENY I SITUACJA PIENIĘŻNO-RYNKOWA

Spółeczeństwo najbardziej interesuje się wskazaniami barometru płacowego. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne (takim pojęciem posługuje się GUS) w gospodarce uspołecznionej wyniosło w 1985 r. ok. 19,9 tys. zł i wzrosło w porównaniu z 1984 r. o ok. 3,1 tys. zł, czyli o 18,4 proc. Kategoria przeciętne wynagrodzenia nie odzwierciedla bogatego zróżnicowania płacowego w całej gospodarce narodowej. Otóż w przemyśle przeciętne wynagrodzenie ukształtowało się na poziomie 22,5 tys. zł, w tym w przemyśle wydobywczym na poziomie 40,5 tys. zł (bez wolnych sobót 35,5 tys. zł), a w przemyśle przetwórczym na poziomie 20,0 tys. zł.

Generalnie poniżej przeciętnej krajowej kształtowały się wynagrodzenia w sferze niematerialnej z wyjątkiem „nauki i rozwoju techniki”, gdzie przeciętne wynagrodzenie osiągnęło 20,9 tys. zł. Na marginesie — dziwaczne wydaje się kwalifikowanie w dobre rewolucji naukowo-technicznej — nauki i techniki do sfery niematerialnej. W pozostałych fragmentach owej sfery wynagrodzenia są miszerne. I tak w ochronie zdrowia i opiece społecznej przeciętne wynagrodzenie wyniosło 15,5 tys. zł, w oświacie 16,8 tys. zł, w kulturze i sztuce 17,5 tys., w administracji państwowej 18,2 tys. zł.

Wskazania na barometrze wynagrodzeń muszą być skorygowane przez wskaźnik wzrostu cen detalicznych, który w 1985 r. spowodował wzrost kosztów utrzymania o 15—16 proc. Uwzględniając wzrost kosztów utrzymania i wynagrodzeń nominalnych pracowników zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, szacuje się, że w 1985 r. wzrost przeciętnych wynagrodzeń realnych wyniósł ok. 3 proc. Natomiast wzrost przeciętnych emerytur i rent nominalnych był niższy od wzrostu kosztów utrzymania, w związku z czym ich wartość realna spadła o ok. 1 proc.

Sytuacja pieniężno-rynkowa w 1985 r. uległa niestety pogorszeniu. Do kanałów obiegu pieniężnego wpompowano bowiem potężny strumień tzw. małego pieniądza, czyli pieniądza bez odpowiedniego pokrycia towarowego. Z opublikowanych przez GUS danych wynika, że przychody pieniężne ludności wzrosły o 23,9 proc., a wydatki o 18,5 proc. Przypomnieć należy, że plan na 1985 r. przewidywał wzrost przychodów o 17 proc., a wydatków o 17,5 proc. Groźne dla równowagi rynkowej jest znacznie wyższe przekroczenie planowanego poziomu przychodów w porównaniu z wydatkami. Spowodowało to wzrost zasobów pieniężnych społeczeństwa o 617,9 mld zł, podczas gdy z planu wynikał wzrost zasobów o 310 mld zł. Stan zasobów pieniężnych społeczeństwa w 1985 r. osiągnął poziom 2,64 bln zł, z tego wkłady w kasach oszczędnościowych wyniosły 1,7 bln zł, a zasoby gotówkowe, czyli „gorący pieniądz” określany często mianem nawisu inflacyjnego 940,5 mld zł. W porównaniu z 1984 r. wkłady oszczędnościowe wzrosły o 442 mld zł, natomiast zasoby gotówkowe o 175,6 mld zł.

Dodać należy, że znacznie mniejszy w porównaniu z założeniami planu był wzrost dostaw na zaopatrzenie rynku towarów nieżywnościowych. Z planu rocznego wynikał wzrost o ok. 6 proc., natomiast sprzedaż tych towarów wzrosła tylko o ok. 2—3 proc. (w cenach stałych). Ciekawym faktem jest, że w minionym roku wzrosły w handlu zapasy niektórych towarów nieżywnościowych, ale jednocześnie ciągle aktualna jest długa lista towarów przenikających do obrotu spekulacyjnego. Po prostu w sklepach jest więcej towarów, ale często nie takich, na jakie oczekują nabywcy.

Wnikliwa analiza informacji o wynikach gospodarczych 1985 roku powinna stanowić dla rządu podstawę do ukierunkowania polityki gospodarczej w obecnym roku. W świetle tej analizy trzy cele wydają się być niewątpliwie, a mianowicie: aktywizacja eksportu do II obszaru, zwiększenie efektywności procesów inwestycyjnych i porządkowanie rozregulowanego wciąż rynku. Realizacja tych celów wymagać będzie podjęcia istic herkulesowego wysiłku w wielu dziedzinach, a przede wszystkim w zdobywaniu niezbędnych dewiz.

Foto: Grzegorz Galasiński

Własne ciało i z niepokojem myślała, czy będzie jeszcze mogła pokazać się bez kompromitacji na jakiejś małej plaży.

Uświadomiła sobie, że na starość nie tylko tępieją zmysły, lecz w dodatku „samo ciało czyści się jakby trudniej, a łatwiej brudzi”. O ile zmarszczki dodają wdzięku skromnym staruszkom i dostojności myślicielom, to na twarzy starzejącej się pięknej kobiety wyglądają jak „pietna niesławny i stygmaty klęski, jak coś pokręconego i niemal hanbiącego, bo w tego, kto na nie patrzy, wywołują takie same uczucia, jakich doznaje zeszpecona kobieta. Ich nie można ukryć za pomocą środków kosmetycznych ani wygładzić masażem, nie można ich, zdaje się — przekleść po stakroci! — nawet porządnie umyć”. Marta L. uznała starość za niedobrą i brzydką.

W czterdziestym ósmym roku życia wybrała się na zieloną wyspę, której kamienny brzeg spadał stromo w morze. Nie miała już wtedy tego blasku i świeżości, charakterystycznych tylko dla młodości, choć była „ładnie zbudowana i wybiegnowana”. Przychodziła na plażę zawsze w to samo miejsce, opalała się i pływała, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Niekiedy rzucała krótkie spojrzenia na młode dziewczyny lub kobiety, nieświadome jeszcze faktu przemijania oraz nieuchronności starzenia się. Tutaj właśnie przypominała sobie w półśnie zdarzenie sprzed trzech dziesięcioleci, kiedy to stary Matija kontemlował jej młodość i piękno. Tutaj też zrozumiała, jak wówczas i w ciągu długiej młodości wyglądała w oczach innych. Z reguły bowiem „podejrziwość i troska widzą to, czego szczęście i ufność nigdy nie są w stanie dostrzec”.

W sierpniowym słońcu, na ciepłej skale martwiła się ponurą perspektywą starości i z gorzkością myślała, że najlepiej byłoby zniknąć zupełnie, spłonąć doszczętnie, zatracić się w jakimś powszechnym pożarze. Powoli jednak docierała do niej myśl, że w tym świecie musi być jakieś miejsce dla wszystkich, że starość jest nieszczęściem głównie dla tych, którzy się jej wstydzą oraz żyją tylko dla siebie. Poczuła wtedy silnie rytm serca odmierzający czas i niespiesznie unoszący istoty żywe w „obszar bez cierpienia”. Razem z owym doznaniem przyszedł krótki sen, z którego wynurzyła się przeobrażona i zahartowana. Spojrzała teraz na świat z radością i bez lęku. Nie miała już potrzeby ukrywania się czy pokazywania, przestała myśleć o trwaniu i przemijaniu. Wykąpała się w morzu, położyła na ręczniku i w spokoju zaczęła odczuwać wzrastającą biogość. Była całkowicie pogodzona z losem i szczęśliwa.

Miłośnicy prozy Iwo Andrieja zorientowali się na pewno, że streściłem tu opowiadanie zatytułowane „Kobieta na kamieniu”. Uczyniłem to w celu zwrócenia uwagi na okrucieństwo czasu wobec pięknych kobiet. Na widok starzejących się piękności ogarnia mnie zawsze bezbrzeżny smutek i żal. Mężczyźni mi nie żal, ponieważ mam wrażenie — nie wiem zresztą dlaczego — że zasłużyli na swoje łysiny, zmarszczki i inne oznaki starzenia się. Natomiast pięknych kobiet żal mi ogromnie (brzydkim jest łatwiej w obliczu starości) — żal mi nawet tych, które niewątpliwie zasłużyły na karę uwiadu i niemocy.

Iwo Andriej przekonująco pokazał, że starość jest dokuczliwa i zła szczególnie dla osób, które nie chcą się z nią pogodzić. Jest to prawidłowość psychologiczna. Antoni Kępiński w książce „Rytm życia” pisze: „Starość jest nieunikniona, im więcej się z nią walczy, im trudniej jest jej zaakceptować, w tym ostrzejszej formie ona występuje i obserwuje się paradoksalne pozornie zjawisko, że ludzie, którzy przyjmują swoją starość nie ro-

bite z niej problem, są młodsi od tych, którzy chcą za wszelką cenę zachować swoją młodość”. W tym przypadku najlepsza jest chyba postawa stoicka.

Antoni Kępiński podkreślał, że krzywa dynamiki życiowej nieustannie spada od momentu poczęcia do śmierci. Ale nie jest to spadek równomierny. W zależności od tempa i pulsacji siły życia kształtują się subiektywne nastroje ludzi. „Świat — czytamy — kurczy się w smutku, a rozszerza w radości”. Subiektywne poczucie wieku ma

ni zaczął dopatrywać się zadatków na starcze chodzenie.

Wiktor miał 37 lat. Lecz niezbyt przyjemnie mu było, gdy Tunia mimo woli powiedziała — „Pan jest o tyle ode mnie starszy...”. Opuszczając Wilko wiedział, że nigdy już tu nie wróci, bo trafił do obcego świata, który wyglądał inaczej niż zapamiętany z młodości. „Ogarzył go prosty i jaskrawy żal. Żal za wszystkim, co miało i odpływa. Za wszystkim, co można ujrzyć dopiero z perspektywy, jak łódź oddalającą się na zakręcie rzeki”.

Piekło pięknych kobiet

być wprost proporcjonalne do długości czasu przeżytego i odwrotnie proporcjonalne do możliwości rzutowania siebie w przyszłość. Człowiekiem starym jest ten, kto przed sobą widzi jedynie ciemną ścianę, kto oczekuje rychłego końca.

W polskiej i światowej literaturze pięknej istnieje wiele utworów na temat przemijania i starzenia się: od siedmiotomowego arcydzieła Marcela Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu” do niezliczonej liczby mniejszych powieści i nowelek. Wyróżniającą pozycją w tym ogromie dzieł jest opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza z 1932 roku pt. „Panny z Wilka”.

Gdy po piętnastu latach niebytności Wiktor Ruben odwiedza Wilko, zostaje mocno zmie-

W przypomnianych przeze mnie opowiadaniach Iwaszkiewicza i Andrieja złowrogim, nieubłagany żywiołem destrukcyjnym jest czas. Podobnie, jak przestrzeń, czas jest formą istnienia materii. Przestrzeń kojarzy się z rozciągłością i trójwymiarowością, czas zaś związany jest ze zmiennością i charakteryzuje go jednowymiarowość oraz nieodwracalność. W różnych kulturach ludowych czas kojarzono ze śmiercią.

Simone Weil twierdzi, że nasze życie jest „mieszaniną czasu i wieczności. Piekło będzie samym czasem”. Nie wiemy jednak, co nas czeka po śmierci; czy w ogóle coś będzie? Natomiast tu na ziemi wyraźnie widać, że czas jest piekłem pięknych kobiet. W młodości

dością przygląda się mały chłopiec. W górnym lewym rogu widać poważną Prawdę, a w prawym — surowy Czas z klepsydrami. Z tyłu natomiast czyhają różne zła: wężowe stworzenie z dziewczęcą twarzą podaje miód i żądło, zrozpaczona Zazdrość rwie włosy z głowy. Możemy się więc domyślać, że idylla miłosna nie potrwa długo.

W walce z czasem kobiety od najdawniejszych wieków i tysiącleci stosowały rozmaite środki: kosmetyki, biżuterię, modne ubiory i fryzury. Kobiety wyznające chrześcijaństwo oraz judaizm postępowały tak i postępują mimo kategorycznego ostrzeżenia ze strony samego Boga. W trzecim rozdziale Księgi Izajasza Bóg stanowczo potępia modę kobiecą i wszelkie zabiegi uwodzicielskie. Czytamy na ten temat:

„W owym dniu usunie Pan ozdoby brząkać u trzewików, słońca i półksiężycy, kolczyki, bransolety i wieny, diademy, tańcuszki u nóg i wstążki, flaszczeczki na wonności i amulety, pierścienie i kółka do nasa, drogie sukienki, narzutki i szale, torebki i zwierciadła, cienką bieliznę, zawoje i letnie sukienki. I będzie:

zamiast wonności — zaduch,
zamiast paska — powrós,
zamiast uczesanych kędziorów — łysina,
zamiast wykwintnej szaty — ciasny wór,
zamiast kraszy — wypalone piętno”.

Powyższy fragment napisał ponad 2700 lat temu tzw. Proto-Izajasza. Ale mają to być słowa — powtarzam — samego Boga, więc kobiety wierzące nie powinny ich w zasadzie lekceważyć, co byłoby finansowo korzystne dla dzisiejszych ojców i mężów. Lecz z drugiej strony — zmalałaby przecież atrakcyjność naszych pań. Lepiej zatem niech pozostanie dalej tak jak jest.

Czołowy przedstawiciel „kastrofizmu naturalistycznego” Oswald Spengler uważał, że kobieta nieprzypadkowo jest uosobieniem losu w mitologiach (greckie Mojry, rzymskie Parki, nordyckie Norny). Kobieta bowiem jest losem, czasem, logiką stawiania się. Przez kobietę — jego zdaniem — przemawia czas; ona jest jasnowidzącą, wyrocznią, a mężczyzna interpretuje, wyjaśnia przyszłość. Ale gdyby faktycznie tak było — to skąd walka pięknych kobiet z niszczącym ich młodość i urodę czasem? Czyżby walczyły same ze sobą?

Nie wierzę, że kobiety są czasem, bo czas jest piekłem, a kobiety są dobre: młode i stare, piękne i brzydkie. Te młode i piękne są ozdobą ziemi. Natomiast stare i brzydkie — jak mówi poeta — są „solą ziemi”, są nieśmiertelne, niezniszczalne. Umierają bogowie, cywilizacje i ludzie, a stare kobiety wstają i pracują, jak gdyby nigdy nic. Toteż całkowitą rację ma Tadeusz Różewicz, że „tylko głupcy śmieją się ze starych kobiet”.

Na zakończenie chciałbym podać wszystkim kobietom «posób na zachowanie urody aż do wieku sędziwego. Jest to recepta, którą znalazłem w twórczości Fiodora Dostojewskiego. Z powieści „Zbrodnia i kara” dowiadujemy się, że matka Raskolnikowa, Pulcheria Aleksandrowna, zachowała ślady dawnej urody mimo, że miała już czterdzieści trzy lata. „Jej włosy — czytamy — już zaczęły siwieć i rzednąć, miała zmarszczki już dawno ukazały się koło oczu, policzki zapadły i wyschły od trosk i smutków, a jednak ta twarz była piękna”. Dlaczego? Otóż dzięki temu, że zachowała — uważa — „jasność umysłu, bezpośredność odczuć i czysty, uczciwy płomień serca”. Posiadanie tych właśnie cech ma być jedynym sposobem na zachowanie piękności, czyli innymi słowy — sposobem na częścione chociaż wybawienie od piekła czasu.

EDWARD
PALCZYŃSKI



Angelo Bronzino „Allegoria czasu i miłości”.

nione przez czas piękne niegdyś dziewczyny: Julcie, Kazie, Zosie, Jole, Tunie. W dodatku dowiaduje się, że szóstą z sióstr, Felę, umarła już przeszło 10 lat temu. Nad jej zaniedbaną mogiłą myśli, że „wtedy była na wstępie, dziś byłaby na końcu najpiękniejszego łuku na moście życia kobiety...”. Smukła, zgrabna i żywa dawniej Julcia, z którą przeżył cztery najpiękniejsze noce, była teraz bardzo korpulentna, ciepła i obcą damą. Ścisnąc ją za kibić powiedział, że jest aż tak obszerna. Przecież Jola, którą zapamiętał jako szesnastoletnią, kłopotującą go panną, wciąż była ładna, lecz przekroczyła już trzydziestkę i trochę garbiła się. Pod wpływem tych rozczarowań nawet u młodziutkiej Tu-

one go ignorują, potem toczą z nim heroiczne zmagania i wreszcie ponoszą klęskę. Bardzo znamienita w związku z tym jest rycina Goi pt. „Do samej śmierci” (nr 55 z cyklu „Kaprysy”). Przedstawia chudą, brzydką staruchę siedzącą przed lustrem i upiększającą się. Do końca swych dni chce się podobać. Toteż wdzieczy się, stroi, maluje. Niektórzy podobno w tej starej kokietce rozpoznali królową Marię Luizę, choć wcale nie była chuda.

W XVI wieku interesujący obraz „Allegoria czasu i miłości” namalował Angelo Bronzino. Siedząca na pierwszym planie Wenus, obejmując i całując bóg Kupido (rzymski odpowiednik Erosa). Scenie tej z ra-



Foto: Grzegorz Galasiński

Wszystko, co łączy się ze śmiercią, pogrzebem, cmentarzem, smutne i przykre wywołuje na ogół skojarzenia. Na co dzień staramy się o tych sprawach nie myśleć, nie rozmawiać; rzadko zajmują się nimi prasa. Wollimy przyjemniejsze tematy. Czyniąc wyjątek od tej reguły, nie mamy zamiaru nikogo zaskokować, ani wzbudzać sensacji. Traktujemy rzecz z pełną powagą, bo i, prawdę powiedziawszy, sytuacja jest przecież poważna.

Na dwadzieścia jeden łódzkich cmentarzy tylko cztery posiadają jeszcze rezerwy wolnego miejsca pod nowe groby, a jedynie na dwóch chowa się zmarłych bez żadnych ograniczeń. Co gorsza, rezerwy te wystarczą nam — jak się oblicza — zaledwie do końca lat osiemdziesiątych. Później istniejące obecnie cmentarze nie będą już w stanie przyjąć i pomieścić wszystkich zmarłych. Jeżeli do tego czasu nie utworzymy więc nowych, możemy znaleźć się w, bez przesady, krytycznym położeniu. Oczywiście władze miasta doskonale zdają sobie z tego sprawę i planują zbudowanie do 1990 roku kilku cmentarzy o łącznej powierzchni około stu hektarów, co powinno zaspokoić potrzeby Łodzi mniej więcej do końca wieku, kiedy to problem znów da znać o sobie. Ze jednak o tereny pod nowe cmentarze z każdym rokiem będzie prawdopodobnie coraz trudniej, już dziś postulacie się zbudowanie w Łodzi krematorium. Krótko mówiąc, choć temat przykry i nietypowy, jest o czym pomyśleć i podyskutować.

TYSIĄCE LAT TEMU

Kremacja zwłok, czyli ich spopielanie, nie jest wymysłem naszych czasów, jak się nieraz sądzi, ale bardzo starą zwyczajem, sięgającym swymi korzeniami zarania cywilizacji ludzkiej. Jeszcze do niedawna za jego kolebkę uważano ziemię Śródziemnomorską, gdzie znaleziono groby ciałopalne z III tysiąclecia przed naszą erą. Odkrycie spopielonych zwłok ludzkich na kontynencie australijskim zmusiło nas niedawno do odrzucenia tego poglądu i cofnięcia się jeszcze głębiej w mrok dziejów. Tamtejsze znalezisko pochodzi bowiem z epoki górnego paleolitu i liczy sobie co najmniej — bagatelą! — 24,5 tysiąca lat. Skłania to również do wysnuęcia wniosku, iż palenia zwłok nie zainicjowano w jakimś jednym ośrodku, ale — że było stosowane zapewne przez różne ludy pierwotne.

W czasach historycznych obrządek ciałopalenia znany był dobrze wśród Sumerów, Asyryjczyków, Babilończyków, starożytnych Greków i Rzymian. Wspominają o nim między innymi Homer i Plutarch. Znany go też plemiona Germanów, Bałtów Słowian, liczne ludy azjatyckie. Do dziś palą swoich zmarłych na przykład Hindusi i Japończycy. Wiele grobów ciałopalnych znaleźli archeolodzy także i na terenie dzisiejszej Polski. Jak więc widać był to zwyczaj stosunkowo szeroko niegdyś rozpowszechniony. W Europie kres położyło mu dopiero chrześcijaństwo — i to też nie od razu. Znamienne jest na przykład, że w 785 roku Karol Wielki edyktem z Paderborn zakazał palenia zwłok pod groźbą kary śmierci. Był to zakaz wymierzony w Sasów, którzy — widać — holdowali jeszcze spopielaniu. Faktem jest jednak, że już wówczas powszechne stało się grzebanie zmarłych w ziemi, a chrystianizacja całego kontynentu utrwaliła to na długie wieki. Ale i wtedy czyniono przecież wyjątki: na łac ciała ofiar wielkich epidemii (np. w latach 1495, 1509, 1576, 1627), czy też — kacerzy skazanych na stos przez sąd Świętej Inkwizycji — przy czym ci ostatni paleni byli żywcem! Niegdy więc właściwie ów prastary zwyczaj nie poszedł w zupełnie zapomnienie. Trwał, choć w jakże już wypaczonej formie. Aż wreszcie znaleźli się tacy którzy postanowili przywrócić mu dawne znaczenie i nadać wszelkie cechy normalności i pokoniar licznym bariery, to im się w końcu udało.

W CZASACH NOWOŻYTNYCH

Już w 1797 roku podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej zgłoszony został w Paryżu wniosek o uchwalenie prawa do

kremacji zwłok, ale prawo takie nie weszło wówczas w życie i wkrótce o całej sprawie zapomniano. Były jednak ważniejsze. Powrócono do niej na międzynarodowym kongresie lekarskim we Florencji w 1869 roku i na następnych kongresach — w 1871 roku w Rzymie oraz w 1876 — w Dreźnie, kiedy to uchwalono obowiązujące do dziś podstawowe zasady nowoczesnej kremacji zwłok. W tym samym roku — 22 stycznia — na mediolańskim campo santo uruchomiono pierwsze w Europie krematorium, wzniesione z inicjatywy i na koszt Karola Kellera z Zurichu, którego zwłoki po śmierci zostały w nim zresztą spopielone.

Otwarcie tak niezwykłej w tamtych czasach instytucji, jak

owanie przez Fryderyka Siemensa nowoczesnego pieca krematoryjnego). I wcale nie przejmowano się zbytnio, że Kościół katolicki jest temu wszystkiemu przeciwny.

Oczywiście inaczej być nie mogło, chociażby ze względu na istnienie dogmatu o „stałym zmartwychwstaniu”. Charakterystyczne jednak, że aż do 1886 roku Watykan nigdy nie potępił oficjalnie spopielania zwłok, jako zwyczaju sprzecznego z zasadami religii. Uczyniła to dopiero rzymska kongregacja Św. Oficjum — dokładnie w dziesięć lat po uruchomieniu pierwszego europejskiego krematorium w Mediolanie. Zaskakująca była przy tym argumentacja, opierająca się na twierdzeniu, iż spopielanie jest zwy-

W okresie dwudziestolecia międzywojennego również znaleźli się zwolennicy kremacji — wśród lekarzy, inteligencji, postępowych odłamów młodzieży akademickiej. Organizowano odczyty na ten temat, zgłaszano projekty, a rada miejska Sosnowca podjęła nawet uchwałę o budowie w mieście krematorium. Wszystko na nie. Rząd najwyraźniej nie był całą sprawą zainteresowany i nie popierał jej. Kościół nieugięcie stał przy swoim, że należy zmarłych grzebać w ziemi, jak każe wiara ojców i tradycja, a dla większości społeczeństwa polskiego problem ten w ogóle nie istniał. Przeciwny Polak o kremacji i krematoriach dowiedział się dopiero podczas wojny, gdy hitlerowcy rozpalili

li za? Ejże! Kto by w to uwierzył. Słowem, był to chyba przykład nie najlepszej propagandy i zapewne niewiele przysłużył się sprawie.

A dziś?

BEZ UPRZEDZEŃ I EMOCJI

Spróbujmy spojrzeć na idee spopielania zwłok bez emocji i uprzedzeń, trzeźwo. Jesteśmy jednym z nielicznych państw cywilizacyjnie rozwiniętych, gdzie kremacja nie jest jeszcze stosowana. I nie chodzi tu tylko o kraje Zachodniej Europy, Ameryki Północnej czy Japonię, ale także — naszych najbliższych sąsiadów: Czechosłowację, NRD, Związek Radziecki. Tam tradycja spopielania liczy sobie już kilkadziesiąt lat i wszyscy zdążyli się do niej przyzwyczaić, a wielu ją zaakceptowało. W Pradze na przykład aż osiemdziesiąt procent zmarłych poddawanych jest kremacji, w Berlinie tylko dwadzieścia procent mniej; w Związku Radzieckim krematoria istnieją w każdym większym mieście. Podobnie — w Danii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych. I nikogo to nie dziwi, nie szokuje, nie burza. Czas więc chyba, aby i u nas uznać spopielanie za coś normalnego i spróbować, czy zwyczaj ten się przyjmie. Jeśli tak — dobrze, jeśli nie — trudno. Ale niech każdy ma możliwość wyboru. Bo wiadomo, że zwolennicy kremacji są i będą.

Dyrektor łódzkiego Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych Bogdan Romanuk mówi, iż wiele osób zgłasza się do niego z pytaniem, czy w Polsce można poddać się kremacji. Dyrektor warszawskiego MPUK Jan Poręcki twierdzi, że aż sześćdziesiąt procent osób, którym zadano pytanie, czy akceptują tę formę pochówku, udzieliło twierdzącej odpowiedzi. Wydaje się więc, że nie stoi na przeszkodzie, aby pójść śladem innych narodów. I to nie tylko ze względu na modę (?), czy choć ich naśladowania, ale przede wszystkim — na rachunek ekonomiczny.

Spopielanie zwłok jest tańsze od tradycyjnego pogrzebu na cmentarzu. Tańsze tak dla rodziny zmarłego, jak i całego społeczeństwa. Tam, gdzie istnieją krematoria, nie trzeba bowiem przeznaczać coraz to nowych terenów na cmentarze, gdyż groby, grobowce czy nisze, w których umieszcza się urny z prochami, mogą zajmować znacznie mniej miejsca. Same urny też nie zajmują go dużo. W każdym grobie czy grobowcu zmieści się kilka, a nawet kilkanaście. Jeden grobowiec służy zatem paru pokoleniom rodziny. Nie trzeba kopać grobów głębokich, czekać ileś tam lat na możliwość pochowania w tym samym miejscu. W ogóle mniej przy kremacji pracy i kłopotu. A ceremonia pogrzebowa...

Otoż wcale nie musi się aż tak bardzo różnić od tych, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Wszystko jest do zrobienia.

„Uczestniczyłam niedawno w kremacji na jednym z londyńskich cmentarzy — pisze Ewa Berberyusz — Kaplica. Normalna załoba. Msza. W pewnym momencie trumna za sprawą specjalnego mechanizmu znikła za ścianą, by dosłownie po chwili pojawić się w postaci urny. Rodzina wśród modlitewnych obrządków rozsypuje prochy (to jest dosłownie popioł) w przykrytych roslinami.”

Tak jest w Wielkiej Brytanii, w Czechosłowacji i wielu innych krajach.

„Urnę z prochami zmarłego chowa się w niszach przy krematorium. W niektórych miejscach w parku urnowym. W Bernie oglądałem krematorium i park urnowy zaprojektowane przez Le Corbusiera — relacjonuje Antoni Michalak. — Budynek kremacyjny przypomina nowoczesny pałac, posiada sale ceremonialne, jest otoczony parkiem urnowym. W bezpośrednim sąsiedztwie krematorium znajdują się kolumbaria tj. sale z niszami na urny z prochami;

nisze są zamknięte tabliczkami jednolitego kształtu i wielkości ze skromnym napisem zawierającym tylko imię i nazwisko oraz daty urodzenia i zgonu. W obliczu śmierci wszyscy są równi.”

Tak jest w Szwajcarii. Ale przecież u nas może być jeszcze inaczej. Urnę można złożyć w grobie czy grobowcu. Może być kondukt pogrzebowy. Możliwości jest naprawdę wiele.

ODRZUCMY NIEPOROZUMIENIA

Wokół spopielania zwłok narosło u nas sporo błędnych sądów i nieporozumień. Niektóre zostały już wyjaśnione, jak choćby pogląd, że krematoria są wymysłem hitlerowców, czy też — że nie ma ich w żadnym kraju chrześcijańskim. Pora dodać do tego, że spopielanie ciała nie odbywa się w ogniu lecz w strumieniu powietrza o temperaturze około tysiąca stopni, że jest bezdymne, bezwonne, trwa od kilku do kilkunastu minut (w zależności od zastosowanego rozwiązania technicznego) i oczywiście nie odbywa się na oczach żałobników.

Godne podkreślenia jest również to, że zmienił się stosunek Kościoła katolickiego do kremacji. Kongregacja Św. Oficjum 8 maja 1963 roku zniósł swój dawny zakaz, uznając, iż kremacja mogłaby być poddana także ciała zmarłych katolików, a paragraf trzeci kanonu 1176 Kodeksu Prawa Kanonicznego wyjaśnia wprost, że „Kościół usilnie zaleca zachowanie pobożnego zwyczaju grzebania zmarłych, nie zabrania się jednak kremacji, jeśli nie została wybrana z pobudek przeciwnych nauce chrześcijańskiej.” Tak więc nie istnieją już przeszkody natury religijnej.

Sprzeciw może jeszcze tylko budzić przywiązanie do tradycji, wspomnienia z czasów okupacji, a także fakt, iż „Spalenie zwłok uniemożliwia ekshumację i ustalenie po latach przyczyn zgonu (ślady urazów na kościach, obecność niektórych trucizn). Ma to pewne nie tylko dla kryminalologii, również znaczenie społeczne. Ważne jest bowiem odczuć (...), że zawsze, nawet po upływie długich lat można „dojść” sprawiedliwości.” (Aleksander Bąkowski — lekarz medycyny sądowej). Bo i o tym przecież też należy powiedzieć.

Kiedy na początku lat siedemdziesiątych urządzono w Warszawie Cmentarz Komunalny Północny, przewidywano zbudowanie na nim krematorium. Brakło jednak wtedy pieniędzy i projekt nie został zrealizowany. Powrócono do niego w tym roku, podjęto też już decyzję o budowie. Krótko mówiąc, już wkrótce spopielanie zwłok w Polsce stanie się faktem.

W Łodzi również myśli się o podobnej inwestycji. Dyrektor Bogdan Romanuk jest zdania, że to po prostu konieczność tak ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia. Miejscem budowy ma być cmentarz komunalny przy ulicy Czeskiej. Orientacyjny koszt przedsięwzięcia — do pięciuset milionów złotych. Mniej więcej tyle samo, ile wyniesie budowa całego cmentarza. Ale czas eksploatacji krematorium będzie bez wątpienia dużo, dużo dłuższy.

OD REDAKCJI:

Liczymy, że przedstawiony w artykule projekt budowy krematorium w Łodzi wzbudzi duże zainteresowanie Czytelników. Bardzo jesteśmy ciekawi, co Państwo na ten temat sądzą, jakie są wasze odczucia po lekturze całego artykułu. Prosimy o listy. Bedziemy je w miarę możliwości publikować na naszych łamach. Mamy też nadzieję, iż zawarte w nich wnioski, spostrzeżenia, sugestie stana się cenną wskazówką dla władz miasta decydującej ostatecznej decyzji o budowie.

Jak — po tamtej stronie

Grzebać czy spopielać?

TADEUSZ TANATOWICZ

krematorium, nie mogło, rzecz zrozumiawszy, wzbudzić powszechnego aplauzu w katolickich Włoszech. Niemniej przez następne dziesięć lat poddano tam kremacji 780 ciał, czyli — jak na początek — stosunkowo dużo. Okazało się, że idea spopielania, mimo że obca tradycji chrześcijańskiej, znajduje jednak swoich zwolenników.

Za przykładem Włoch poszły wkrótce inne państwa. W 1873 roku zbudowano pierwsze krematorium w Niemczech, w 1883 — w Stanach Zjednoczonych, w 1885 — w Wielkiej Brytanii, w 1887 — w Szwecji, w 1889 — we Francji i Szwajcarii. W 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych wydała dekret uprawniający do legalnego spopielania zwłok w Rosji Radzieckiej (do rewolucji było to prawnie zabronione). Chociaż wolno i nie bez przeszkód, z roku na rok kremacja stawała się coraz popularniejsza i zyskała pełne prawo bytu. Propagując ją, wskazywano na jej pozytywne aspekty ekonomiczne i higieniczne. Udoskonalano urządzenia (m.in. skonstru-

czajem... masońskim! Naturalnie każdy, kto choć trochę znał historię powszechną oraz interesował się archeologią, wiedział, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Ale prawdą jest też, że dla milionów wiernych nie miało to przecież żadnego znaczenia. Kościół był nieomylny.

W POLSCE

nie spopielano nigdy zwłok i nadal jeszcze się tego nie czyni, choć postulaty budowy krematorium w Warszawie pojawiły się już przed pierwszą wojną. Jako pierwszy idee tę przedstawił publicznie Wojciech Szalkiewicz w wydanej w 1909 roku broszurze pt.: „O kremacji, czyli paleniu ciał po śmierci”, ale nie było wówczas absolutnie żadnych szans na jej realizację, już tylko z uwagi na obowiązujące w zaborze rosyjskim prawo.

swoje piece w Oświęcimiu, Treblince, Majdanku. Trudno się więc dziwić, że z kolei po 1945 roku nikt nie próbował nawet wracać do idei spopielania, gdy zaś mówilo się o kremacji, to tylko w jednym jedynym kontekście. Poza tym wciąż przetrzeć nie było przyzwolenia Kościoła.

W 1960 roku znowu milczenie przerwał Józef Kobylecki na łamach „Faktów i Myśli”, pisząc o spopielaniu jako zwyczaju znanym szeroko za granicą, mającym swoje dobre strony, a przez to — niezależnie od obozowych skojarzeń — godnym i w Polsce upowszechnianiu. Po jego artykule opublikowano też kilka listów, jakie nadeszły w tej sprawie do redakcji, oczywiście... popierających tezy Kobyleckiego. Ale i to nie wywołało żadnego skutku, czy to w postaci publicznej dyskusji, czy to — jakichś decyzji władz. Co najwyżej mogło wzbudzić zdziwienie i szereg wątpliwości — czyżby wszyscy czytelnicy „Faktów i Myśli” by-



Foto: Grzegorz Galasiński

KREMATORIA W NIEKTÓRYCH KRAJACH ŚWIATA

kraj	ilość czynnych krematoriów		
	1927 r.	1952 r.	1983 r.
Austria	2	5	brak danych
Australia	brak danych	13	13
Czechosłowacja	7	13	26
Dania	2	21	26
Norwegia	3	14	brak danych
Niemcy	80	brak danych	53 (NRD)
Szwajcaria	16	22	22
Szwecja	3	29	29
USA	97	brak danych	ponad 200
Wielka Brytania	18	62	62

Jak polopirynę, krople żółdkowe i kardiamid. Wtedy narkomania była chorobą zgniętego Zachodu. Tam szalała dekadencja i bezsens. Umierały tabuny sfrustrowanej młodzieży. A u nas kroczył dynamiczny rozwój, czekała świetlana przyszłość. Wieg jasne, że nie mogło być narkomanów. Do srebrnej karocy nie zaprzęga się eheriawych szkap. Codziennie pod apteką mel-dowało się pół tuzina nowych. Stare opuny kłęczły w bramach i gryzmoliły lewe recepty. W aptece pijaczkom wydzielali salicyl, ale prochy dawali bez szemrania. Przecież nie było narkomanii.

Facet w radiu przejmując opowiadał, jak w slumsach Nowego Jorku zdychają opuny. Ry-siek i Adam tego nie słyszeli. Wpisali ich do rejestru samobójców. Kolejni samobójcy też od-ehodzili jak motyle. Po cichu. Wtedy wprowadzili specjalne różowe recepty. W aptekach za-kladali kraty i stalowe sefry, bo normalne szy-by były zbyt kruche. Z Wybrzeża szły trans-porty hery. Znikwały na pniu. Przegrzanych op-unów odwozili do izby wytrzeźwień i leczyli si-mnym prysznicem. Kraj płynął mlekiem. To było makowe mleko. Ktoś wpadł na pomysł, żeby z maku robić mocny, prawdziwy narko-tyk: kompot. Państwowy monopol został złama-ny. Zaczęły się makowe żniwa. Wskakiwanie do byle jakiego podłazu i wio. Kto pierwszy zo-baczył kwitnące pole, ten krzychał: stop! Potem nóż i strzykawka... Cpanie za jeden uśmiech. Makowy step snił się po nocach. Cpanowi naj-częściej śnił się makowy step. I nagle okazało się, że w Polsce opa pół miliona ludzi. Był 1981 rok.

— Hej, mass coś!
— Mam czternaście lat.
... Kiedy miałem czternaście lat, wierzyłem w miłość, wolność, przyjaźń i inne takie duperele. Marzyłem o świecie, w którym nie ma granic, o wielkim braterstwie. A teraz marzę o tym, żeby nie utopić się w talerzu zupy.
Ja, niedźny mitoman, słaby, rozbrojony kastrat, nie zapalałem się na odpływającą arkę. Na niej każdy je, śpi i myśli tylko o sobie. Tutaj, na dnie, każdy je, śpi i myśli tylko o kompiecie. Kompot. Kompot jest wszystkim. Kompot. Taki jest elementarny życia: oszukuj, kłam, kradnij, nie wierz nikomu, bój się każdego. Nie ma przyjaźni, liczy się towar. Kompot. Jak go masz, pakuj w żyły i patrz na innych z wyrazem rozkoszy na zaplutej mordzie.

5.

Pasaż. Siedzisz sobie i czujesz jak w żyłach kipi kompot. I wszystko ci wisi. Wisi ci czy jest dzień — a może jest noc. Nie ważne. Czy masz kapotę na grzbiecie i szmal do pierwszego. Kompot uśmierza czas. Bo czas okropnie boli. Mówisz, że to nieprawda — że czas to pie-niędzy? Więc nigdy nie miałeś ochoty przepaść swoich złych, swoich najgorszych dni, godzin, minut. Nie miałeś nigdy ochoty zamknąć oczu, wyłączyć się? Miałeś — a jednak. Tak, ty znasz inne sposoby uśmierzenia czasu. Możesz urznąć się wodą, zalać robala borującego twój biedny mózg, twój lek przed życiem. Mówisz tak robisz. I robisz. Albo możesz zakopać się po same oczy w milionie debilnych czynności, w miliardzie robót i robótek, żeby nie mieć czasu, żeby nie mieć okazji pomyśleć, jakie to gówno, jak przelatuje przez palce. Żebyś nie miał okazji spojrzeć w lustro. Ono nie kłamie. Jest po to, żeby mówić: nikt cię nie pocieszy. Zapieprzasz wtedy do upadłego, biegasz w kółko, modlisz się do Boga Szmalu, liczysz to, co ofiarował ci w zamian za twoją stwy żeb i przeorane czoło. Li-czysz mamona i kombinujesz jak zarobić więcej, jeszcze więcej: na kilka szmat i marmurowy nagrobek. Boisz się. Boisz się samotności, sta-roszci, i że nikt nie pójdzie za twoją dębowa trumną. Więc piodzisz nowe stworzenia na wzór i podobieństwo swoje. Bo tyle możesz po sobie zostawić. Piodzisz je z dziką satysfakcją, że fundujesz takie samo życie jak to, w którym kłęczysz. Mówisz, że ono jest piękne — to ży-cie. Bo jeśli nie, to twój wspaniały gest jest zwyrodniałym skurwysynstwem. Więc potem nie dziw się, że twój syn chce zamknąć oczy. Bo czas okropnie boli...

Pod Schillerem siadał Marek. Zawsze miał przy sobie gruby szkicownik. Siadał i rysował starą Łódź. Czasami godzinami. Ludzie siadali obok niego i gapili się na to co robi. Rozdawał im swoje prace. Nigdy nie brał forsy. Wcisłali mu ją do garści, a on śmiał się długo i przestron-nie. Mówił, że tą forszą nakarmi gołębie. Nie żartował.

Kiedy oblał egzaminy na studia plastyczne, przyszedł już nie on. Wtedy wziął po raz pierw-szy. Zapomniał. Obudził się i znowu wziął. Za-pomniał. Nawet nie zauważył, że nastała zima. Któręś dnia chciał coś namalować. Ale nie potrafił utrzymać pędzla.

6.

Z tego okna widać „Pewex”. Pod nim zakieł-kowała kompotowa mafia. Ci faceti w pikowa-nych ołaszczach, z łapani w kieszeniach, zwa-chałi kiedyś, że od dółców lepszym interesem jest kompot. Zaczęli obracać kompotem. Na to-war czekało tysiąc dusz. Potem dwa tysiące, pięć, osiem. W Łodzi jest najmnij dziesięć tysięcy żył — powiedział jeden opun — które pracują na kompiecie. Dziesięć tysięcy pompek, dziesięć tysięcy szpilek. Może już dwadzieścia tysięcy.

Trwał narkotyczny boom. Ci faceti zwozili do miasta całe przyczepy makowego słony. Sza-produkcja, towar szedł na miasto, do bram. Towar idzie do bram. I do niektórych kawiarni. I w Pasaż. Pod długimi pikowanymi płaszczami, pod skórzanymi kurkami. Za dwie setki, za trzy, za zegarek. Tu nie ma targów. Opun na głodzie będzie się czoigał, skamlał, biegał, szma-cił. Da wszystko. Bo handlarz nie sprzedaje to-waru opunowi — powiedział jeden opun — on sprzedaje opuna narkotykom. Jak nie kupisz, zdechniesz. Nigdy nie zobaczysz makowego ste-pu. Mówisz towar, a myślisz kompot. Myślisz kompot, a czujesz jacyś zapach. Odpal. Zaraz,

za chwilę. Musisz dostać, musisz. Spiesz się. Jak się spóźnisz, nigdy nie zobaczysz makowe-go stepu. Kup, zapomni. Sprzedawanie — po-wiedział jeden opun — jest większym nałogiem niż branie.

— Daj.
— Ile?
— Dwa centy.
— Pokaż forszę. Pięć stów.
— Mam.
— Bierz i smiataj. Do jutra...
... do jutra. Do bramy, do żyty. Poszło. Jak nie przetrzymasz, wyniosą cię na chodnik. Bo tak się robi. Obok połóż swoją pompkę, żeby lekarz wiedział, co i jak. Bo tak się robi. To się nazywa „wynieść gościa na tor”...

7.

Pytasz o żarcie? Opun nie czuje smaku. Budzi się na głodzie, ale nie jest to taki głód, o jakim myślisz. Opun zna jeden rodzaj głodu. Ślinisz się tylko na myśl o kompiecie. Twój sperforowany mózg wysyła komendy, że chce dostać swoją porcję. Ślinisz się na samo słowo kompot. Więc wstajesz po przekimanej nocy: czasem na Fabrycznym, w parku, czasem na zaiszczanej schodowej klatce, i wiesz. Możesz wcale nie myśleć, gdzie teraz jesteś i dokąd pójdiesz, możesz nie otwierać oczu. Wiadomo,

Witaj zaćpany dniu

że pójdiesz na węg, na instykt. I dojdiesz. I dopadniesz swojej porcji, swojej działki — choćby nie wiem co. Leżesz jak do miodu. Po-tanie powiedziałaby w tym miejscu, że leżesz jak óma do ognia. Niech i tak będzie. Bo opun, nawet jak stoł, to jego narkotyczne nogi nio-szą go w recydywę.

Tak, trzeba tref. Ale wisi ci, co pakujesz w ten swój sflaczający żółdek. Ważne, żeby two-ja rozpieprzona maszyna dostała jakieś ścię-wo. Żeby potem mogła przepuścić kompot. Ze-byś miał się doczołgać się i trafić w żyłę. Więc wstajesz i leżesz przez miasto, wlewisz do knajpy i wyzerasz resztki z talerzy. Póki nie wywali cię na zbitą mordę. Wtedy musi ci wystarczyć zwykła woda. W takich razach woda może sycić. Czasem uda ci się buchnąć mleko spod sklepu, jak wstaniesz za wiecznosc. Pijesz i cieszysz się, jeśli za chwilę wszystkiego nie wyrzucasz. Jeśli twoja zrujnowana wątroba ja-ko tako zaskoczy. Cieszysz się...

Czasem leci z ciebie jak z dziurawego worka. A czasem mdlejesz na kiblu. Każde pójście do kibla, to koszmarn. Przez dwa, trzy tygodnie jesteś zatkany. Czujesz jak kichy zlepiają się, skracając w gigantyczne węzły. A ty nie możesz nic. Wyjiesz, charczysz. Nic.

8.

Brama. Wyszliśmy stąd po jakimś maratonie. Musiało trwać parę dni. Nie wiem. Wiem tylko, że brakło kompotu. Wyszliśmy na ulicę. Pusto, walił śnieg. Za rogiem, przy Tuwima zwinął nas patrol. Kto mógł wiedzieć, że jest stan wo-jenny i policyjna godzina. Kiedy jesteś w ciągu, mogą zaozać świat, a ciebie to nic nie obcho-dzi. Wzięli nas suka. Miałem przy sobie tablety na czarną godzinę. Przezorny opun powinien tar-gać coś z żelaznego zapasu. Tablety były wpu-szczone w przetrwały. To taki dobry sposób. Połknąłem, żeby nie zabrali przy rewizji. Sie-dzieliśmy w zimnej celi. Nad ranem przyszedł głód. Potwórny. Kiedy wiesz, że jesteś zamknię-ty, głód robi z tobą co chce. Aż łaziłymi po ścianach. Siadałem na kiblu i zmuszałem się — ale kondon nie chciał wyleść. To był nasz je-dyny ratunek. Kazałem, żeby walił mi nie po brzuchu. Nie pomagało. Rzygałem krwią, skre-całem się z bólu. Biegałem, żeby skopał mi nie po bebecach. To była ostatnia szansa...

9.

Na tym podwórzu odpłynął Rudy. Raz, dwa, trzy, cztery... — osiemnaście kroków od roz-świetlonej witryny. Leżał eparty e tę ścianę,

szarą jak on sam. Leżał tak na dnie betonowej studni otoczonej czynszowymi kamienicami, z widokiem na dno tej studni. Jak na scenie. Zza firanek patrzyły na niego ciekawe oczy. Dzię-siątki ciekawskich oczu. Patrzyły czy piersi Ru-dego jeszcze się unoszą. Kardiologiczna ciska. Kie-dy piersi przestały się unosić, oczy wyszły zza firanek, żeby pomazać stygnący szkielet. Ale Rudy nie miał zegarka.

10.

Ta kobieta jest matką Grzegorza. Codziennie na Pietrynie: zagłada do bram, do knajp, do aptek. Szuka syna. Grzegorz: pięć lat na kom-pocie, dwie zapadki, zwąpnienie żył. Już nie po-znaje ludzi. A ona ciągle ma nadzieję, że jakoś go wyrwie.

Matka Elki i matka Krzyska. Nie krzyczą jak dawniej. Już wiedzą, że na opuna nie ma krat ani łańcuchów. Beznadziejnie. Teraz piszą listy do Sejmu, do premiera, do prymasa... Wierzą. Moja matka nigdy nie zrozumiała, dlaczego. Uważała, że wystarczy sprać po pysku i głupi pomysł wyparuje z narkomańskiego łba. Nie wiedziała, że brałem od roku. Dowiedziała się ostatnia, kiedy wylał mi ze szkoły. Dyrektor powiedział, że nie ma w niej miejsca dla po-klutych kretyńców. Wtedy matka zaciągnęła mnie do lekarza, żeby przepisał coś na moją chorobę.

Choroba... Bo ona sądziła, że narkomana leczy się zimnym kompresem i witaminą C. Lekarz obejrzał moje ręce. Były jak sita. Dał skiero-wanie do szpitala. Ale matka bała się wstępu. Zamykała mnie w domu. Uciekałem. Ogoliła mi włosy, żeby nie wstąpił się wychodzić na ulicę. Nie wstąpiłem się. Głód kazał skakać z okna i wlec się na Pietrynie. Z domu wynosiłem pie-niądże, jak zabrał, to brałem radio, zegarek, złoty pierścionek. Tylko na kompot. Matka do-stała urlop i pilnowała mnie w dzień i w nocy. Byłem silniejszy. Pewnego dnia obudziłem się w więzieniu. Matka kazała złożyć kraty w oknach i potrójny zamek do drzwi. Wyłem i chlastałem się żyłkami. Wtedy ona powie-działa, że jak nie przestanę brać, to z sobą skończy. Gówno mnie to obchodziło. Związałem przy pierwszej okazji. Nie wiem co z nią...

11.

Tomek, Krzysztof, Jacek. Są tutaj od kiedy pamiętam. Bezebrni, szarzy, nie istniejący. Tak, nie istniejący. Pewien lekarz powiedział kiedyś: nie przystosowani do życia. To prawda. Wiesz, kiedy u wróbił narodził się albinos, dorosłe oso-bniki zadziwiają go na śmierć, żeby później się nie męczył w stadzie.

Dom. Rosłem w domu, który nie był miejscem schronienia. Uciekałem stamtąd tak daleko i tak długo, dopóki głód i zimno pozwały na uciecz-kę. Potem wracałem tam, bo nie miałem dokąd pójść. Wracałem do siedliska wyzwick, kłótni, razów, które spadały na głowę moją lub matki. Oni, moi rodzice, zgotowali ten dom, który ist-niał podobno tylko dlatego, że urodziłem się, niestety — tak słyszałem codziennie, zawsze. Że niby oni nie rozeszli się tylko ze względu na mnie, na mnie — na piorunochron ich kłótni, na ryzostok, do którego zlewał codziennie po-pluczyny wzajemnej nienawiści. Każde z nich tłuścio mnie, bo każde było w tym domu nie-szczęśliwe. Ona, bo miała męża pijaka. On, bo zlitował się nad nią, kiedy nosiła brzuch. By-łem ich zginiłym owocem grzechu. To jest trud-niejsze niż samotność. Dom był stacją przesiad-kową, hotelem, czasem pralnią. Nic więcej. Ucie-kałem z tego domu, choć za ucieczki było bi-cie. Uciekałem w pola, daleko, kładłem się na ziemi i patrzyłem w nieskończoność, aż po ho-rizont własnego zaniku. Dobrze było. Może dla-tego nie czułem później, jak ojciec z wściekło-scią bił mnie po twarzy. Kumpi nie miałem. Dzieci bawiły się klockami, a ja z innych, nie-widzialnych klocków, próbowałem ułożyć sens życia. Nie wychodziło. Miałem dopiero dwanaście lat. Są takie dzieci, z których nie da się ulepić zdrowego człowieka. Bo kto nie miał dzieciń-stwa, nigdy nie będzie dorosłym.

W szkole szło mi dobrze. Nawet bardzo do-brze. Zapamiętałem, że prześcignę gówniarzy z normalnych, ciepłych domów. Ale ojciec ozna-mił, że nie będzie trzymał darmozjada. Musia-łem iść do roboty. Znowu wszystko się zawaliło, przekreśliło, przejechało. Nie było dokąd uciec. W robocie wszyscy pili. Ja miałem ojca pijaka. Nie było można uciec w pole i gapić się w niebo. Wtedy wzięłem po raz pierwszy. Wiem, to też była ucieczka. Ucieczka w nicotść. Trzy lata robiłem w fabryce i na makowym stepie. Potem już tylko na makowym stepie. Latem brałem mleczko, zimą kompot. Przetestowałem całą Polkę. Taki życiorys.

12.

Monika i Kaśka: trzy lata w ciągu. Trzy lata z dziewiętnastu lat. Jezus, jakie to były dziew-czyny — każdy chłopak... Opun, bardziej niż o dziewczynę — powiedział jeden opun — zazdro-sny jest o towar.

Towar. Musiał go mieć. Więc szły pod „Grandkę”. Potem pod „Mazowiecki”. Potem już tylko pod robotnicze hotele. Jak małe pieski. Każdy mógł je mieć. Za jedną działkę, za centa.

Pierwsze jest cpanie. Cpanie musi kosztować. Więc tytkiem zarabiasz na cpanie. I cpaż, żeby zabić chandrę — że jesteś zwyczajna... I tak w kółko. Póki starczy ciała.

Dom. Kiedyś miałam dom. Ale z tego domu pamiętam tylko cztery ściany i kaflowy piec, do którego tuliłam się, bo innego ciepła nie znałam. Przyszedł na świat w nieodpowiednim miejscu i czasie, tylko dlatego, że ona i on, czyli tak zwani rodzice, woleli stanąć przed o-tarzem niż wybulić na skrobanke. Zresztą roz-stali się zanim pojąłem, czym jest rodzina. On wyjechał i uwił sobie nowe gniazdko. Nie pa-miętam jego twarzy. Ona, moja matka, robiła naukową karierę i poza nią nie widziała świa-ta. Myślała, że dziecku wystarczy dać papu i czyste ubranko. Raz przyniosłam do domu małego kota. Lizał mnie po nosie i wdrywał się na moje kolana. Wieczorem matka wyrzuci-la go na ulicę, bo zabrudził dywan. Zrozumia-łam, że jestem dla niej kryształowym wazonem na haftowanej serwecie. Bardzo jej potrzebowa-łam. Zasypiałam leżąc na progu pokoju, w któ-rym pracowała ta kobieta, do którego nie miałam prawa wstępu. Całymi dniami sterczałam w oknie i podglądałam ludzi z przeciwną. Wi-działam jak razem siadają do kolacji, jak mat-ka pieści dzieci, zabiera je na spacer. A mnie matka podrzucała starej ciocie, albo wynajmo-wała obce kobiety, żeby za pieniądze głaśniały mnie po głowie. One były tuste jak baby od Felliniego, niby pełne ciepła, lecz tak naprawdę, ciągle spoglądały na zegar, żeby nie przegapić końca wachty przy cudzym bachorze. Do domu nie wolno mi było nikogo zaprosić, bo matka potrzebowała ciszy. Rosłam i nie zapuszczałam korzeni. Byłam sama. W samotności wszystkie-go można nabyć — z wyjątkiem charakteru. Potem matka wyjechała na zagraniczne sty-pendium, a ja zostałam u starej ciotki. Miałam pielęgnować jej starość i starzeć się razem z nią. Zebrałam wszystkie siły i poszłam do księdza. Powiedział: módl się dziecko i ufaj, że dobro jest na tamtym świecie. Chciałam tam być. Pomyślałam, że chyba nie będzie bolało, kiedy ze szczytu wieżowca... Wybrałam ten naj-wyższy. Przy windzie stali tacy sami młodzi jak ja. Nie wiem jak to się stało, że popatrzy-li na mnie i wiedzieli co jest grane. — Jeśli chcesz, to zostań z nami — powiedzieli — my też nie potrafimy przejść przez ulicę. Wtedy wzięłam po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie czułam takiej ulgi. Świat odpłynął z całą swoją kamienną twarzą, wirowały ciepłe ogniki. Chciałam brać. Brałam. Brałam wszystko, wa-chałam klej. Obudziłam się w szpitalu. Zapaść. Pomyślałam, że to chyba koniec. Lekarz podał mi lusterko. Zobaczyłam obcą twarz poranną brudami, zapadniętą oczu, rachityczne włosy. Przestraszyłam się. Wyszłam i chciałam się le-czyć. Ale nie umiałam o nic prosić. Po drugiej zapadł, przeklinałam lekarzy za to, że mnie ratują. Po co?

Opowiedziałam ci swoje życie. Opowiedziałam ci swoje życie, bo chciałem cię wysłuchać.

— Powiedz, ile mam lat?

Próbowała się uśmiechnąć. Ogromne dziecięce oczy czekały na maleńki gest, może na jedno słowo. To było tak, jakby dziecięce oczy oprawił w starczą skórę i patrzył jak chcą się z niej wydostać. Nie ma narkomanów po trzydziestce — powiedział jeden opun.

— Albo nie, nie nie mów. A teraz idź sobie. Wszyscy odchodzą.

13.

Nigdy nie chciałem się leczyć. Zawsze wie-działem dlaczego biorę i jak skończy. Nie pro-siłem o pomoc. Lekarz obejrzał mnie i powie-dział: rzucić się pod pociąg, przecież i tak jesteś samobójcą. Racja.

Lepiej zdechnąć od razu, niż dostać się na otruwanie. Jesteś sam, dusisz się, wściekły ból rozpruwa wnętrzności, rozwała skronie, czujesz, że ogromna lokomotywa miazdzy twoje mięśnie, wykręca stawy, wbiła grube szpile. Widzisz po-twora, który kłapie zębami, albo nie widzisz nic. Pustka. Nie wyrobiłem.

Ile mi zostało. Trzy, dziesięć, może dwadzieś-cia kopów. Może dwadzieścia odpaiów. Już nie ma w co walić: zapalenie żył. Już nie ma siły walić. Ile mi zostało. Już nie chcą dawać mi na kredyt. To znaczy, że niedużo...

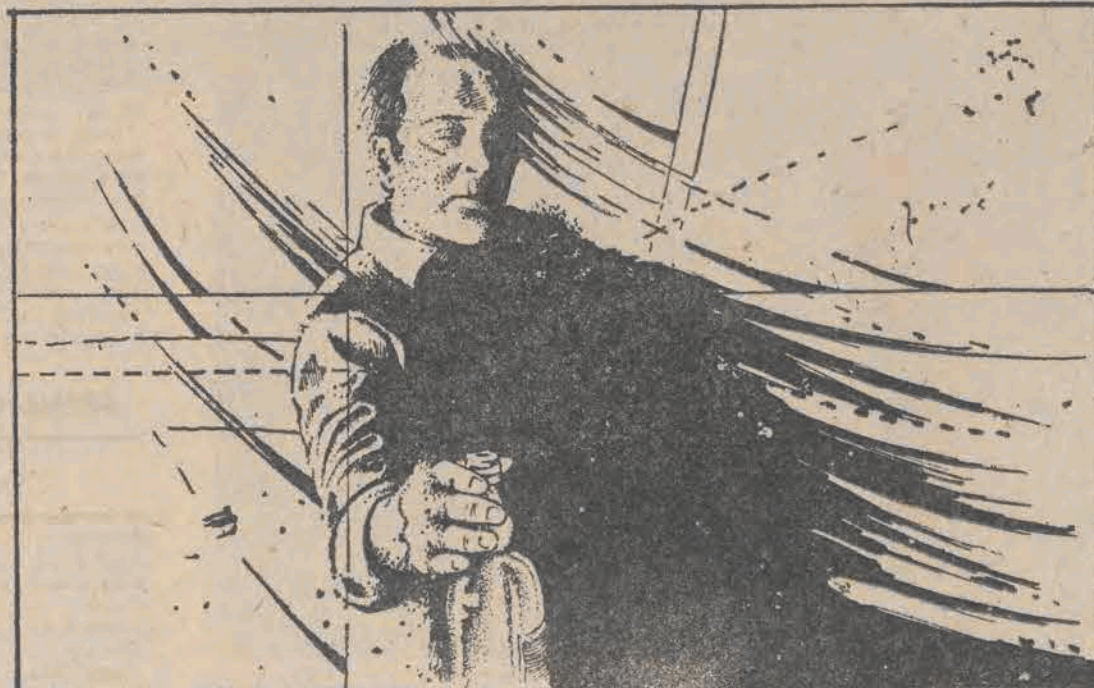
Człowiek, to taki mechanizm — powiedział jeden opun — w którym wszystko przypadkowo jest żywe.

... nie jest ważne, słyszał tylko muzykę, tańczy mózg, a ciało nie tańczy, odpływa ci-chutko, jest dobrze, pusta strzykawka wpada w bioto, pal ją licho, buri świat rozmywa się we mgłę, mgła pachnie kasztanami, może ma-ciejka, jest dobrze, nie liczysz głupich lat, nie liczysz głupiej forsy, nie masz problemów z dziurawym butem i noża jutrzeńki na gardle, chemia działa bezboleśnie...

ROMAN KUBIAK

Praca nadesłana na konkurs „W środku Pol-ski — w środku życia '85”.

NR 10 (1458), XXIX, 8 MARCA 1986 R.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Redakcja „Odgłosy”

Proponuję — jeżeli to jest możliwe — druk wiersza poświęconego Michałowi Tatarakównie. Wiersz obszerny, oparty na słowach Michałiny, z którą bardzo często rozmawiałem (i telefonicznie, i będąc u niej w domu). Wiersz ten („Rozmowa z białą brzozą”) wchodzi w skład tomu wierszy, który ma się ukazać za 2-3 tygodnie (może za miesiąc) w Łódzkim Wydawnictwie pt. „Znak Pamięci”.

A więc wiersz ten został napisany około roku temu, po rozmowach — jak już powiedziałem — z Tatarakówną.

HENRYK HARTENBERG

Rozmowa z białą brzozą

Poświęcam Pamięci:
Michałiny Tatarakówny-Majkowskiej

W moich snach bieleje brzoza
Taka biała — taka biała...

A tam za oknem — prawiecznie drzewo wciąż szumi i szumi...
Głębia poznania: o tym że kora nabrzmiała jasnością pęka
A krople zielonej żywicy spływają — cicho cichuteńko
W samo dno rozpalonej ziemi — że na omdlewających łaciach
Lśnią krople żywicy srebrnej rosy —
Wtedy w pełni księżyca gwiazdy srebrną strugą — schodzą
W wilgotność wszystkich szczytów i wszystkich pęknięć natury...

Ale to już fascynacja nocy — to już sanktuarium rodzącego się
Światu! Tylko ptak rozbudzony własnym oddechem krąży nad
Moją samotnością jak gdyby chciał zatrzymać czas na granicy
Pokonanej ciemności i drzemającego jeszcze dnia —

O tej godzinie wychodzę w antyczny świat
Opętany harmonią i dysonansem — świat
Zmieniający wciąż doskonałość kształtu i barwy
Tak niezniszczalny i tak bezpowrotny...

Ale to już łaska wyobraźni — Włóż słuchajcie:
Poprzez wszystkie niepokój naszych czasów —
Poprzez własną niepokój i rozdarcia słyszę
Szept wychodzący z tajemnego wnętrza oszronionej
Brzozy w której mądrość szeleszcząca:

„O — tyle lat dawałam Ci błogosławiony cień
Harmonie spokoju i najczystszy ton leśny
Przynosiłam Ci głos wieczornego dzwonu wzywającego na
Ave Maria
I pieśń poranna nasyconą dobrocią i legendą płynącą
I głębię wysokiego nieba i trzepot skrzydeł czapli i żurawi
Przelatujących nad koronami drzew
Wracałam Ci wiarę po duiach gniewu i krwi
Gdy człowiek wołał o litość wzywając miłość

Bardzo mi zależy na jego publikacji. Tydzień, dwa przed śmiercią przeczytałem wiersz ten Tatarakównie, była ogromnie zadowolona i wzruszona, dlatego też chciałem spełnić w jakimś stopniu to, co jej obiecałem. Znałem ją tyle lat. Ukończyliśmy razem dwuletnią Szkołę Partijną przy KC. Ona została skierowana do Łodzi na sekretarza KW PZPR, a ja na sekretarza KM we Wrocławiu. Los nas zetknął ponownie w Łodzi. Pamięć tej dzielnej kobiety jest mi więc bliska (choć, kto jest bez błędów, aniołów na ziemi chyba nie ma). A więc ogromnie mi na tym zależy. Dziesięć dni temu (rozmawiając z nią) nie myślałem absolutnie, że zjedzie z tego świata tak szybko. Niezbądane są losy Człowieka!

Łódź, 23.II.86

HENRYK HARTENBERG

A przecież jesteście jeszcze tak bardzo ułomni i tak bardzo doskonali

Wrastamy w Ziemię w której płoną rzeki naszych
Snów młodzieńczych trwamy w zmaganiach w buncie
W nieśmiertelności — Jednak czas szybko odpływa
Zamieniając nas w pył —
Posłuchaj — proszę Cię.
Jeżeli uschną gałęzie na których ptak radosną pieśnią
Ślawi powrót wiosny jeżeli kora ze mnie odpadnie
Tak jak z człowieka odpada ciało i odlataje duch
Jeżeli gwiazdy odpłyną kanałami chmur
Jeżeli korzenie moje zamienią się w skamieliny
Jeżeli wiatr nie dotknie już nagości moich.
Szczelin
Jeżeli cień odejdzie na zawsze i rozpadną się
W drewno na podobieństwo pradawnych bożków —
Pogańskich
Wtedy uczyni:

W cichą wiosenną noc — kiedy niebo i ziemia przynoszą dary
Życia — pochowaj mnie — moje drewniane ciało — tam gdzie
Z ziarna wielkości mgiełki wyrosłam na brzozę rzucającą
Zielone światło na Twój Dom Rodzinny — O tak!
Bardzo Cię proszę!

W moich snach bieleje brzoza taka biała taka biała:
Wiele posłuchaj mój Przyjacielu wiecznie szumiący historią
Moich zmagani spoiętych dni i jasnym światłem — O tak były
I ciemności w które wciągnę człowieka z martwymi już
oczyma —
Wtedy czasy odarte ze złudzeń nabierały barwy rozpaczliwego
Dramatu — O tak! Widziałam mord i chciwość moich tego
Świata i tych zaślepionych żądzą sławy którzy zapomnieli
O ziemi i niebie o prawdzie i sumieniu — poznałam intrygi
Władców i wielkość walecznych zbuntowanych i sprawiedliwych!
Pamiętasz? Z nieskończoności bólu powracałam przecież do
Ciebie? Ty brzozo moja milcząca — wzywałam wtedy
Mitycznego Szybia: jego cierpliwość i dumę — wtedy...
Wtedy powracali nadzieje i sny o wielkości Człowieka!

Wiele wciąż krąży i pytam: czy już wiecie jak trzeba
Uchronić Człowieka przed zagrożeniem szaleńców? Jak?
O losie ludzki — jak bardzo chwytająca jest przestrzeń przez
Którą kroczymy ku światłości i doskonałości — może
Rodząca się dobroć złagodzi smutek i tęsknotę zbliżając
Bezkrzesne dale Arkadii — tutaj: do mojej Ziemi rodzinnej!
Do mojego miasta wyzwalonego w którym wciąż rozbrzmiewa
Etiuda Rewolucyjna!

Czas przemija: ale ja pozostaję tutaj: gdzie wciąż
Zmagam się z żywiołem zła o Prawdę Twoją Moją Naszą!
A nade mną miliardy przyjaźnych gwiazd i płonących
Horyzont i wciąż znajduję się na granicy trwania chociaż
W zgiełkliwości dnia zagubiona została cisza bez której
Każda miłość zatraci swój kształt Złotego Jabłka...

Ale nie! Nie wszystko się jeszcze dokonało — przecież
Wychodziłam do Ciebie Siostrzo Moja Brzozo — o północy:
Dotykałam Twojego chropowatego ciała tak jak
Anteusz ziemię i szeptałam błogosławione milczenie
I wulałam się w ciepło Twojego drewna: wtedy mijal
Gniew i żal sprawiedliwy — powracali spokój —
A ja wstępowałam w próg mojego domu: ocalonego!

Wtedy zrozumiałam:
„Nie śmierć nie strach i niechłubne chwały”
Nie złudne sny o potęgach tylko biała Ojczyzna brzoza
Która bieleje w moich wizjach zbuntowanych —
Z nią prowadzę dialog odwieczny (co jest dobro i co jest
Zło) — z nią wstępuję w proki Hadesu pamiętając
O Tych Mężnych którzy igrają ze śmiercią zmagali się
O życie: spełniające się!

W snach moich bieleje brzoza mojej Ziemi:
Mojej Ziemi
Odrodzonej!



Foto: Grzegorz Gałasiński

Minione lata liczyłam inną miarą...

Rozmowa z prof. HANNĄ MAŁKOWSKĄ

HANNA MAŁKOWSKA, aktorka, reżyser, pedagog, związana była z Łodzią od 1952 roku. Występowała tu na scenach Teatru Nowego, Powszechnego i przez wiele lat w Teatrze im. S. Jaracza, gdzie stworzyła wiele kreacji aktorskich, wyreżyserowała kilkanaście sztuk. Osobny rozdział stanowi jej praca pedagogiczna na Wydziale Aktorskim PWSFTiTu w Łodzi, w której sprawowała funkcję rektora, dziekana, profesora.

Jest również autorką 2 książek: „Wspomnienia z Reduty” (wydana przez PIW w 1980 roku) i „Teatr mojego życia” (wydana przez Wydawnictwo Łódzkie w 1976 roku), w których podsumowała to, co przeżyła, zapamiętała, głównie w teatrze. Wielokrotnie odznaczona i nagradzana najwyższymi odznaczeniami państwowymi.

Hanna Małkowska odeszła od nas, pozostawiając wiele wspaniałych wspomnień wśród tych, którzy ją znali osobiście i wśród tych, którzy znali ją ze sceny, kart książkowych...

Publikujemy jej ostatni wywiad, który zdała autoryzować, ale którego nie zdała już zobaczyć w druku.

— W swojej książce „Teatr mojego życia” w końcowej części napisała pani: „Czas teraz nie należy do wspomnień, jest tak zmienny, że ocena z wczoraj może być dziś mylna”. Jak z perspektywy czasu ocenia pani to, co wtedy napisała?

— Sprawy spojrzenia, kryteriów są dziś zmienne. Dążymy do krystalizacji pewnych spraw artystycznych, ale nie możemy powiedzieć, aby ta krystalizacja już nastąpiła. Nadal więc podtrzymuję to, że

czas teraźniejszy nie należy do wspomnień. Tylko bardzo młodzi ludzie mogą mówić, że kilka lat upoważnia już do wspomnień. Liczę minione lata inną miarą.

— Teatr pani młodości. Był to okres niezwykle bogaty w wydarzenia, w nazwiska wielkich aktorów, okres kształtujący oblicze polskiego teatru.

— Był to okres, który szczególnie obrodził w wielkie talenty aktorskie. Wybitni aktorzy tego okresu wchodziłi w 20-lecie międzywojenne, jako dojrzały artyści. W warunkach wyzwolonej ojczyzny mieli możliwość pokazania swoich talentów — reformatorzy naszego teatru: Leon Schiller, Juliusz Osterwa, Aleksander Zelwerowicz. Mniej było teatrów, ale większe skupienie ułanowanych ludzi w poszczególnych zespołach, co podnosiło poziom tych teatrów. Uważam, że gdyby zebrać dziś wielu wspaniałych, współczesnych aktorów, rozproszonych w 60 teatrach całej Polski, to można by w Polsce stworzyć trzy świetne teatry. Przybyła większa ilość utalentowanych reżyserów. Dzięki festiwalom, prześladowaniom, dzisiejsze teatry terenowe mają większą możliwość pokazywania swojego dorobku, aniżeli dawniej. Wspominałabym też o zwyczaju panującym w teatrze międzywojennym: o zapraszaniu na gościnne występy wielkich aktorów. Taka wizyta miała ogromne znaczenie dla zespołów teatralnych, gdyż mobilizująca wpływała na aktorów i wszystkich ludzi tworzących teatr. I jeszcze sprawa repertuaru, obecnie jest on bardziej wartościowy, dawniej teatr musiał żyć tylko z kasy



Fot. Fr. Myszkowski

dzienniej i często sięgał do repertuaru bulwarowego.

— O pani profesjonalnym wejściu do teatru zdecydowały tradycje rodzinne i dom wypełniony tradycjami teatralnymi i sztuką, bo przecież był to dom rodzony wnuka Wojciecha Bogusławskiego, ojca sceny narodowej?

— Owszem, ogólna atmosfera domu, żyjącego teatrem wpłynęła na kształtowanie się zamożności i charakterów, ale to nie wystarczyłoby do podjęcia przeze mnie decyzji poświęcenia się teatrowi. Np. moi dwaj bracia nie zradzali chęci do aktorskiego zawodu. Impuls, który kierował mną, to chęć pokazywania tego, co mi się podobało, a więc fascynujących mnie wówczas wartości oraz chęć zaprezentowania siebie przed innymi (po częściowo przed domowym au-

dytorem). Zapytana o to, co zdecydowało o moim wyborze zawodu aktorki — odpowiadałam: — chęć bycia kimś innym.

— Kiedy odbył się pani pierwszy występ na scenie?

— Miałam wtedy 9 lat. Grałam gołębia w „Baśni o Królowej Róży”, gdzie krzyczałam — burza idzie, chrońcie się i tańczcie menueta. Pamiętam, że nie chciałam zjechać baletek, bo nie wyobrażałam sobie, że mogłabym chodzić w czymś innym.

— Grała pani później wiele ról w znaczących przedstawieniach. Którą z nich uważa pani za najcenniejszą w swoim dorobku?

— Z okresu międzywojennego rolę George Sand w „Lecie w Nohant”, z okresu łódzkiego „Gospodynię w „Kobietach z Niskawuori”, lubiłam Ciotkę

w „Zaproszeniu do zamku”, Raczynię w „Weselu”, Babcie w „Czepku urodzona”.

— Miałam okazję poznać i grać z wieloma wybitnymi aktorami sceny polskiej: Osterwą, Jaraczem, Siemaszkową, Zelwerowiczem, Junoszą-Stępcowskim, Schillerem, Horzycą. Wróćmy wspomnieniami do tych, z którymi związana była pani najbardziej?

— Najbardziej byłam związana z Osterwą, Schillerem i Horzycą. Z Juliuszem Osterwą poznałam się w Instytucie „Reduty”, grałam z nim w „Przebiegach”. Wspominałam go jako genialnego aktora i wspaniałego pedagoga. W jego obecności wszystko było łatwe. Osterwa znakomicie wyczuwał psychikę partnera, do każdego podchodził inaczej. Z Leonem Schillerem poznałam się również w Reducie, pod jego kierunkiem brałam udział w słynnej „Pastorałce”. Schiller to wspaniały człowiek, zupełnie innego gatunku niż Osterwa, obdarzony ogromną erudycją, dotychczas nie tylko kultury polskiej, ale i europejskiej. Obdarzony wielką wyobraźnią powodował, że zabrakło teatru, w którym mogłyby zmieścić się wszystkie jego wizje. Z Willem Horzycą pracowałam jako reżyser kierowanego przez niego teatru. Zachwycał mnie ołbrzymią kulturą i erudycją. Było w nim coś poetyckiego.

— A okres łódzki w pani karierze? W książce potraktowała go pani prawie wzmiankowo, z zaznaczeniem, że zapiski z łódzkich lat starczyłyby na spory tom. Czy myślała pani o trzeciej książce?

— W 1952 roku przyjechałam do Łodzi z Kielc, gdzie byłam dyrektorem artystycznym Teatru im. S. Żeromskiego. Zostałam zaangażowana do Teatru Nowego, w którym wyreżyserowałam sztukę „Dziwaczyna z dżbanem”. W Teatrze Powszechnym też dużo grałam, reżyserując „Poskromienie złośnicy” i „Współwinnych”. Bardzo dużo grałam i reżyserowałam w Teatrze im. S. Jaracza. Pyta pan o trzecią książkę? Myślę o napisaniu książki

o ludziach, którzy związani są z teatrem, ale nie zbierają okłasków, myślę o ludziach zza kulis teatru.

— Osobny rozdział stanowiła pani praca kierownicza w teatrze, oddzielny praca reżyserska, jeszcze inny — pedagogiczna. Jak duże były to rozdziały i co pozostawiły po sobie?

— Do prac organizacyjnych zachęcał mnie, a nawet zapędzał Juliusz Osterwa, który odkrył we mnie dyspozycję tego rodzaju. Na stanowisku kierownika artystycznego scen teatralnych w Kielcach i Radomiu pozostawałam w latach 1950 — 52. Nauczyłam się inaczej patrzeć na sprawy, z drugiej strony biurka. Pierwszą sztukę wyreżyserowałam w Teatrze Ziemi Pomorskiej w roku 1931, jej tytuł „Sarajewo 1914”. W sumie wyreżyserowałam około 80 sztuk. Rektorem PWSA zostałam w 1952 roku, okres ten pozostawił po sobie mnóstwo kłopotów pedagogicznych i organizacyjnych. W 1955 roku zostałam dziekanem Wydziału Aktorskiego i na stanowisku tym pozostawałam 15 lat. Do dziś wspominam bezsenne noce, trudne zagadnienia wychowawcze wydziału, troski życiowe studentów i konflikty. Zawsze dręczyło mnie poczucie odpowiedzialności, nieraz może nadmierne.

— Mówiliśmy o teatrze sprzed lat. A jak ocenia pani teatr dzisiejszy?

— Nigdy nie ma jednego modelu teatru. Istnieje rozwarstwienie publiczności i rozwarstwienie teatru. W tym samym społeczeństwie potrzebny jest teatr widowiskowy, kameralny (z poważnym repertuarem) i teatr awangardowy. Do każdego z tych teatrów trafi ten widz, który chce coś zobaczyć. Kiedyś były dwa gatunki teatru, obecnie jest ich więcej i wymaga to innych dyspozycji, innych technik...

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Z wierszy najnowszych

Zapachy

W zapachu kawy — świat niepoznawalny.
Domowych barwnych sferafinów psalmy.
Zapach herbaty — zapach nocy, w której
Czaj się płomień dziczości purpury.
Czuły aromat znieśliście różę
Wszystkie obłędności powtórz.
Uwiedle liście pachnąc zmiękczone ciążą,
Gdy gwiazdy w niebo światło swoje wpiszą.
Lecz ponad wszystko zapach chleba cienie,
W których się plągu sen zestrzelił z ziemią.
W nim wszystkie światła widzę, wszystkie
cienie,
Podświadomość w nim pomroki drzemia.

Opowieść śniegu

Śnieg opowiada biela, że się kończy życie.
Kres utajony widział w śniegu kolorystę.
Za oknem ubielone drzewa niosą w ciemność
Ogromnego cierpienia swego bezpromiennost
Samotność i brutalne bolesne wyklęcie.
To są u kresu życia czarne two pleczęcie.
Pies wyrzucony za drzwi w bezdomność
zamieci
Te kres twojego życia, co widmowo świeci.
Noc cię przekreśli, żeby śladu nie zostało
Po tym, co w tobie ogólnie tworzącym
szalało.
Śnieg i nie więcej, wielkie białe zapomnienie.
Te cienie, czy nie twoje odchodzące cienie?

Rozmowa

Rozmawiam z szarym kamieniem.
Szary kamień opowiada mi szarość,
opowiada nielustnienie.
Opowiada, że wszystko było
i wszystkiego nie będzie.
Była Asyria — nie ma Asyrii
Był Babilon — nie ma Babilonu,
Czas nielustnienie przedzi.



Pamięci Stanisława Maryi Salińskiego

Na ziemi mazowieckiej leży wielki śal,
Gorzką jak wierzba rosterka i jak gorycz brzoś,
A tople chwytają pierzchającą dal,
Ból w ziemi mazowiecką po korzenie wróś.
Cisza wieczornej ziemi jest jak ciemny krzyk,
Każda chwila — przelotny i samotny ptak,
Co w zorzy, jak w czarnej rzeczce, nieba zniki,
Był poznaj przemianę piosenki smak.
Pokolenia minęły, miniesz również ty.
Cień był i nie ma cienia już przed tobą — patr!
Opadające liście są jak twoje izy.
Jak twój obejmujący cała ziemię płacz.
Panie czarodziejuś w zwykłych zdarzeń,
I gwiazd i latań, człowieka i chleba,
Daj nam spełnienie wszystkich naszych marzeń,
Daj długie życie nam w obliczu nieba.

Modlitwa

Zbaw nas od nieszczęścia, Ty który w
czajnikach,
W cieniach i rzeczach mieszkasz niewidzialny
Bądźmy tonami w wiecznych Twoich muzykach
I swycki dzień nam przemień w górne psalmy.
Wybaw od mroku nas, tonących w mroku,
Przemień kalectwo nasze w kwiat ognisty,
Daj nam na ziemi źródła czysty spokój,
A w Twej otchłani spokój wiekiwsty.

Za muzyką

Ide za muzyką
W jej daleko,
Ja muzyk spod latarni,
plewca kurzu przyziemnego,
aniol sztydel i noży,
ciulacz gwiazd i bezsenność,
odkrywa siedmiu
promieni i cieniów,
wynalazca światła powszechnego.
Muzyka wiecie mnie
w tajemnicze zauki śpiewu
i takiego milczenia,
jakim milczy kamień i śuleg.
Ide za muzyką, którą grają mi
stare strychy z nagromadzonymi
na nich gratami.
Dotykając rzeczy,
dotykam klawisz
niewidzialnego fortepianu.
Wtedy sklepy przemieniają się
w zaczerpniętą krainę snu
i w tej wielkiej niedorzeczności,
która jest najbardziej dorzeczną.
To nie trzy gwiazdy,
te trzy misiki
trzy melodie
mojej muzycznej wiozęgli.

Poeeci polscy, którzy de-
biutowali przed ro-
kiem 1939, z reguły
wiązaali się aktywnie
w nurt sporów i
programów artysty-
cznych 20-lecia międzywo-
jennego, przystając do którejś
z jakieś licznych wówczas grup
literackich i współokreślając
przyjęty przez jej członków
światopogląd twórczy. Pod tym
względem twórcy artystyczny
Włodzimierz Słobodnik, poety
i tłumacza należącego do star-
szego pokolenia pisarzy, wyda-
je się być typowy — w 1922 r.,
debiut na łamach prasy, póź-
niej członek grupy „Smok” i
polemizujący ze „Skamandrem”
grupy „Kwadruga”. Jednak
Włodzimierz Słobodnik od po-
czątku niezbyt chętnie podpo-
rządkowywał się jakimkolwiek
sztywnym założeniom; był za
silną indywidualnością, by do-
browolnie zrezygnować z wła-
snego stylu, z własnej wypracow-
wanej formy wypowiedzi. Ta
cecha do dziś pozostaje jednym
z głównych atutów jego poezji

Przed wybuchem wojny Sło-
bodnik zdążył ogłosić jeden to-
mik wierszy „Modlitwa o sło-
wo”, wydany w roku 1927. W
latach okupacji przebywał po-
czątkowo we Lwowie, później
los rzucił go do Uzbekistanu,
skąd w 1945 roku powrócił do
kraju wraz z żoną. Był już
wtedy poetą w pełni ukształto-
wanym i dojrzałym duchowo,
bogatszym o całą gamę przeżyć
i przemysłów, jakich dostarczył
niełatwy, lecz niewątpliwie in-
spirujący wrażliwą osobowość
pisarza, okres wojennej tułacz-
ki. Rozbudzona szeroko do-
świadczeniami aktywność twór-
cza zaowocowała w Polsce lu-
dowej wieloma oryginalnymi
publikacjami, oczywiście głów-
nie poetyckimi, choć Włodzi-
mierz Słobodnik może pochwa-
lić się również niejedną, war-
tościową pozycją przekładową
(np. znakomite tłumaczenie „Po-
tepienia Paganiniego” Winogro-
dowa), nie licząc drobnych u-
tworów z dziedziny literatury
dla dzieci. Nie związany po-
wojnie z żadnym ruchem lite-
rackim, lecz czerpiący pełnymi
garściami z wszechstronnej
spuścizny kultury europejskiej
i mocno wrosnięty w glebę tra-
dycji, nie jest Włodzimierz Sło-

bodnik poetą anachronicznym.
Przeciwnie, jego poezja charak-
teryzuje się rzadko spotykaną
konsekwencją i niezależnością
myślową, będącą nieodłączną
cechą każdego wybitniejszego
pisarza.

Jako poeta, Włodzimierz Sło-
bodnik pozostaje przede wszy-
stkim lirycznym: nastrojowym,
sposrtegawczym, głęboko czu-
jącym i wciąż na nowo przeży-
wającym odkrywanie świata.
Potwierdza te spostrzeżenia wy-
dany ostatnio przez Państwowy
Instytut Wydawniczy tomik
poezji „Reszta światła”, dzięki
któremu możemy przekonać się
raz jeszcze o warsztatowej
sprawności autora, jego zdol-

Różne barwy mroku

ności do ożywania spraw i
rzeczy z pozoru martwych i
nieciekawych, o jego artystycz-
nej bezpretensjonalności. Mimo
iż jest to liryka niejednokrot-
nie szalenie osobista, mimo iż
tomik ten można by nazwać
rozrachunkiem z przeszłości,
swego rodzaju podsumowaniem
drogi twórczej autora, nie usły-
szymy tu żadnej fałszywej nu-
ty, nie wyłowimy chybiłonego
dźwięku. Uprawianie poezji o-
sobistej bywa niebezpieczne, łat-
wo tu o nieprawdziwość, o po-
padnięcie w jałowość i zacięto-
ską ciasnotę, trudno strzec
się czasem wyjawienia eks-
hibicjonistycznie rażących
szczegółów. Tymczasem Włodzi-
mierz Słobodnik nie przestając
być szczerym, nie zapomina
również o czytelniku, pozwalając
mu taktownie domyślać się
rzeczy, które wypowiedziane
wprost mogłyby budzić niesmak i
zniechęcenie. Granica pomiędzy
światem ewokowanym przez
poezję a światem realnym, do-

stepnym każdemu, jest tu zary-
sowana niezwykle wyraziście i
poeta czyni wszystko, by tej
granicy nie przekroczyć, by po-
zostać w zakłętym kręgu magii,
metaforyki, niezwykłości.
Różnorodne tematy swych wierszy
traktuje Słobodnik po ma-
larsku, kilkoma pociągnięciami
pędzla wydobywając z mroku
wszystkie subtelności szczegó-
łów wartych poznania i zamy-
ślenia. Bystry obserwator naj-
prostszych ludzkich spraw, pej-
zażysta umiejący w każdym
krajobrazie dostrzec elementy
niezwykłe i odnieść je do o-
wiecznych problemów eschatolo-
gicznych, opowiada o miłości,
śmierci i nadziei z surową pro-
stotą, miejscami ocierającą się
wreż o ascetyzm, lecz tym
potężniej oddziaływająca na
wrażliwość odbiorcy. Szczegół-
ne miejsce w zbiorze zajmują
wiersze napisane w latach o-
statnich, pełne zadumy i gor-
kich refleksji nad przeznacze-
niem człowieka, nad życiem ku
śmierci, która choć nieuniknio-
na, nie jest jednak w stanie
przekreślić całego dorobku
przeszłości.

Michel de Montaigne powie-
dział kiedyś: „Filozofować, to
znaczy nauczyć się umierać”.
Poezję Włodzimierza Słobodnika
czyta się z niekłamnym
szacunkiem, ponieważ pomaga
ona w zrozumieniu tej nieszla-
tej sentencji, ponieważ technic-
znie i mądrze i współczucie
dla ludzkiego cierpienia, wresz-
cie dlatego, że najskrytsze za-
kamarki duszy człowieczej zo-
stają przed nami odsłonięte z
wnikliwą wyrozumiałością ar-
tysty doświadzonego i nie uleg-
ającego chwytliwym modom.
Lektura tej książki może nie
tylko dostarczyć wielu wzru-
szeń, lecz może również stać
się narzędziem umożliwiający
lepsze, pełniejsze poznanie sa-
meo siebie. I za to wszystko
jesteśmy winni poecie głęboką
wdzięczność.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Włodzimierz Słobodnik —
„Reszta światła”, PIW, Warsza-
wa 1984, nakład 3000 egz.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

SLABOSTKI STASZICA

Stanisław Staszic był nie tylko znakomitym
pisarzem politycznym, ale także poetą i orędo-
wnikiem poprawności stylu i języka. Pisze Wła-
dysław L. Anczyk: „Główną słabością Staszica
była chęć pisania poezji i mania tworzenia wy-
razów oraz wprowadzania zastarzałych form je-
zykowych i zmian w pisowni. Wiódł on z te-
go powodu nieustanne spory z ks. Kopczyń-
skim, który znieść nie mógł tych, jak mawiał,
nowatorstw gramatycznych.

Wiadomo, że gdzie dziś używamy w dwugło-
skach j a naowczas y, Staszic używał i; z o-
koliczności tej zrobiono nawet wiersz:

A czy ty nie znasz księdza Staszica,
Co zamiast ojca mówi o-i-ca?

Niemniej też zastarzałym zwyczajem opu-
szczał w imiesłowach ostatnią samogłoskę, pi-
sząc, mianowicie w postaci powieszonej, pojman.
Ceniąc wysoko piękne utwory dramatyczne,
zwolennik tragedii klasycznych, których umie-
jętności grania tradycja dzisiaj zaginęła, mi-
łośnik przy tym opery, często odwiedzał te-
atr, ale wierny oszczędności, obwijał się w
płaszcz stary, kładł rudą perukę na głowę i
tak zamaskowany, szedł na parady, aby za
półtora złotego dogodzić swym upodobaniom.

O pewnym zdarzeniu w teatrze opowiada
też Kajetan Koźmian (1858): „(Staszic) ściśle
pilnował, aby nie wymawiano: w Polsce, ale
w Polse. Na nieszczęście wszystkie aktorki
wymawiały: Polse. Staszic je ciągle popra-
wiał, ale że aktorki często myliły się, znie-
cierpliwiony zawołał: „A zawsze to nieszczęśli-
we szcze!” — i powtórzył kilkakrotnie z przy-
ciśniętą drugą sylabę bez pierwszej. Młode ak-
torki rumieniały się zaczęły, a potem uśmie-
chać. Publiczność to spostrzegłszy odezwała
się głośnym śmiechem. Zdziwiony Staszic je-
szcze się nie spostrzegł, aż go ostrzeżono; wte-
czas rzekł: „Proszę mnie nie podchwytwać.
Casis omnia casta (Dla niewinnych wszystko
niewinne)” — i sam się śmiać zaczął”.

RIPOSTA

Pewny mędrzek chcąc sobie z jednego mło-
dego paniecia zażartować, rzekł mu: „Mości
panie, wielka by była z tego książka, czego
wasmóść pan nie umiesz”. „Ja zaś mówię —
młody odpowiedział kawaler — że z tego, co
ty umiesz, bardzo by mała była.”
Zebranie gładkich i dowcipnych
powieści i listów (Warszawa 1790)

KARNAWAŁ WARSZAWSKI W 1734 R.

Roku 1734, w czasie nader świetnego karna-
wału w Warszawie, na jednym z balów ma-
skowych dworskich dawanych w królewskim pa-
lacu (Saskim) znajdowała się maska, o której
przez długi czas mówiono. Prawa strona całej
osoby była okryta lachmanami, nega bossa,
torba parcia. Lewa strona okryta była suk-
nią z złotogłowiu, pellice i guzikłi tudzież
sprzączka w trzewiku kameryzowane diame-
tami i rubinami, guzikłi od kamizelki szmarag-
dowe oraz na całej sukni mnóstwo topazów,
szafirów i bardzo kosztownych kamieni. Na
prawej, to jest ubogiej stronie, był napis na
starym papierze: „Kto był takim”, a na stro-
nie lewej to jest bogatej, wszyscy drogiemi
brylantkami napis „takim być może”. W parę
godzin po północy nagle zmieniły się napisy,
to jest na stronie bogatej: „Kto był takim”
a na stronie biednej „Takim być może”. Nikt
nie mógł się dowiedzieć, kto był w tak o-
sobliwej masce.

„Kurier Warszawski” 1827 nr 20

NAGROBEK

Tu spoczywają panięskie szczerki zmarłej
dnia 7 lutego 1801 roku Genowefy Łucji O-
drzywolskiej, starościanki lidzkiej

W wieku lat 77

Co nie nikomu

Z życia nie dała,

A po śmierci:

Bogu duszę,

Ziemni ciało,

Trzy usie dominikanom

I dobrze się stało!

Encyklopedia humoru, T. 3. Warszawa 1914.

TAKIE SOBIE SKIROLAWKI

Naga, gorąca stała w środku pokoju Była
piękna, pomimo dość długiego zatrucia się.
Zuchwały bezwstyd prawdy, piękności... Szy-
ko podeszła do Kuźmy. Ukleka. Zaczęła nar-
wowo, szybko zrywać ubranie z niego... Zer-
wała wszystko... Kuźma leży nagi na otoma-
nie... Naga, ośniewająca, kategorycznie naga
położyła się na otomanie i wzięła w pionące
objęcia uspięnego Kuźmę. Palącymi ramiona-
mi przywarła go do swego ciała...

Zimnem, żółtem ciałem zaczynają wstrzą-
sać powoli głębokie, febryczne dreszcze, z po-
czątku rzadziej, lecz coraz to potężniej, moc-
niej, głębiej... jak burza, jak deszcz gwiazd,
jak zapierająca dech ulewa... straszne, mocne,
głębokie dreszcze... Dreszcze zaczynają prze-
chodzić w digawki, rwące, szalone...

Wtedy jedną ręką ujęła koniec swej różo-
wej pierś i włożyła go do ust Kuźmy... Dru-
gą wzięła lekko brzytwę i zrobiła nacięcie.

Krew, purpurowa krew zaczyna sznurem
różanem korali spływać do białych, bezbarw-
nych ust Kuźmy... Płynnie wrzącym strumie-
niem lawy... Pięta.

e.d.n.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

NR 10 (1458), XXIX, 8 MARCA 1986 R.

Ten niesłychany Zelig!

Woody Allen po raz któryś
z rzędu udowodnił, że jest
twórcą pomysłowym, intelligen-
tym i pełnym dowcipu, a ta
błyskawiczność i inwencja doty-
czą zarówno fabuły, jak i roz-
wiązań formalnych. „Zelig” jest
historią człowieka-kameleona,
potrafiącego w niezwykle spo-
sób wtapiać się w otoczenie.
Wśród Murzynów czernieje,
wśród Chłirczyków żółknie, a je-
go oczy stają się skończone, po-
śród grubasów tyje, a w gro-
nie lekarzy jest lekarzem i
prowadzi fachowe konwersacje.
Zelig zdumiewa Amerykę, zdumie-
wa świat. Lansuje nowy ta-
niec „epoki jazzu” — „kame-
leona”, jego dom odwiedzają
wycieczki, a twórcy kupuje
Hollywood, realizując film „The
Changing Man” („Zmienający
się człowiek”).

Jakie jest podłoże tego nie-
zwykłego daru, a może zabu-
rzenia? Usiłuje odkryć to dr
Eudora Fletcher podczas licz-
nych psychoanalizacyjnych se-
sjii. Sprawa się w końcu wy-
jaśnia — Zelig usiłuje być nor-
malny, nie wykracza ani w górę,
ani w dół ponad poziom
wyznaczony przez otoczenie. Dr
Fletcher przewrotnym spo-
sobem wycieczy Zelig z jego przy-
padłości. Ale Zelig przejdzie z
jednej skrajności na drugą: z
konformisty przeobrazi się w
nonkonformistę o tak wybuja-
łym indywidualizmie, że na cu-
dze zdanie: „Mamy ładną po-
godę” — będzie wszczywał bójkę,
bo jego sąd, chociaż słaby,
jest akurat przeciwny...

Ostatecznie Zelig wykreowany
na publicznego bohatera numer
jeden, zostanie publicznym wro-
giem numer jeden, a w finale
znów trafi na cokol i... w ra-
miona pani doktor, z którą ja-
ko małżonką spędzi resztę ży-
wota.

Zelig żyje w latach 20-tych i
30-tych, a przewrotność Woody
Allena polega na tym, że po-
daje nam tę historię jako ab-
solutnie prawdziwą. Zdjęcia wy-
glądają na autentyczne kro-
niki i dokumenty epoki, holly-
woodzki film na autentyczną
amerykańską szmire lat 30-
tych, a w dodatku o fenome-
nie Zelig wypowiadają się (ni-
by to wspominając) autentycz-
ne współczesne postaci (obok
innych fikcyjnych) — m. in.
Susan Sontag, Irving Howe,
czy Saul Bellow. O tym, że
jest to jednak genialna styliza-
cja i znakomity retusz świad-
czą pojawiające się w kadrze
uśmiechnięte twarze Woody
Allena i Mili Farrow; eboje są
szczęśliwie bardzo retro. Jednak
Allen wprawia nas co chwila
w osłupienie — Zelig u boku
Chaplina i Marlon Davies, Ze-
lig z Plusem XI, Zelig w świe-
cie Hitlera. Znakomity mon-
taż, inscenizacja czy ebróbka
taśmy w laboratorium? Niezła
zagadka dla widza, który oglą-
dając tłumy na ulicach Nowego
Jorku lat 30-tych, witał się Ze-
liga niezym Lindbergha, nie mo-
że sobie podobnych pytań nie
stawiać. Chyba nigdy w kinie
klamstwo wobec widza nie
osiągnęło takiej doskonałości.
Woody Allen, świadom kłamli-
wości i dwuznaczności fil-
mów montażowych, uzupełnia-
nych komentarzem, w przewrot-
ny sposób nam to uaoacznił.

Ale sukces tego filmu tkwi
także w czymś innym. To na-
prawdę obraz epoki, i to bar-
dzo serio. Życiorys Zelig jest
żartobliwym konglomeratem
faktów z życia znanych ludzi
ze świecznika tych lat — na
przykład Chaplina czy Lind-
bergha, a jednocześnie ży-
ciorysem kogoś niesłychanie w
owych latach poptolitego i
przeciętnego. Zelig jest nie-

zasymilowanym amerykańskim
Żydem — stąd jego dążenie do
wtopienia się w tłum i nieo-
biegania statusem od reszty.
Jest także utajonym neuroty-
kiem z Freudowskimi komplek-
sami, i wreszcie jest osobowo-
ścią autorytarną z zespołem „sa-
do-masochistycznym”; dąży do
rozpięcia się w anonimowej,
bezwolnej i bezkarnej masie.
Jak pamiętamy, ta „ucieczka od
wolności” doprowadziła do wy-
darzeń w Niemczech. Nieprzy-
padkowo Zelig trafia do Berli-
na entuzjastycznie wyciągając
dłoń w hitlerowski pozdrowie-
niu.

Zelig jest więc żywą ilustrac-
ją tez Freuda i Fromma —
tyle że karykaturalną, bo w
stanie czystym. A przy tym
wszystkim Zelig jest po prostu
człowiekiem, który w kranco-
wy, a więc absurdalny sposób, zilu-
strował zawartą w twórczości
Gombrowicza tezę, że nie mo-
żemy oderwać się od formy —
„geby” przypisanej nam przez
innych, czy też przywziewanej
na ich użytek na scenie życia.
Tak więc „Zelig” sytuuje się w
wielkim nurcie sztuki wiodącym
od Szekspira i Stendhala przez
Gombrowicza do... Woody Al-
lena.

„Zelig” to więc film strasz-
nie poważny — w swych
spostrzeżeniach i konkluzjach,
ale i niesłychanie śmieszny. Z
tym, że jest to dowcip intelek-
tualny, odwołujący się do wie-
dzy widza, do znajomości epo-
ki, wreszcie — do pewnej
„świadomości kina”. W prze-
ciwnikach manipulacji przez
montaż widzami, pomysły Woody
Allena wzbudzi na pewno a-
probate. Zwłaszcza, że demas-
kacja ta jest równie zabawna,
co i perfekcyjna warsztatowa.
Doprawdy, manipulatorzy mas-
mediów wiele by mogli się od
niego nauczyć.

Warto więc, po obejrzeniu
w telewizji przeglądu fil-
mów Woody Allena, wybrać
się na „Zelig” — ukoronowa-
nie tej twórczości.

TOMASZ KŁYS

„Zelig”, reż. Woody Allen,
prod. USA.

Kaprys czy zdrada

ROZMAWIAMY Z KRYSYNA RORBACH
SOLISTKĄ TEATRU WIELKIEGO W WARSZAWIE

— Niespodziewanie pani odeszła do Warszawy, tak zaskakujące łódzkich bywalców operowych, sprawiło im wielki zawód, przekonali się już bowiem, że w pani osobie mamy solistkę zdolną do najodpowiedzialniejszych zadań, jak tego dowiodły przynajmniej dwie ostatnie pani role — w „Lucji z Lammermoor” i w „Cyruliku sewilskim”, żeby nie sięgać do czasów nieco wcześniejszych. Ale jak doszło do rozstania z Łodzią i to na progu sezonu? Czy był to tylko „kaprys gwiazdy”, jak rozgłaszają niektórzy?

— Czuję się zobowiązana wobec łódzkiej publiczności, która zwiastowała ostatnio dzięki mnie jako artystce życzliwym uznaniem, wyjaśnić, że nie był to żaden kaprys z mojej strony, staram się zresztą nie przybierać pozycji „gwiazdy”. Był to przede wszystkim krok polityczny, którymi okolicznościami osobistego życia, które przybrały ostatecznie taki obrót, że musiałam pomyśleć o zmianie miejsca pobytu, przynajmniej czasowo, żeby móc w spokoju skoncentrować się na wykonywaniu zawodu. To nie znaczy jednak, że nie doceniam faktu uzyskania zawodowej pozycji w warszawskim Teatrze Wielkim, byłabym nieuczciwa, gdybym udawała, że jest mi to obojętne.

— Słowem, gdyby nie sprawy osobiste, śpiewałaby pani nadal wyłącznie dla łódzkiej publiczności i nie przyszłoby pani do głowy skończyć z jakiegokolwiek propozycji z zewnątrz?

— Nie chciałabym, żeby pozostały w tej sprawie jakieś nieporozumienia. Być może moja sytuacja osobista przyczyniła się do uświadomienia mi, że gdzie indziej otwierają się przede mną większe niż tutaj możliwości dalszego artystycznego rozwoju i może nawet wybicia się, wypłynięcia na szersze wody. Ostatnio nie byłam dość często obsadzana w premierach — od „Lucji” do „Cyrulika” upłynęły dwa lata i w ogóle rzadko występowałam. Pragnę wyjaśnić, że nie dążyłam do całkowitego zerwania z łódzkim teatrem, chciałam nawet utrzymać tu przynajmniej półroczną, na co wyraził zgodę proponujący mi angaż dyrektor Teatru Wielkiego z Warszawy — Robert Satanowski.

— Tak, słyszałam, że się to praktykuje, a nawet niektórzy soliści mają jednocześnie dwa pełne etaty w dwóch różnych teatrach, do czego wystarcza w zasadzie zgoda obu szefów. W takim razie, dlaczego nie udało się pani zachować chociaż półtora etatu?

— Dyrektor Pietras nie wyraził zgody na łączenie przede mną pracy w obu tych teatrach i wobec tak ultimatywnego postawienia sprawy musiałam wybrać. Warszawa, chociaż dla mnie zerwanie z Łodzią, jako dla wychowanki łódzkiej szkoły muzycznej, nie było obojętne. Czuję się na siłach sprostać obowiązkom w dwóch tak nieodległych od siebie teatrach, zwłaszcza że do Łodzi i tak zaglądam do potrzebującego mnie chorego ojca. Jeszcze na 2 września byłam z dyrektorem Pietrasem umówiona, ale wstępnej rozmowie telefonicznej została potraktowana niestosownie i wtedy dopiero kłamka zapadła.

— Moim zdaniem, nie musi się pani przed nami aż tak tłumaczyć ze swojej decyzji, ponieważ, jak uważam, każdy artysta ma obowiązek przede wszystkim wobec siebie, wobec swojego, danego mu przez naturę, talentu, którego zainicjowanie jest „grzechem”. Ma także prawo dążyć do artystycznej kariery, a jeśli ją robi (jak np. Teresa Żylis-Gara czy Teresa Wojtaszek-Kubiak) przynosi wtedy chlubę swojej szkole, swojej pierwszej placówce artystycznej, swojemu miastu, co należałoby uprzytomnić tym dyrektorom, którzy „obrażają się” na artystów, kiedy los zmusza ich do odejścia.

Jest to postawa małostkowego partykularyzmu, sprzeczną z dobrem kultury ogólnonarodowej. W tym jednak przypadku należałoby konkretnie zapytać, czy istotnie pani awansując się (oby nie wyłącznie) z Warszawy zawiera w sobie szansę na przyszłość...

— W nowym miejscu pracy poczułam się znakomicie, mam sympatyczne kontakty zarówno z kierownictwem, jak i z kolegami. Ponadto, od razu po przeniesieniu się „weszłam” w „Lucję”, śpiewałam już II premię w „Złotym koguciku”, wkrótce mam wejść w „Uproszczoną z seraju” i zapewne jeszcze w tym sezonie w „Traviatę”. Nie mogę więc być niezadowolona, zwłaszcza gdy porównam to z rzadkimi okazjami do śpiewania w Łodzi.

— Tego jeszcze u nas nie było, żeby soliści tak często jak teraz skarżyli się na brak okazji do śpiewania. Są opinie, że bierze się to z nadmiernie rozbudowanego zespołu w stosunku do niezmierzonego skromniejszego repertuaru i z powodu rzadkich występów zespołu przed własną publicznością. A co pani o tym sądzi?



— Nie będę tych spraw analizować, chciałam natomiast zwrócić uwagę na jeszcze jeden mankament. Otóż obecnie w łódzkiej operze nie myślę o doborze repertuaru pod kątem potrzeb wybitniejszych solistów, choć nieraz wiele się solistom obiecuje, np. mnie obiecywano „Martę”, w której z pewnością mogłabym wykazać wszystkie swoje możliwości.

— Jako śpiewaczka Jest pani przypadkiem chyba dość szczególnym, pamiętam panią bowiem sprzed niewiele lat jako mezzosopran i jeszcze na którymś z koncertów śpiewała pani arie z „Rozyny w pierwotnym rejestrze mezzosopranowym”, dopiero nie tak dawno temu objawiła się nam pani jako sopran. Czyżby głos pani uległ aż tak wielkim zmianom? Przyjmując, że tak jednak nie było, zapytam, co skłoniło panią do przekwalifikowania się. Czy np. oddziaływało na pani wyobraźnię, że wielkie kariery były raczej udziałem sopranistek? Czy też fakt, że występują one w rolach kobiet młodszych i

powabniejszych niż mezzosopran, którym często przypada kreowanie postaci charakterystycznych, czy to komических czy wręcz niesympatycznych? Proszę się nam to szczerze przyznać, jak na spowiedzi...

— Nie mam niczego do zatajania. Mój dawniejszy pedagog uznał mnie za mezzosopran, ale od początku czułam, że coś jest nie w porządku, ponieważ śpiewałam ze znacznym trudem i mój głos w pewnych tonach nie brzmiał jak należy. Do właściwego pokierowania moim rozwojem, już jako śpiewaczki, przyczynił się mój starszy kolega operowy Roman Werliński, który wyedukował mnie na sopran.

— A od kiedy dokładnie zaczęła pani występować w operze?

— Po ukończeniu wyższej uczelni muzycznej rozpocząłam pracę w Teatrze Wielkim przed dziesięć laty, za dyrektora Bogusława Madeya, debiutując w „Orfeusz” Monteverdiego, później występowałam w „Weselu Figara” w roli Cherubina i jeszcze kilka razy udzielałam się jako mezzosopran, zdając sobie coraz lepiej sprawę, że zakwalifikowano mnie błędnie z powodu mezzosopranowej barwy głosu, a mój pogląd potwierdził dyrektor Bohdan Wodiczko. Nie tylko zaakceptował moje przeistaczanie się w sopran, ale dał mi na to niezbędny czas. Musiałam wprowadzić śpiewać jakiś repertuar, ale nie zmuszano mnie do nadmiernej eksploatacji głosu. Były jeszcze role mezzosopranowe w „Wolnym strzelcu”, w „Don Pasquale” i „Zareczynach w klasztorze”, a jako sopran pojawiłam się po raz pierwszy w 1973 r. w roli „Traviaty”, pełna jeszcze obaw, ale poszło mi całkiem dobrze. Później śpiewałam w „Zydówce”, następnie tytułową rolę w „Lucji” i „Rozynę w „Cyruliku”; te trzy ostatnie role za obecnej dyrekcji.

— Nie ograniczała się pani do śpiewania w Łodzi lub tylko w kraju, stylizowały bowiem nie tak dawno o pani udanych występach we Włoszech...

— To właśnie dzięki roli w „Lucji” otrzymałam zaproszenie do udziału w wielkim festiwalu urządzanym w Arenie di Verona. Występowałam tam zarówno w festiwalu letnim, jak i zimowym, śpiewając też w operach Verdiego „Lombardczy” i „Il finto Stanislao” (znanej u nas jako „Dzień królów”).

— Obecnie powstała sytuacja, która wiąże panią na dłuższy czas z Warszawą i być może nieprędko odnowi pani swoje kontakty teatralne z Łodzią. Proszę mi jednak otwarcie powiedzieć: czy po tym co zostało wspomnianej panią a dyrektora Pietrasa byłaby pani skłonna występować znowu na deskach naszego Teatru Wielkiego?

— To chyba oczywiste, że wskutek istniejących dawnych i obecnych moich związków z Łodzią nie odzignę się od ewentualnej współpracy z Teatrem Wielkim, tutaj przecież stawiałam pierwsze kroki i pozyskałam sobie też grono zwolenników. Ale byłoby zupełnie nonsensem, gdybym miała zrezygnować z pracy w warszawskim teatrze, który przyjął mnie tak życzliwie i stwarza mi dogodne warunki dalszego rozwoju. Jeśli okaże się to możliwe, będę współpracować z różnymi teatrami, w tym zawsze z wielką radością z teatrem łódzkim. Ograniczenie mi jednak zależy na tym, żeby łódzka publiczność zechciała mi wierzyć, iż za moim odejściem nie kryje się żaden kaprys, żadna chęć pokazania komukolwiek swojej „ważności”, że niestosownie jest również ocenianie mojego kroku w kategoriach „zdrady” i z pozycji czystej bezstronnej obserwacji. Po prostu złożył się na to cały spłot okoliczności, doskonale znanych tym, którzy wypowiadają się publicznie na temat mojej rzekomej nielojalności.

— Wątpię, żeby moje osobiste rozgrzeszenie mogło pani wystarczyć, ufam jednak, że wielu naszych czytelników weźmie się w tak otwarcie przez panią przedstawioną sytuację. Dziękując za rozmowę i życząc nam wszystkim jak najszybszego pani występu przed łódzką publicznością, życzę przede wszystkim artystycznych sukcesów bez względu na to, dokąd zanoszą panią — oby sprzyjały one — wiatry.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

Kronika kulturalna

ZAKOŃCZYL obrady Zjazd Związku Literatów Polskich. Poprzedzony ożywioną dyskusją nie tylko w środowisku literackim, co świadczy o dużym zainteresowaniu szerokich kręgów społeczeństwa życiem literackim kraju, przysiężnik literatury — przysiężnik polskiej książki...

Zjazd poprowadził — niewolna od niespodzianek — kampania sprawozdawczo-wyborcza w ogniwach związku.

Zjazd wybrał na prezesa ZLP wybitnego prozaika, znanego działacza społecznego, posła na Sejm PRL — Wojciecha Zukrowskiego.

W zarządzie zasiadają także: Aleksander Bocheński, Feliks Fornalczyk, Jerzy Jesionowski, Jan Koprowski, Mikołaj Melanowicz, Aleksander Nawrocki, Aleksander Rowiński, Michał Rusinek, Wacław Sadkowski, Jerzy A. Sokolowski, Tadeusz Śliwiak, Józef Szczawiński, Kazimierz Truchanowski, Andrzej Wasilewski i Andrzej K. Waśkiewicz.

Dotychczasowym prezes, Halina Auderska, otrzymała tytuł Honorowego Prezesa ZLP.

Łódzkie środowisko literackie, trzecie w kraju pod względem liczności, nie jest w Zarządzie Głównym ZLP reprezentowane, jeśli nie liczyć ex-lodżianina Jana Koprowskiego...

ZAINAUGUROWAŁA działalność cykliczna impreza pn. „Łódzkie Warsztaty Operowe '88”. Cykl niedzielnych spotkań w Teatrze Wielkim wprowadzi widza i słuchacza w proces tworzenia widowiska teatralno-muzycznego — baletowego i odsoni tajemnic warsztatowe reżyserów, choreografów, muzyków, dyrygentów, śpiewaków i tancerzy.

Akcji patronuje redakcja „Głosu Robotniczego”.

WYDARZENIEM kulturalnym dużej rangi jest, eksponowana od 28 lutego br. w Muzeum Sztuki w Łodzi, wystawa malarstwa Jankiela Adiera.

Na otwarciu wystawy obecny był przewodniczący Narodowej Rady Kultury — prof. Bogdan Suchodolski oraz prezydent m. Łodzi Jarosław Pietrzyk. Przybyła też córka artysty — Nina Adler.

Eksponacja przygotowana jest niezwykle starannie — opatrzona katalogiem monograficznym w trzech językach.

Łódź — rodzinne miasto Jankiela Adiera jest trzecim miastem, goszczącym tę wystawę po Duesseldorfie i Tel-Awivie.

O wystawie i twórczości J. Adiera zamieścimy niebawem obszerniejszy materiał.

RÓWNIEŻ w Muzeum Sztuki eksponowana jest wystawa rysunków Tadeusza Kantorera. Eksponowane prace są szkicami scenograficznymi do spektakli „Niech szczena artysty” w teatrze „Cricot-2”. Fragmenty tego przedstawienia można obejrzeć z taśmą video.

Wystawa czynna jest do 18 kwietnia br.

BIURO Wystaw Artystycznych w Łodzi zaprasza na wystawę malarstwa i grafiki Janusza Przybylskiego. Otwarcie w dniu 11 marca br. w Ośrodku Propagandy Sztuki, Park im. H. Sienkiewicza.

ZNANY śpiewak operowy Wiesław Ochman przekazał na ręce przedstawicieli władz miasta Krakowa ponad 16 tysięcy dolarów — dochód z koncertu muzyki polskiej, jaki z udziałem m. in. Teresy Kubiak, Ewy Jaślar, Jerzego Gaczka, Janusza Kubiaka i Waltera Legawo odbył się z inicjatywą — biorącego również udział w koncercie — W. Ochmana w Nowym Jorku.

W KONSULACIE generalnym PRL w Glasgow odbyło się spotkanie z aktywem Szkocko-Polskiego Towarzystwa Kulturalnego, organizacji działającej od przeszło 21 lat na rzecz polsko-szkockiej współpracy kulturalnej.

W trakcie spotkania podkreślono szczególnie rozwijającą się współpracę środowisk kulturalnych Glasgow i Łodzi. Towarzystwo przygotowuje w bieżącym roku ciekawy program prezentacji kultury i sztuki polskiej w Szkocji, m. in. koncert Polskiej Orkiestry Kameralnej J. Maksymlika, z którego dochód przeznaczony będzie na CZMP.

NA SCENIE teatru „77” wystąpił szwedzki zespół teatralny „Jordcircus” ze Sztokholmu. Należy on do czołowych scen „teatru otwartego”. Szwedzki zespół przedstawił „Fojedynę” („The Duel”) — jest to sceniczna adaptacja dwóch opowiadań Josepha Conrada. Reżyseria: Marika Lagercrantz, wykonawcy: Chris Torch i Juan Rodriguez.

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki podniosło ceny biletów do kin. Nowe ceny mogą osiągać nawet sumę 150 zł, a na seanse nocne — 200 zł.

Podwyżka trochę kłóci się z logiką — wprowadzana jest w okresie zdecydowanej posuchy repertuarowej.

Wprawdzie nigdy nie traktowaliśmy poważnie obietnic, towarzyszących podwyżkom cen, a dotyczących wysokiej jakości droższych produktów i usług, ale łódzcy kinomanom domagają się chociaż przyzwoitego ogrzewania w niektórych kinach — skore już bilety są droższe...

Piękno ekslibrisów



Sztuki plastyczne podobnie jak literatura i muzyka są zjawiskiem które nie ma granic, jeżeli tylko są dobre, natychmiast zaczynają należeć do ludzkości świata, równie bowiem zachwycają i urzekają mieszkańców Europy, Azji czy Australii. Tak właśnie dzieje się z małą grafiką ekslibrisową. Własnościowe znaki książkowe powstają dziś w pracowniach wielu znakomitych artystów grafików różnych krajów świata. Ich właścicielami są mieszkańcy kraju ojczystego twórcy lub żyjący poza jego granicami. Prace te mamy okazję podziwiać niejednokrotnie na wystawach i pokazach grafiki artystycznej i użytkowej. Budzą przeważnie zainteresowanie i podziw, a u starszych wielkimi bibliofilów i kolekcjonerów zadumę nad ewolucją ekslibrisu, który obecnie jest jakże odmienny od tego, który oni znają i pamiętają z okresu swojej młodości.

Nie bez echa pozostaje też wpływ łódzkiej wystawy małej grafiki, imprezy o międzynarodowym zasięgu i sławie, która coraz skuteczniej zastępuje Biennale Ekslibrisu w Malborku, przeżywając ostry kryzys artystyczny a kto wie czy nie agonię. Uczestnicy łódzkiej imprezy graficznej to artyści stanowiący już czołówkę artystyczną swojego kraju lub ci, którzy ją w przyszłości niewątpliwie zasilą. Widzimy wśród nich także znakomitych grafików radzieckich. Poczesne miejsce w plastyce radzieckiej zajmuje grafika litewska. Artysty młodego pokolenia nadają jej bowiem szczególny wyraz poprzez tematykę prac tkwiącą korzeniami w

rodzimej twórczości ludowej, baśniach, legendach oraz stosowaniu zasad nowoczesnej kompozycji, technik metalowych i mieszanych, barwnej kolorystyki a nawet złocenia.

W okresie końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych graficy litewscy zkonali około 120 ekslibrisów dla Polaków, z czego prawie 10 procent zadedykowali mieszkańcom Łodzi. Wśród łódzian zdobywających książki ze swojej biblioteki znakami młodych Litwinów widzimy Cecylię i Janusza Duninów, Andrzeja Kampa, Grzegorza Matuszaka. Znaki wykonane dla nich pochodzą spod rylca tak znakomitych artystów litewskich jak m.in. Alfons Czepauskas, Grazina Didelyte, Joana Plikonyte-Bruzienne, Vincas Kisaraukas. Osobnie bardzo wysoko cenię grażiną Didelyte i Joany Plikonyte-Bruzienne uroczyste i młodych artystów wileńskich. Ich akwaforty to wręcz kunsztowne koronki graficzne, które mogły wyjść tylko spod kobiecych rąk. Ekslibrisy te są chętnie zbierane przez kolekcjonerów całego świata. W Polsce najpiękniejsze zbiory ekslibrisów litewskich dla Polaków posiadają Grzegorz Matuszak z Łodzi, Edmund Puzdrowski z Gdańska i Janusz M. Szymański z Warszawy.

TADEUSZ T. GUDZOWSKI

Większość zajęć ze studentami wyglądała mniej więcej tak. Czekając na salce wykładowej kilkanaście studentów i studentów. Miła kwadrans akademicki, potem jeszcze jakie pięć minut. Wtedy podnoszę się z pierwszej ławki i oznajmiam, że, niestety, również i dzisiaj z przyczyn wyjątkowej wagi profesor nie mógł przybyć na kolejny wykład z cyklu „Wybrane zagadnienia z literatury rosyjskiej”. Ażby więc czas oczekiwania państwa nie był całkiem stracony, pozwólcie sobie — mówię nadając głosowi odpowiednio autorytatywną modulację, jaką zapamiętałem w latach, kiedy namaszczony głos asystentów budził we mnie i w kolegach odpowiedni respekt — jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, podzielę się moją skromną wiedzą z dziedziny rosyjskiej epiki ludowej, ściśle tej gałęzi epiki, którą niesłusznie ufało się nazywać bylinami, gdyż ich nazwa właściwa brzmi starliny.

Sluchacze nigdy nie mieli nic przeciwko temu, a że historia powtarzała się nazbyt często, spoglądał na mnie niecierpliwie jeszcze na długo przed miniciem kwadransu akademickiego, dając znaki oczyma, bym nie przedłużał formalności oczekiwania. Niektórzy — zauważyłem — poprzekreślali w swych kooberulacjach urzędowy temat „Wybrane zagadnienia” i wpisywali „Rosyjska epika ludowa”, a pod spodem moje nazwisko.

Po każdym takim załpimprowowanym wykładzie czułem się w obowiązku odsłukać profesora, złożyć, jeśli istniały ku temu w jego rozpołożeniu ducha możliwości, wyrazy ubolewania i doprowadzić go do domu. O tej porze, kiedy kończyłem za niego wykład (szosta po południu), powinien był opuszczać już drugą (bo były dwie) „Ziemiańska” i znajdować się w drodze do „Fraszki”.

Mieszcza się w gmachu „Czytelnika” przy Piotrkowskiej 96. Odegrała więcej niż doniosłą rolę w wybuchu — bo to był do-prawdy wybuch — życia literackiego nazajutrz i w pierwszych

obfitością dość rzadkiej skądinąd wśród warszawiakolodźian wiedzy o ohydnie ludomańskich teoriach dotyczących wsi doskonałej, (które w imię tejże doskonałości należało zgnieść, zburzyć i pamiętać po niej zaościć jak grunta po Kartaginie). Często kandydatom na walecznych publicystów nie pozostawało nic innego, jak coraz nieśmielej potakiwać i z coraz mniejszą pewnością zapewniać, że właśnie myślą tak samo.

Czekając na pryncypała — który zjawi się niezawodnie, ale widocznie dłużej niż sądziłem zabawił w „Ziemiańskiej” — siedziałem przy samotnym stoliku pomiędzy stolkami „wiejskim” a usytuowanymi pośrodku sali połączonymi stolkami „Kuchni”. Kuchnię rozprawiali zawsze głośno, z poczuciem swego najwyższego miejsca w hierarchii lewicy intelektualnej. Zachowywali się niby swobodnie, pilnie jednak baczili na wyraz twarzy hetmana „Kuchni”. Odgadywali z niej, czy wywód, ewentualnie żart, znajduje aprobatę Stefana Żółkiewskiego, czy nie. Z oblicza drugiego w hierarchii z szefów „Kuchni”, Jastruna, czytać było znacznie trudniej. Było chmurnym i nieprzeniknionym obliczem człowieka, który doznał namaszczenia na niedostępnych parających się piórem śmiertelników piętach transcendencji. Arystokracja „Kuchni”, poza tymi dwoma, to: Pollak (starejacy się możliwie najbardziej) upodobnił do Jastruna, Ważyk — też zastępca (jego czas — prawodawcy bermanowskiego Parnasu — jeszcze nie nadszedł, choć jest już dość blisko), Sandauer (choćby własnymi drogami-myślimi: nigdy nie było wiadomo, czy i kiedy poprze, a kiedy wystąpi przeciw), Adolf Rudnicki (młoczek i w ogóle niepublicysta, za to piszący prozą artystyczną do-kładnie „jak trzeba”, bo o niedoli mniejszości narodowych w czasach nacji), Bruc, Kazimierz Brandys (champion zarozumiałstwa, dodajmy, że właśnie wtedy, choć dziś jest niewątpliwie innego zdania, osiągał szczyty swych artystycznych możliwości pisarskich), Paweł Hertz (herezjercha, jeśli chodzi o urzędowe rozumienie demokracji, za to doskonale laicki), Matu-

się właśnie we wlas — zastępca profesora, doktor Juliusz Saloni. Twarze tych, co schodzą z hałasem, są mi dobrze znane z fotografi w czasopiśmie literackich i podręcznikach. Aż tak zna-ne, że spłatało mi się w tym momencie w głowie, który jest który. Ale że tu co stolk to historia literatury, a i przy moim stoliku siedzą... no, nie było jacy, przestalem zastanawiać się nad tymi. Nie jestem już gospodarzem swojego stolika, lecz praktycznie doczeką. Świeże jednak uczucie sukcesu i dziwne przeświadczenie o przelomowym charakterze tego wieczoru, prawie już nocy, nie opuszczają mnie. Kątem oka widzę, że Jan Aleksander Król pochłonięty jest z kolei namawianiem do współ-pracy... — poznałem kto to — profesora Witolda Kulę, histo-ryka życia gospodarczego, do niedawna wybitnie rzadkiej specja-ności. Doktor Saloni właśnie wrócił z Moskwy i z zapalem opo-wiada o cennych znajomościach i plotkach towarzysko-politycz-nych. Należy do nich informacja „dla mojego profesora, że Szklowski na osobności wyraził się pochlebnie o wydanie przez pryncypała tuż przed wybuchem wojny monografii „Piedziest lat literatury rosyjskiej i wynosił jej „niezaprzeczalną świeżość spojrzenia”, natomiast literaturowiedzy podczas spotkań oficjal-nych zarzucają jej kłótnie — Saloni niepotrzebnie to mówi — tak zwany burżuazyjny obiektywizm, ponieważ szef omówił równie twórczości pisarzy, na których ciążyły oficjalne piny formy-lizmu, a także „wzmożenie”, gdyż nie pominął w swej syntezie roz-dział poświęconego (Saloni cytuję) „wypocinom sprzedawczy-ków-emigrantów”. Z panem Dobrowolskim wpadamy w osłupie-nie, profesor — nie.

Szum od stolika „Kuchni”. Zachwalają dramat Ważyka, który wydaje mi się, i nie tylko mnie, słabiej i prymitywny. Słuchają, zaczynam się po raz pierwszy zastanawiać nad zjawiskiem, które stanie się dla mnie jasne dopiero po kilku etapach: otóż cokolwiek napisze ktoś ze środowiska „Kuchni”, zaraz cała grupa i bliscy jej ludzie wpłyną na kluczowych stanowiskach tam-tożesnego życia intelektualnego okrzykiem zgodnym chórem owo coś napisanego za rzecz niebywale znaczącą. A co napiszą nasi „piastowie” z rozparcelowanego dworku, zburzonego mieszkania w Warszawie czy z wiejskiego opłotka, to należy — co najwyżej — pominąć milczeniem. A „piastowie” i tak sami sobie wysławiają wlasności ich naturze... niesprawiedliwość. Ot, przykład, który stanie się aktualny dopiero za parę miesięcy; zespol „Wsi” rozsypie się i w te pedy „stary” będą zwalczać tych „nowych” i na odwrót. Tak samo będzie i wszędzie. Typowe różnice cech i zachowań sarmackich (indywidualizm i brak instynktu interesu zbiorowego) i tych innych, najostrożniej mówiąc, niesarmackich — skonstatowałem grubo nie od razu...

Moji współbiedniacy przeszli tymczasem na klasykę polską i mówią z finezją byskotliwością o Lalce. Nie chcąc być jedynym przysłuchującym się rozmowie mistrzów takim byle jakim asystentem, też byskotliwie zabieram głos i porównuję ostatnią część Lalci, kiedy Wokulski przegrywa i postępowanie jego staje się przedmiotem powszechnej i jednogłośnie dezaprobaty, do exodusu po piątym epejsodionie tragedii greckiej.

— Gdzieś Lalca i tragedia grecka? Prus i Sofokles?! — śmieje się z mojej ignorancji Saloni, nim się zdołałem byskotliwie wy-jęczyć. Mój pryncypał słabo już kontaktuje, czy mu blyszczą, powtarza tylko w kółko swoje: „Wy dołny pomni!” eto oficjalno priewoschodnia wstrecza, kak raz niesomniennie poliezna wami Wy, Fadiel Awrelejewicz, szcztliwy, gorazdo szcztliwy.

— Zaczekajcie. Może on coś wam chce naprawdę oryginalnego powiedzieć? — bierze mnie w obronę Dobrowolski.

Nie przedłużam dalej wywodu, ale poczułem nagłą wdzięczność do Dobrowolskiego. Może dodam, bo zapomniałem w momencie sposobniejszym, że pan Stanisław Ryszard Dobrowolski — jako oficer przywykły do rozkazowania i w dodatku jako gładysz, mający szczególnie wzięcie u płci pięknej — dokonał przed-siewczą, jakiego mało komu z tych na gorze udaje się dokazać: doprowadził do zlamania „fraszkowego” przepisu o ścisłym roz-dziale przedmiotów konsumpcji między dołem a górą i przyniósł z baru pięciogwiazdową butelkę. Chęć wyrazić wdzięczność za wzięcie mnie w obronę (i nie tylko dlatego: tamten wiersz rzeczywiście mi się podobał, chwale jego ostatnio wydrukowane w „Odrodzeniu” Dymią kominy. Ale że jednocześnie nie chcę, by pomyślał, że chwale bezkrytycznie, bo podlizuję się, zwiergam się z wpatliwości. „Czy z tymi kominiami łódzkimi — mówię — nie ma pewnej przesady? Tyje czasu już tu mieszkam: kominy, owsem widuję, jak w każdym mieście, gdzie są fabryki, ale żeby aż takie było zatrzęsienie?”

— Z mojego mieszkania na piątym piętrze Domu Literatów naliczyłem ich równo pięćdziesiąt — zareplikował.

— Panie Stanisławie, wypijmy brudersaft — zwrócił się doktor Saloni do mego rozmówcy.

Piją. Profesor tłumaczy mi wciąż to samo: — Na pana, Fadiel Awrelejewicz, glazach istinno proischodit istoria. Wy tego nawierno nie ponimajecie, no eto samyj łuczszij dzień w waszej żizni.

— Pod ten najpiękniejszy dzień! — W oczach stają mi gwiazdy i wraz z wzięciem ich rozległego światła nawiedza mnie myśl przeczuchwała:

— To i my wypijmy, panie Ryszardzie, brudersaft.

Nikogo nadmiar zachwalości nie gorczy. Wstajemy. Przepla-tanki dion i dokuczliwe kołysanie się podłogi.

— Tadeusz.

— Stanisław Ryszard. Wole: Ryszard.

— To sam historyczny dzień w pana życiu — oświadcza tym razem prawie po polsku mój szklanooki szef.

— Ja ślejęzaj pridu — informuje szefa i jestem pewien, że wytłumaczyłem się po polsku. Teraz na mnie kolej postawić butelkę. Schodzę na sam dół z zadziwiającą brawurą po schodach, wymagających dalekosydnego trzeźwości.

Nie, to nie imaginacja. Staje się świadkiem sceny osobiwej, ale w tym momencie nic nie jest w stanie mnie zdziwić. Na bar-owych stołeczkach siedzą rzadkiem tamci niedawno przybyli. Ze też mogłem mieć wtedy wpatliwości, kto to i który jest który! Taką jasność mam w głowie, że wiem, co czuje Istota Nie-omylna. Ten pierwszy z lewej, starszy, z roześmianymi oczami i pasteurowaną brodką, to sam pan Leopold Staff (nie mieszka tu: pewnie przejechał, by podjąć z „Czytelnika” honorarium za nowy wybór wierszy). Ten obok... Julian Tuwim, w Polsce od niedawna (przyjechał do opiewanego miasta rodzinnego po ho-norarium z „Czytelnika”, lecz także — nie bądamy cyniczni — żeby odetchnąć najprzyjemniejszym dla niego w świecie powie-trzem łódzkim). Trzeci to autor jakże drogiego mi wiersza O Konstancji błękitny, o srebrna Natalio. W oczach Tuwima, naturalnie, też znak bachicznych oszołomeń. Czuje uwielbienie przez siebie Staffa w rękę, jednocześnie przytomnie nadstawia własną Konstancję Hefefonsowi. Ten (w jego oczach płaczą szarlatany i alkohole, a dykcja ma jak sama Inge Bartsch) za-trzepotał wolną ręką i przyzywa gwałtownie Huszcę, który jest nie tylko felietonista, lecz i podobno autorem wydanego przed wojną w Wilnie tomiku wierszy. Huszcza spełnia rozkaz i za-uważwszy mnie gwałtownymi sygnałami wolnej ręki przyzywa, żebym dosiadł się po jego prawej stronie i zamknął swoją osobą fańchu tego zbiorowego holdu.

Gdzieś z odległości wielkiej jak lata świetlne dochodzi do mnie echo obsesyjnego stwierdzenia mojego profesora: „To sam histo-ryczny dzień w pana życiu”.

Udać, że nie dostrzegam znaków ręki poety, na którym kończy się rzadek. Dopadam wolnej ręki Leopolda Staffa. Czuje...

Tarabanie się tam z baru w górę po schodkach dzięki bezin-teresownej pomocy Jerzego Jurandota. Ostatni szczebel wcale nie na czworakach: wystarcza obu nogom tylko sukurs jednej ręki.

PS. Być może, że w opisie „historycznego” wieczoru nastąpiły niejaki przesunięcia czasowe. Tuwim bodaj wrócił później, ale wspomnienia po latach, a i wymóg nadania temu odpowiednio nośnej konstrukcji, domagają się przywileju licencji. Ważniejsza niż prawda zegarka czy kalendacza jest — jak powiedział Mędrzec Pański — prawda atmosfery. T.Ch.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

„Fraszka” — łódzki Parnas sprzed lat

latach po wojnie. W każdym innym mieście oprowadzacz wycie-czek kierowałby tu potem przez długie lata swych podopie-czych, by pokazać, przy którym stoliku siadywali, rzecz dziwna nierozłączni — autor Bagnetu na brzoń z autorem Płynie, płynie Oka, by toczyły zadawnione spory i oceniały współczesność już to przez różowe, już przydymione okulary (w zależności od gwałto-zborów koniaku). Przy którym stoliku siadywała Naikowska — zazwyczaj z kimś przystojnym i bardzo męskim. Przy którym dokonała się ostatnia w dziejach Polski intelektualnej dyskusja między wielkim Tadeuszem Peiperem (jeszcze nie do cna zdi-waczalym; bo potem przez dziesiątki lat zamykał się nawet przed własnymi uczniami — awangardzistami) a wielkim Władysławem Strzemińskim na temat paraleli między rozwojem widzeń: plas-tycznego i poetyckiego. Powtarzam, w każdym innym mieście byłby ten lokal przez długie lata dla potomnych tym, czym — oś-miecie się nie widzieć w zestawieniu aż tak wielkiej przesady — „Jama Michalikowa” w Krakowie. Niestety, tamtożesni łódzcy oficerze oraz urzędnicy z wysokich i niższych, ale często właśnie w tych sprawach rozstrzygających stanowisk, działając na mocy „nie maturo, lecz checi i ostrożności szczerzej” podejmowali de-cyzje nie do naprawienia. Gdzieś około roku 1948 lokal „Frasz-ki” został zamieniony na sklep Delikatessów. O „Fraszce” wie już dziś w szybkim tempie szczupłająca garstka siwych, kulejących i gubiących ze starości słowa i wspomnienia... — nie wiem, jak nazwać — uczestników czy bywalców?

Na parterze była kawiarnia. W piwnicy, do której prowadził stromy, zmuszający do maksymalnej trzeźwości nóg, wlas ze schodami, mieścił się w dwóch pomieszczeniach — co za bar! W pierwszym pomieszczeniu koncertowało na Parnasie patriotycz-ne za i patriotyczne przeciw oraz do końca pianino pod pal-cami artysty mistrzowsko nie wylewającego za kolarz. W dru-gim, znacznie większym, pani z towarzystwa napieiała z tamtej strony lady zarówno trunki spartańsko-żołnierskie, jak i o nie-zwyczajnych, burżuazyjnych nazwach. Calowało ją się szarman-cko w rękę, a ona brała twórczy udział w każdej intelektualnej — z szumkiem! — rozmowie. Wolniejsza przestrzeń między obu pomieszczeniami służyła za parkiet, doskonały do wypróbowy-wania sprawności nogi... najcięższych głów w kraju.

Kawiarnia była utrzymana w tonacji oranż: stoliki, wystielane krzesła, taboretki, włosy blondyny o mile rubensowskich kształ-tach. Tym miłej kontemplowanej, że po blisko sześciu latach oglądania wyłącznie pań chudych. I tu panie podające kawę były doskonale zorientowane w hierarchiach na Parnasie znakomitej większości gości. Były to, zgodnie z konwencją jeszcze z okresu okupacji, na ogół panie z dobrych domów (rodowód Krysi Ro-bickiej w Popiele i diamentie. Jest dla tych czasów typowy). Kierowniczka sali patrzyła na nas i zachęcała do konsumpcji również... i ze ślany. Był to w umyśle ciężkich ramach (pa-rodia mieszkańskich portretów rodowych) pastel Jerzego Zaruby. Przedstawiał kierowniczkę jeszcze potężniejszą i okraglejszą niż była w rzeczywistości. Półleżała na sofie i wsparłszy głowę na dion spoglądała pytająco na wchodzących. Poniżej napis celnie wyrażał ideę dzieła sztuki przy pomocy zgrabnego dystychu: „Wiele rozkoszy płynie stąd: przy małej czarnej duża blond”.

W rogu, blisko drzwi wejściowych, a więc w miejscu spartań-sko nieprzytulnym, zasiadał zespol „Szpilek” i, jak wspominałem, miejsce to ulubował sobie Broniewski. Naturalnie, jeśli nie prze-býwał na dole. Przydujący stolikowi Leon Pasternak — w munda-urze wysokiej szarży — jak każdy rasowy redaktor pisma sa-tyrycznego miał twarz z kamienia i nigdy się nie śmiał. Przy następnym stoliku między oknem a ścianą rezydował ze swym „wiejskim” dworem jedyny monarcha w naszym demokraty-czym państwie (zamacham to, ponieważ tamtożesnie słowa „de-mokracja” i „demokratyczny” odmieniano w uroczystym słowie i piśmie we wszystkich przypadkach) Jan Aleksander Król, co samemu Mikolajczykowi prawił z trybuny sejmowej w imieniu swego stronnictwa prawidłowe polityczne impertynencje, major (o czym nie pozwalała zapomnieć szablą z kutasem, z którą nie rozstał się jak ongiś Pilsudski), a przede wszystkim redaktor naczelny Tygodnika Społeczno-Literackiego „Wies”. Redaktorzy mówiąc o piśmie nie omieszkali nigdy nazywać je pleno tytuło, żeby ignorant — a byli tacy np. w „Kuchni” — nie sądził, że jest to jakaś gazetka o sadzeniu saradeli i postępowym nawoże-niu. Pismo specjalizowało się w tym czasie w dwóch kierunkach: uderzeń w zwalczaniu zastanych ideologii wsi doskonałej uzna-nych przez Stronnictwo i Króla za klasowo nie dość ostre i nie-postępowe oraz skłupianiu postępowych pisarzy bądź ludowych, bądź wypowiadających się na te tematy. Tak było z początku, lecz czym bliżej 1948 roku, tym bardziej „Wies” stawała się pi-smem marksizującej młodzieży polonistycznej, niekoniecznie obeznaną z ludem i jego gospodarczymi problemami. Dodajmy jeszcze, gwoń pełności obrazu, że Jan Aleksander nie rozstał się również z miotającą wszędzie dymy fajką. Oba sarmackie na-rzędzia: szablą i fajka, żywo kontrastowały z panienkowatą cerą i takimiż rysami jego twarzy. Raniło to boleśnie wiarusowską ambicję wojska, więc rekompensował sobie niechciany dar na-tury często i gęsto grubym marszałkowskim słowem. Przy jego stoliku zawsze było pełno. Przysiadający dzielili się na dwie gru-py: członkowie redakcji wraz z aktywnym — to jedna, a druga — werbowani kandydaci na autorów. Wyszukiwał ich z niemalą pasją i nader często szczęśliwie. Najpierw informował wniebowlie-tego kandydata o drzemiacym w nim intelekcie i nie zrealizowa-nej wskutek niesprzyjających okoliczności zdolności pióra. Potem fundował kawę i tłumaczył cierpliwie, jakiego to od niego oczekuje artykułu. Sukcesy w tej misji miały co prawda na pewno znaczniejsze, gdyby jego sposób tłumaczenia był cokolwiek mniej zawły. Nadużywał skrótów myślowych, które były całkowicie jasne, ale tylko dla referującego, ale i tryskał z miejsca taką

szewski (jedyny z innej — dosłownie — parafraza: może dlatego tak dbał o postępowość duchowi i sądom czasu). I wreszcie Jan Kott — sięgający właśnie z niemalym rozmachem i zabezpie-czeniem publiczny po pozycję „polskiego Lukácsa”.

Ten szum radości i aplauzy przy połączonych stolkach wiązał się z ogłoszonymi przed chwilą tezami Kotta. Nie pamiętam, czy euforia dotyczy jego odkrycia nowego, i lepszego, wieszczą w miejsce klasowo kłopotliwego Krasieńskiego. Ma być tym wiesz-czem Józef Dunin-Borkowski, równy ponoć Słowackiemu. Co prawda też hrabia, ale mniej znaczny (a może Kott po prostu o tym hrabstwie nie wie). Najpewniej stoliki manifestują jednak radość z odkrycia Kotta w skali światowej, iż Robinson Crusoe na swej wyspie bezładnej stworzył nie urządzenia cywilizacyjne umożliwiającej mu przetrwanie, lecz zgnyły kapitalizm, który z czasem przerodził się w jeszcze bardziej zgnyły imperializm.

Przy stoliku najdalszym od drzwi siedzi wśród redaktorów „Rógi” biją co tydzień młody Jan Czarny. Też przyszedł znad Oku, ale tego nie będzie umiał wykorzystać. Satyryk, plastyk, niebawem pracownik dubbingu. Z początku dogryzał mi, nie wiem czemu, poprzez stoliki, z czasem do mnie przyszedł. Okazał mi sporo spontanicznej życzliwości. Póki nie zaczął brać mi czegoś za złe. Może braku lojalności względem jego nauki zdobycia sukcesów pisarskich? Polegała na uczeniu się warsztatu wylac-zanie u poetów, o których Warszawa i „prawdziwa” Zagranica wyraziły się przez wielkie: Ooof! Ponadto zalecała jak najmniej drukować i to książki najcięższe, co zagwarantuje, iż w wyniku brutalnej autoselekcji nie obniża na milimetr ich poziomu utwo-ry mniej doskonałe. Tym sposobem tomiki te, czy druczki, zos-taną automatycznie zauważone przez niewątpliwie nastawioną na takie tomiki jak czynny radar, znająca się na rzeczy i kompe-tenniejsza od Współczesności Przyszłość. Poza tym sam wydawa, a nie początkujący poeta, powinien zabiegać o wydanie tegoż poety wierszy, poeta zaś nie powinien z kolel od razu iść na lep takiej propozycji, póki nie osiągnie dojrzałości... A więc Czarny — o włosach barwy nocy, również, jak większość pisarzy, w wojskowym mundurze — rzuca w kierunku mego stolika dowiep-no-nieprzychylnie uwagi. Nie słucham, gdyż czekając na pryncypała właśnie uczyniłem odkrycie, że „wiele rozkoszy płynie stąd”, iż przy małej czarnej pojawia się gwałtowna chęć i wzmożona lat-wość pisania. Wyjmuję więc kotonotatnik, tomisko Russkaja us-tanija slowestnost M. Sperańskiego i tłumaczę bylinę Wasilij płanica. Większość naszych studentów rusycystyki nie zna... języ-ka, więc dobrze byłoby ich zapoznać z możliwie wiernym, arty-tycznym nie najgorszym przekładem typowej stariny na polski. Owo miłe podniecenie oraz gwałtowny zanik nieśmiałości wypły-wa stąd, że to są właściwie moje pierwsze styczności z tym czarnym trunkiem nakrytym musującą złotą pianką. W domu, jak wspominałem, pijało się nalogowo tylko herbatę, a w czasie wojny... to wiadomo...

Wlasz nie ma pryncypała. Słyszę srogie brzęki na wysokości ucha i prawej dion, owionęty mnie z nagła kłęby dymu. Fajka pochyla się jak berło. Otrzymuję nakaz udania się do stolika „wiejskiego”. Indagacja: kto jestem? co tu robię? nad czym tak śleczę? czy gdzieś drukowałem? Teraz naczelny (przełał właśnie zameczek Wieśka Jazdyńskiego) rozprawia ni to do mnie, ni do siebie. Nie nie rozumiem, lecz potakuję, bo co szkodzi... To bę-dzie późniejsze moje zadanie, owe rozważania, jak w świetle na-szej ludowo-rewolucyjnej ideologii odczytywać Ogniem i mie-czem. Muszę bezwzględnie przeczytać jego, Jana Aleksandra Kró-la, najnowszy artykuł Z ludu w naród. Bierze ze stolika egzem-plarz swego pisma, wręcza mi. Na pierwszy jednak ogień gwał-wia do „Wsi”, na pniu, przekład byliny, nad którym akurat śle-cze. Naturalnie, z filologicznym komentarzem. Bedzie to mój pierwszy druk od czasu konspiracyjnej Ucty Aureliana. Nieba-wem stanę się stałym współpracownikiem Tygodnika Społeczno-Kulturalnego „Wies”, „Dziś i Jutro”, „Arkony”. sporadycznie „Odry” i „Polonisty”.

Gdy wróciłem w poczuć zasłużonego triumfu do mego sto-lika i pozostawionych bagażów, przeszedł pan z duża brzdą i w brudnozielonym kapeluszu wcisnąłmi głęboko na oczy. Potem dowiedziałem się, że to Peiper — właściwy (przesłonięty późnie-j w świadomości ogółu przez szczególną żywność Przybosia), twórca polskiej Awangardy. Usiadł z kimś. Z inwalidą. Najpierw milczał, następnie mówiąc o o nowym języku sztuki i litera-tury, ale nic ich języka nie rozumiem. Potem podrzucano mi wiadomości, że ten kaleka to malarz i teoretyk światowej klasy, twórca unizmu Władysław Strzemiński.

Obok mego stolika zasiadał, lecz nie umściła się niczyim kie-runku — gdy zaś się patrzy na sąsiadów z góry, to o umniech trudno — satyryk znad Oku i dobry felietonista „Dziennika Łódzkiego” — Jan Huszcza. Po chwili zniknął sam w luku wie-dącym w dół. Otworzyły się, nieco za energicznie, drzwi wejści-owe. Nie patrzę — kto. Nade mną pochyla się mój szef (nie przy-szedł sam).

— Pan tu mnie szuka? przyszedłeś być... Zawsze kiedy jest na-bakier z trzeźwością, mówi komicznie wolapikiem. Zanim mi zdażytem na osobności wytknąć kolejną nawałankę z dzisiejszym wykładem, profesor przedstawił mnie przytemu oficerowi:

— Eto mój wielkolepny asistent, przyjaciel. On mnie powolu-du rugaet. Sieriozny malczik. Ja był wied' w jego wzrastle, wot, takozhe sam piewant.

Oficer uściłnął mi rękę z proletariacką mocą. Doszedł się, zwalwszy moje nie dokończone dzieło na taboret i podłogę. To był Stanisław Ryszard Dobrowolski, przed wojną czolowy poeta Kwadrygi. Pryncypał miał mnie z nim poznać jeszcze na Wilczej przed powstaniem warszawskim, jednak coś im obu niespodzie-wanie stanęło na przeszkodzie. Siedził dokoła mego stolika już czwórka, ponieważ odłączył się od tamtych, którzy wtarabani

Polemiki • Listy • Opinie

WIDZIAŁEM CZARNOKSIĘSKIE ZWIERCIADŁO MISTRZA TWARDOWSKIEGO

Nie w leżącym nad rzeką Weiną, w Poznańskim, Wągrowcu — jak pisał w balladzie „Pan Twardowski” — Adam Mickiewicz, ale w Węgrowie, mieście położonym na Podlasiu, znajduje się czarnoksiężskie zwierciadło, przy pomocy którego, jak głosi legenda, mistrz czarnoksiężskiej magii — Twardowski, wywoływał przed Zygmuntem Augustem ducha Barbary Radziwiłłówny.

Aczkolwiek historyczność postaci samego Twardowskiego podawana była w wątpliwość, to zwierciadło, mające być atrybutem jego magicznych praktyk, autentycznie istnieje po dziś dzień, a zobaczyć je można (zyskawszy przychylną zakrytą) w zakrytym węgrowskiej „fary” — kościele pochodzącego z początków XV wieku. Wisi to zwierciadło w otoczeniu starych portretów członków rodu Krasinski, fundatorów i dobroczyńców kościoła, ongiś właścicieli samego Węgrowa i innych położonych na Podlasiu włości. Wiek zwierciadła oceniany jest na pierwszą połowę XVI stulecia. Jest to płaska, metalowa płyta, sporządzona — według jednej wersji ze stopu miedzi i srebra, według zaś drugiej ze srebra, cyny i cynku, osadzona w szerokiej, pocieranej ramie. Rama, jak ocenili znawcy, jest od samego lustra znacznie młodsza, aczkolwiek także sędziwa: datowana jest na wiek XVIII. Widnie na niej wymalowany wielkimi literami łaciński napis: LUSERAT HOC SPECULO MAGICAS TWARDOWIUS ARTES LUSAT AD ISTE DEUS IN OBSEQVIUM EST, co można przetłumaczyć na polski: „Lustrem tym zabawiał się Twardowski czyniąc sztuki magiczne lecz teraz zostało przemieczone Bogu na służbę”.

Powierzchnia lustra jest smatowiała i trudno powiedzieć — ze względu na dość wysokie zawieszenie — czy odbija się w niej obrazy i z jaką ostrością. U dołu widać wyraźne pęknięcia, dzielące płytę lustra na trzy części. Pęknięcie ma kształt błyskawicy. O jego powstaniu krąży różne legendy. Podobno mieszkanka węgrowska Anna Ubryk, będąc w kościele spojrzała w nie i zobaczyła... diabła. Krzyknęła wtedy głośno i lustru pękło. Inna wersja powiada, że w drodze na Moskwę oglądał czarnoksiężskie lustru Napoleon. Uderzył je szpicrutą — i lustru pękło. Napoleona zaś (oczywiście za sprawą złych mocy) spotkał widomy koniec. Najbardziej jednak znana legenda głosi, że nastąpiło to w czasie wywoływania przez Twardowskiego przed królem Zygmuntem Augustem ducha Barbary Radziwiłłówny. Działo się to podobno na zamku w położonym również na Podlasiu — Knyżynie. Węgrowianie jednak twierdzą, że właśnie w Węgrowie, w czasie przejazdu króla do Knyżyny. Król, mimo przestrogi Twardowskiego, aby zachował spokój i milczenie, gdy zobaczył w lustrze obraz Barbary, zawołał głośno jej imię i wtedy lustru z głośnym trzaskiem pękło, mistrz zaś i król w niedługim czasie pomarli.

A tak naprawdę, to wywołanie ducha Barbary podobno odbyło się nie za sprawą mistrza Twardowskiego, ale jakiegoś królewskiego dworzanina, który zaprezentował przed królem, odpowiednio ucharakteryzowaną — aczkolwiek ludzkiego do zmarłej królowej podobną — własną krewniaczkę — Barbarę Giżankę. W odpowiednio przygotowanej sali knyżyńskiego zamku, wśród dymów i kadzideł, Giżanka zjawiała się przed królem w postaci Barbary Radziwiłłówny. Czy w seansie tym uczestniczyło w charakterze rekwizytu czarnoksiężskie zwierciadło — nie wiadomo, ale wykluczyć tego nie można.

Mistyfikacja wydała się, a król zatrzymał Barbarę Giżankę na swym dworze, gdzie ponoć bez żadnych materialnych profitów, przebywała aż do śmierci Zygmunta Augusta.

Jak trafiło lustru Twardowskiego do węgrowskiej fary? Twardowski (który podobno żył naprawdę i pod zlatynizowanym nazwiskiem Duranovius — „durus” po łacinie znaczy „twardy”) — przybył w połowie XVI wieku z Wittenberga do Polski (miał być zapisem w testamentie swemu protektorowi, biskupowi krakowskiemu Franciszkowi Krasinskiemu, ten zaś, a może ktoś z rozgałęzionego szeroko rodu Krasinski, darował je ufundowanemu przez Krasinski kościołowi w Węgrowie, stanowiącemu podówczas własność rodu).

W każdym razie lustru jest niewątpliwą esoteryką i okazem unikalnym podobno w skali europejskiej, a nawet światowej, a to z racji jego idealnej gładkości, nie powodującej zniekształceń odbijanego obrazu, co przy kuty z metalowej płyty lustrach zdarzało się wówczas (początki XVI wieku) nieczęsto. Drugą cechą unikalności lustra jest to, że jest ono prostokątne i płaskie. Wszystkie służące do magicznych praktyk lustra wykonywano w kształcie owalnym i wypukłe. Istnieją przypuszczenia, że wykonane zostało u nas, w Polsce, co wystawiałoby chlubne świadectwo (z powodu tej idealnej gładkości) polskim XVI-wiecznym rzemieślnikom.

Jakiegokolwiek wszakże jest pochodzenie i jakie były losy zwierciadła, to godne jest ono obejrzenia, a świadomość, że oglądali je także osobiście August III Sas, Stanisław August Poniatowski, Napoleon, generał Chłopiński, wywołuje u oglądającego dodatkowo dreszcz emocji. Godny zwiedzenia jest także sam kościół farny, w którego zakrystii pozostaje zwierciadło, ozdobiony wspaniałymi freskami, wykonanymi przez wybitnego malarza z doby baroku — Michała Anioła Pallonię. Stare olejne obrazy, epitafia, rzeźbione w bursztynie i górkim kryształach krzyżki — to dalsze, godne obejrzenia eksponaty.

Samo miasto, ze swoją ponad pięciowiekową historią jest także warte zwiedzenia. Znajdują tu zabytki architektury świeckiej i sakralnej. Wszystkich, którym zdarzy się trafić na Podlasie, gorąco zachęcam do odwiedzenia leżącego w siedleckim województwie Węgrowa, a w nim — zwiedzenia kościoła farnego i — koniecznie obejrzenia magicznego zwierciadła mistrza Twardowskiego.

PIOTR SIKORSKI

„POGOŃ ZA UNO”

Nawiązując do artykułu pt.: „Pogoń za Uno” zamieszczonego w nr 49 z 1985.12.07, waszego czasopisma informujemy, że Inspektorat PZU w Kaliszu wypłacił ob. Andrzejowi Kraus odszkodowanie za skradziony „Fiat Uno” o czasowych numerach rejestracyjnych A-002244 w kwocie 1.253.500 zł.

Podając powyższe do wiadomości pragniemy również poinformować redakcję o obowiązujących zasadach w likwidacji szkód z ustawowych ubezpieczeń komunikacyjnych w szczególności w pojazdach produkcji państw zachodnich. Do udzielenia tych informacji skłoniła nas niezbyt ścisła, naszym zdaniem, informacja w ostatnim akapicie artykułu.

Zgodnie z § 23 rozporządzenia Rady Ministrów z 6 lutego 1985 r. (Dz. Ur. nr 6, poz. 20) w przypadku całkowitego zniszczenia pojazdu, albo gdy nie odzyskano pojazdu utraconego wskutek kradzieży (szkoda całkowita) zakład ubezpieczeń wypłaca odszkodowanie w kwocie równej wartości pojazdu w dniu ustalania przez zakład ubezpieczeń tego odszkodowania. Wartość pojazdu ustala się poprzez odjęcie od wartości pojazdu w stanie nowym wartości amortyzacji.

W przypadku pojazdów produkcji państw kapitalistycznych zarejestrowanych w PRL wartość pojazdu w stanie nowym uzależniona jest od pojemności silnika. Dla pojazdów o pojemności silnika od 1.001 do 1.300 cm sześć, wartość pojazdu wynosi 1.000.000 zł. Ponadto wartość samochodu z silnikiem o zapłonie samoczynnym (wysokoprężnym) ulega zwiększeniu o 15 proc.

Ponieważ skradziony „Fiat Uno” należał do ob. Andrzeja Kraus posiadał pojemność silnika 1300 cm sześć, a ponadto był pojazdem z silnikiem o zapłonie samoczynnym (wysokoprężnym), wartość tego samochodu wyniosła 1.253.500 zł i w takiej też wysokości Inspektorat PZU w Kaliszu dokonał wypłaty odszkodowania. Amortyzacji nie potrącono, bowiem był to samochód nowy.

Zdajemy sobie sprawę, że wypłacone odszkodowanie z ustawowego ubezpieczenia auto-casco za skradziony samochód „Fiat Uno” nie pokrywa w pełni strat jakie poniósł jego właściciel ob. Andrzej Kraus. Wartość wolnorynkowa tego samochodu była bowiem znacznie wyższa.

Mając na uwadze ten fakt informujemy, że Państwowy Zakład Ubezpieczeń oferuje możliwość „dobrebezpieczenia” samochodu do wartości wolnorynkowej. Składka za to ubezpieczenie wynosi 1 proc. zadeklarowanej dodatkowej wartości w przypadku samochodów krajowych oraz importowanych z państw RWPG, a 2 proc. od pozostałych samochodów.

mgr TADEUSZ GAJEWSKI
(dyrektor oddziału wojewódzkiego)

NIE TYLKO MARIA

Nawiązując do artykułu Edmunda Lewandowskiego w nr 6 z 8 lutego 1986 r. pt. „Nauki mądrej Marii”, o wybitnej działaczce ruchu rewolucyjnego, współzałożycielce Komunistycznej Partii Polski, Marii Koszutskiej pochodzącej ze zdeklasowanej rodziny ziemiańskiej w Kaliszu, chciałem uzupełniając przekazać kilka słów o niektórych innych członkach tej rodziny, choć nie wiem, w jakim stosunku pokrewieństwa pozostawali oni z Marią.

Do znanych przedstawicieli tego rodu należał lekarz okulista, dr Bronisław Koszutski, członek SDKPiL, bliski współpracownik Feliksa Dzierżyńskiego. W latach międzywojennych dr Koszutski był, jak się zdaje bezpartyjny, ale kandydował z powodzeniem do rady miejskiej Kalisza z listy KPP, a po ostatniej wojnie został pierwszym prezydentem miasta Kalisza z ramienia Polskiej Partii Robotniczej. Od najmłodszych lat znany ze społecznej postawy, pełnił Koszutski, jako student medycyny w Krakowie, wraz z kolegami medykami pochodzącymi z Kalisza, ochotnicze dyżury przy łóżu konającego w Krakowie poety, kaliszanka Adama Asnyka.

Dom doktora Koszutskiego w Kaliszu był w okresie międzywojennym punktem oparcia dla działaczy rewolucyjnej lewicy, odbywały się tam zebrania koła Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, w którym uczestniczyli obie córki doktora.

Po ostatniej wojnie założycielką i jedną z pierwszych redaktorek popularnej „Przyladki” była córka (czy może synowa) doktora Halina Koszutska.

Z tej samej rodziny pochodził Jerzy Koszutski, barwna i ciekawa postać. Kształcił się na pianistę u znanego warszawskiego pedagoga prof. Turczyńskiego i podobno otwierała się przed nim wielka kariera wirtuozowska. Równolegle ze studiami muzycznymi uprawiał Jerzy Koszutski sport wyczynowy, należał na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych do asów polskiego kolarstwa torowego, zdobył nawet tytuł mistrzowski w sprincie.

Kiedy wycofał się ze sportu wyczynowy, aby skoncentrować się na pianistyce, uległ wypadkowi: podczas manipulowania przy motocyklu stracił trzy środkowe palce u prawej dłoni. Musiał porzucić plany wirtuozowskie, ale z muzyką całkiem nie zerwał, utworzył bowiem, idąc za ówczesną modą, zespół tzw. rewellerów, pod nazwą Chór Juranda, któremu akompaniował w aranżowanych przez siebie piosenkach. Popularnością ustępowali „Jurandowcy” jedynie chorowi Dana (Dąbrowskiego). W czasie okupacji Jerzy Koszutski działał w Warszawie, a po powstaniu warszawskim w Krakowie w której z lewicowych organizacji konspiracyjnych, Zmarł wkrótce po wyzwoleniu.

Działalność członków rodziny Koszutskich z Kaliskiego stanowiła dość istotny przyczynek do lewicowej i rewolucyjnej tradycji niejednej z polskich rodzin pochodzenia inteligentnego i przeczy mitowi, jakoby polska tradycja narodowa była wyłącznie konserwatywno-dewocyjna, jak to usiłują nam nieraz wmawiać współcześni fałszerze historii.

JERZY KWIECIŃSKI

HARCERZE W PARTYZANTCE

Tadeusz Chudzik drużynowy 32 ŁDK im. Pęczkowskiego po aresztowaniu uciekł z więzienia i wstąpił do oddziału partyzanckiego „Robota” w stopniu plutonowego podchorążego. We wsi Zakrzówek koło Radomska współdziałał z dowódcą III brygady AL „Haniczem-Borutą”. Potem w okresie akcji „Burza” walczył w szeregach 74 pułku piechoty AK w składzie 7 Dywizji Piechoty Legionów AK Okręgu „Jodła” (Radomsko-Kieleckiego). Jako pianistki z tamtego okresu pozostały mu piaszcz — palatka, żołnierska furazjka z proporczykiem o barwach narodowych.

Felicia Filipowicz z Fabianie walczyła w oddziale wydzielonym „Bug” wchodzącym w skład 27 Dywizji Piechoty AK (Woliński). Zastępowy drużyny przy gimnazjum im. J. Śniadeckiego w Pabianicach Wiesław Nowak ps. „Wiecheł” dostał się w rzeszowskie i jako dowódca grupy partyzanckiej zginął w akcji we wsi Białejowa koło Rzeszowa. Stefan Grabowski ps. „Amelia” był członkiem Sztabu Okręgu Łódzkiego AK „Barka”.

Harcerz z 1 PDH, uczeń gimnazjum im. J. Śniadeckiego w Pabianicach Karol Knebnowski występujący pod nazwiskiem Ludwika Grudy był sekcyjnym 1 drużyny szturmowej 427 plutonu AK. Poległ śmiercią żołnierską 2 sierpnia 1944 roku na polach pękocińskich pod Komorowem.

Stefania Kawczyk z Piotrkowa Trybunalskiego pełniła służbę łączniczką partyzancką m. in. w oddziale „Blysk”. Oddział ten po nie przewidzianej niemieckiej akcji pacyfikacyjnej w Lubnieniu został niemal całkowicie wystrzelany w gajówce Sobień, którą Niemcy potem podpalili.

Stefania Kawczyk została aresztowana w Piotrkowie Trybunalskim i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Pod koniec wojny zabrał ją z obozu Szwedzki Czerwony Krzyż i wywiózł do własnego kraju, skąd po zakończeniu wojny wróciła do Polski.

Harcerstwo województwa łódzkiego w 1 Polskiej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka reprezentował Józef Elke ze Zgierza, który po zakończeniu kampanii w Polsce został internowany w Rumuni, skąd udało mu się uciec. Potem udział w kampanii francuskiej 1940 roku, rok więzienia w Hiszpanii i wreszcie Wielka Brytania. Tam wstąpił w szeregi polskiej dywizji pancernej. Brał udział w inwazji na Europę, w walkach pod Caen i Falaise. Przeszedł cały szlak bojowy dywizji aż do Wilhelmshaffen.

Harcerstwo Ziemi Łódzkiej pod Monte Cassino reprezentował drużynowy 49 Kolejowej Drużyny Harcerzy w Łowiczu — Antoni Utko, który w roku 1939 przedostał się przez Węgry do Syrii, wstąpił do Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego. Bronił Tobruku, a pod Monte Cassino otrzymał krzyż Virtuti Militari.

Harcerze łódzcy znajdowali się także w szeregach 1 Armii Ludowej Wojska Polskiego maszerując z nią na Berlin (W. Jasiewicz).

Nie sposób jest opisać wszystkich harcerskich działań np. udziału w Powstaniu Warszawskim, sabotażu i dywersji, jedynie słynnej w latach wojny ucieczce z więzienia przy ul. Sterlinga, czy też lotniczych zmaganiach nad niebem Europy.

MIECZYSLAW KOZAK

W STOLICY MAJĄ FAJNE ŻYCIE

Moje dziecko nie znalazło się wśród tych około 10 proc. uczniów, którzy mogli w czasie zimowych ferii wyjechać z miasta. Aby jednak zupełnie sprawy nie popsuć zaufanemu mi — za co chwala stale tam mieszkającej rodzinie — był w stolicy. Z zamiarem zwiedzania muzeów itp. Niech chłopak wie, co traci mieszkając na robotniczej prowincji.

Zacznę od podróży, czyli od zwykłego odsadzenia od czel i wari PKP. Otóż — wyobraźcie sobie, że przybyliśmy do celu z kilkunastu minutowym opóźnieniem, wobec którego fakt, że staliśmy w korytarzu I klasy (jest zasadnicza różnica w stanie w I i II klasie) właściwie się nie liczy.

U gospodarzy nie było większych kłopotów z ciepłą i zimną wodą, choć stopień chlorowania sprawił, że moja wrażliwa (serio) skóra od razu to odczuła. Biedna ta Wisła, nie wiadomo, czy jeszcze rzeka, czy już ściek. Jeśli chodzi o wrażenia z soboty i niedzieli, to jedno jest pewne: Warszawa to o wiele większa handlowa pustynia niż nam się zdaje... Chwała łódzkim organizatorom z PSS!

Nie miałem zresztą większych zamiarów handlowych, a gdyby nawet — to późniejsze dni wykazały, że o kompleksach niższych, jeśli chodzi o Łódź — nie ma mowy! Już wiem dlaczego tyle autokarów stoi każdego dnia na parkingach przy al. Mickiewicza.

Nie mówmy jednak o handlu, lecz o kulturze. Otóż — zaliczyliśmy Muzeum Techniki, jak zwykle obłożone przez wycieczki. Obiekt ten odwiedzam zawsze, jak mam okazję. I coś mi się widzi, że podupada. W każdym razie, oprócz ekspozycji motocykli (znakomita), reszta działów raczej bez zniszczenia. No i prawie nie z czynnych urządzeń. A tyle modeli było jeszcze kilka lat temu w ruchu...

Bez dziecka tym razem — zaliczyłem kabaret, prowadzony przez byłego Tv-Wicherka. Twarz tam sama, kształty nieco bardziej obłe. Robi „atmosferę” zupełnie nieźle. Wysepy Chyły (stare numery), p. Winiarskiej (senior), parodysty z Radomia, przekwalifikowanego rolnika (w monologach i piosenkach), trochę śpiewu. I zespół muzyczny: W. Kolankowski przy fortepianie (nie lubię), Z. Wegehaupt — gitara basowa (lubię) i perkusista, którego nazwiska nie zapamiętałem. Aha — był też strip-tiz. Nie oglądałem z racji zajęć przy barze na zapleczu. Pani podobno chuda, lecz o niespotykanej — jak słyszałem — skromności.

Na sali pracownicy różnych firm i zakładów pracy. Pewno to wszystko w ramach akcji społecznej. Ale bawili się. Ze otarłem się (dosłownie) o Wilhelma (incognito) i pogadałem z moim ulubionym perkusistą Andrzejem Dąbrowskim, którego Wicherka bezskutecznie usiłowałem namówić na śpiewanie, tylko wspomnę.

Dni następne — to próby dostania się do Muzeum Narodowego. Było 15 minut po 10, jako oficjalnej godzinie otwarcia: zamknięta brama na łańcuch, ani śladu ruchu, a cztery wycieczki szkolne stoją i cierpliwie czekają.

Fajnie w tej stolicy. Choć smutno wyglądają obnażone podpory wiaduktu do mostu Poniatowskiego, nie lat będzie trwał ten remont, skoro nie widziałem ani jednego robotnika?

Powrót znów PKP. Z tym, że mając wykupiony bilet do Łodzi Fabrycznej usiłowałem się zabrać na pospieszny do Legnicy. Pan konduktor dał mi nawet kartkę, że to niby przyjmuję zgłoszenie dopłaty. Wsiadłem do wagonu drząc, aby nikt mnie nie „wykopał” bez miejscówki. Poćiąg był jednak dość luźny. Spotkałem znajomego, który z racji miejsca zatrudnienia popowia dał mi trochę ciekawostek z życia kulturalnego. I to by było na tyle.

W. AFELT

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

Organizatorzy II Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o Nagrodę „Brazowej Stepki”: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Gdyni oraz Stoczniovy Ośrodek Kultury „Fregata” przy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni informują, iż w związku z dużym zainteresowaniem konkursem przedłuża się termin nadsyłania prac konkursowych do 15 maja 1986 r. Celem konkursu jest popularyzacja szeroko rozumianej tematyki morskiej, a także upamiętnienie 60 rocznicy założenia miasta Gdyni.

Jury konkursu, którego skład zostanie podany w terminie późniejszym przyzna następujące nagrody pieniężne:

POEZJA (zestaw 3 wierszy, poemat) — I nagroda 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł.

PROZA (nowela, opowiadanie, esej) — I nagroda 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł.

Ponadto zostaną przyznane trzy równorzędne nagrody w wysokości 25.000 zł dla autorów najbardziej znaczących Książek Roku w dziedzinie poezji, prozy i esejów o tematyce marynistycznej.

Prace opatrzone godłem w 8 egz. maszynopisem wraz z zapieczętowaną kopertą z personaliami autora należy nadsyłać pod adresem:

Stoczniovy Ośrodek Kultury „Fregata”, ul. Śląska 35/37, 81-310 Gdynia.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikowania nagrodzonych prac.

KONKURS PLASTYCZNY

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Federacja NSZZ Przemysłu Lekkiego i redakcja „Nasze Życie” ogłaszają konkurs plastyczny dla nieprofesjonalistów pod hasłem: Moje wyobrażenie „Pokój”.

Ilość prac nieograniczona. Prace wykonane dowolną techniką (olejną, temperą, akwarelą) oraz w dowolnym formacie należy dostarczyć do 1986.04.15 do siedziby Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury Łódź, ul. Kilińskiego 95 (każdy czwartek w godz. 17-19).

Każda praca powinna być opakowana i opatrzona godłem oraz kopertą oznaczoną tym samym godłem, w której winny się znajdować dane autora: nazwisko i imię, adres zamieszkania oraz miejsce pracy lub szkoły.

W konkursie mogą brać udział prace jeszcze nie nagradzane. Organizatorzy przeznaczają na nagrody sumę 35.000 zł, zastrzegając wysokość nagród według uznania jury.

Wszystkie prace zostaną zaprezentowane na wystawie podczas Dni Kultury Robotniczej 18-26 maja 1986 r. w Arturówku.

1.

Zapytałem któregoś dnia, czy mógłbym zobaczyć walkę kogutów. Mój kubański przyjaciel, Francisco Usallán, odpowiedział:

— Nie. Po zwycięstwie rewolucji walki kogutów zostały zabronione, gdyż były widowiskiem okrutnym i krwawym, a poza tym łączyły się z hazardem, który pochłaniał nieraz miesięczne dochody zapalczywych robotników i chłopców. Zbyt wielkie namiętności rozpalają ten niehumanitarny sport.

— Podobnie jak corrida?

— Si.

— Więc walki byków też nie zobaczę?

— Och, najwyżej od czasu do czasu jakąś namiastkę, której nie wieleży śmierć.

— Hemingway byłby zawiedziony — powiedziałem.

— Bez wątpliwości — przytaknął Francisco. — Gdyby żył, mógłby jednak kibicować doskonałym kubańskim baseballistom.

— I boksom?

— Tak.

— Macie również wspaniałych lekkoatletów i zapasników, ciężarowców, siatkarzy i koszykarzy, futbol natomiast nie cieszy się zbyt dużą popularnością.

— To prawda.

— Czemu?

— Ponieważ nie jest i nigdy nie był naszym narodowym sportem.

— A jaki jest wasz narodowy sport?

— Baseball — powiedział Francisco.

2.

Pod tym względem upodobania Kubańczyków zgodne są jeszcze z gustami Amerykanów — na każdym wolnym skrawku pola, w parkach, na plażach, na klasycznych miejskich podwórkach ćwiczą się od rana do nocy w baseballu nie tylko mali chłopcy i młodzież męska, lecz również doświadczeni panowie, którym ta dziwna, dość monotonna dla Europejczyków gra zapadła głęboko w krew i serce.

Pod innymi względami wszelako Kuba, niegdyś dom publiczny Stanów Zjednoczonych, jak napisał o niej pewien znany autor, dokonała po zwycięstwie rewolucji istotnych przeobrażeń w zakresie dużej i małej kultury, w związku z czym zmienił się pejzaż obyczajowy miast, spadła temperatura niedzielnych wieczorów, złądziła nocna uliczna impreza, imprez zubożała powoli o wszystko, co niehumanitarne i wulgarnie.

Poza corrida i walkami kogutów, które zawsze budziły sprzeciw organizacji opiekujących się zwierzętami, aczkolwiek działacze owych znacznych stowarzyszeń zjadali chętnie na obiad tłustego indyka, rząd kubański rozprawił się zdecydowanie z innymi, dużo groźniejszymi obyczajami patologii społecznej — z domami publicznymi, z wszechobecną prostytutką, ze stręczycielstwem, które trzymało w szponach zarówno wytresowane w fachu kobiety jak i nieletnie dziewczynki z biednych, kolorowych rodzin; z hazardem znacznie potężniejszym niż bingo, kości czy lokalna walka kogutów wywołująca się z hiszpanoamerykańskiej tradycji — presją północnoamerykańskiego stylu życia skorodowała wyspę w nieporównanie większym stopniu.

Kuba była własnością USA. Część Hawany należała do jankeskich przemysłowców, druga zaś, nie mniejszą część kontrolowali gangsterzy. Pogląd na ten temat można sobie wyrobić studiując filmową i literacką wersję „Ojca chrzestnego”, który, nawiasem mówiąc, pojawił się ostatnio w hawańskich kinach. Batista, jeden z najbardziej mściwych, zleniwionych i tępych dyktatorów, jakich kiedykolwiek wydała Ameryka Łacińska (nawet ci, którym służył, uważali go za analfabeta i mordercę o wyjątkowych skłonnościach sadystycznych), otaczał gangsterów prawdziwą serdeczną opieką i ciepłym okiem patrzył na ich inwestycje, czemu trudno się dziwić, skoro oficjalne dokumenty potwierdzały, iż szef hawańskiej policji, instytucji bezgranicznie oddanej reżimowi, otrzymywał każdego dnia ze stołecznych domów gry kwotę wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Zatem już w 1959 roku młoda rewolucja postanowiła oczyścić Hawanę z wszelkiej nieprawości i brudu. Wywołało to jednak natychmiastowy sprzeciw wielotysięcznej armii ludzi zatrudnionych w kontrolowanym niegdyś przez amerykańskie podziemie monopolu rozrywko-hazardowym i jego agendach — protestowali krupierzy, goryle, babki kłozetowe, sprzedawczynie papierosów i gumy do żucia, barmani, woźni, sprzątaczkę, a więc wszyscy ci, którzy nagle zostali bez pracy i powiększyli ogromną, siedmioletnią rzeszę bezrobotnych.

Szef doszedł wtedy do wniosku, że o ile z prostytutką należy skończyć momentalnie, z hazardem trzeba będzie jednak trochę poczekać, tym bardziej, że zdecydowana większość pracowników tego przemysłu miała na utrzymaniu rodziny, i że wielu z nich było w istocie uczciwymi obywatelami. Tak więc najpierw zapłakane córki uliczne z których niejedna również pracowała w imię szlachetnych pobudek wyręczając ojca lub matkę nie mogących znaleźć żadnego zajęcia i utrzymać wielogłową rodzinę. Prostitucja zeszła zatem do podziemia broniąc się jakis czas rekami i nogami, zaś funkcjonariusze przedsiębiorstw hazardowych przechodzili na inne stanowiska, w miarę jak rewolucja tworzyła nowe miejsca pracy.

Nie od razu więc pozniwały z mapy miasta szulernie, rulety i salony gier mechanicznych, które przeznaczone były po to, aby odbierać pieniądze najbardziej Kubańczykom: tym którzy o pokerze lub Black Jacku w kapłającym od złota kasynie mogli sobie najwyżej pomarzyć, a marząc chętnie wrzucali swoje ciężko zarobione centy w podniebna Czarnych Wdów, Szlochających Dziewic i Jednokróliki Bandytów, pożerających bilon z nigdy nie nasyconym apetytem.

Wszystko to należy jednak do historii. Hawana, podobnie jak inne, mniej zdemoralizowane prowincje kubańskie, wyrzuciła z siebie raz za zawsze do ścieku gangsterską maszynę hazardu, tak, że dzisiaj nie znajdziesz po niej ani śladu.

Trudno również znaleźć najmniejszy ślad po hawańskich prostytutkach — nie ma ich w najbardziej ustronnych uliczkach starego miasta, nie ma na Calle Colón, która była niegdyś pod tym względem tak sławna, jak Calle Montero w Madrycie, nie ma w hotelach i kawiarniach, a jeśli nawet trafi się jakaś, nie rozpoznasz jej w tłumie.

Nikt nie leje łez nad wymarłym pokoleniem prostytutek, choć słowny kubański pisarz Joaquín Santana, jeden z szefów Związku Pisarzy i Artystów, oddaje sprawiedliwość mrokom Starej Hawany, dzielnicy, którą dobrze zna, bo urodził się w niej, dojrzał i walczył, a potem, jako młody autor i młody weteran Rewo-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Havana libre (Korespondencja z Kuby)

lucji, napisał o niej powieść „Nocturno de la bestia” zaświadczać, że wiele hawańskich prostytutek odznaczało się charakterem, lojalnością i odwagą i że niejedna córka Koryntu czynnie wspomagała powstańców.

Norberto Fuentes wspomina, że kiedy zmarła Uczciwa Lil, protagonistka powieści Hemingwaya „Wyspy na Golfstronie”, Wielki Papa nie tylko uregulował koszty pogrzebu, ale był również jedyną osobą, która odprowadziła trumnę na cmentarz, aczkolwiek z usług Uczciwej Lil korzystały niegdyś setki obywateli, za wdzięczając jej rzadkie chwile szczęścia.

Nie każdy ma jednak duszę Hemingwaya. Faktem jest, iż dzisiejsza Hawana, to miasto bez prostytutek i hazardu, czystsze moralnie niż jakakolwiek ze znanych mi stolic.

3.

Francisco Usallán powiedział:

— Jedyną dopuszczalną na Kubie formą hazardu jest gra w koci koci łapki między kobietą i mężczyzną.

— Dobrze i to — powiedziałem. — Czy kobieta i mężczyzna koniecznie muszą tworzyć parę małżeńską?

— Niekoniecznie. Ale pamiętaj, Andrés: strona proponująca jest u nas dziewczyna.

— Ona wybiera?

— Tak.

— Wspaniale! Pierwszy kraj bez pruderii.

— Ale rozwodów swoją drogą macie co niemiara.

— Ano, taki jest nasz kubański obyczaj.

Lepszy wczesny rozwód niż późniejsza nienawiść i życie wśród nieustannych awantur. Zgadzasz się, przyjacielu?

— Oczywiście. Ile miałeś żon?

— Jedną.

— I nie wstydzisz się do tego przyznać, Francisco?

— Po prostu szczęśliwie trafiłem — rzekł Kubańczyk.

Jechaliśmy czarnym, klimatyzowanym mercedesem Ministra Spraw Zagranicznych po drodze, którą kiedyś przemierzał codziennie Hemingway. Nie był to najpiękniejszy fragment miasta — aby pokonać go na tylnym siedzeniu samochodu. Wielki Papa, musiał zniechęcić się alkoholem: przygotowywał sobie drinka, którego podstawę stanowił wprawdzie gin Gordon, ale komponenty były zdecydowanie kubańskie: sok kokosowy, parę kropel soku ze świeżej limony oraz parę kropel angostury przydającej napojowi koloru i smaku.

Pisał ów wspaniały, nieszczęśliwy mężczyzna:

„Pięć przeciułko nędzy, brudowi, czterechsetletniemu kurzowi, zamaskowaniu dzieci, spękanym liściom palm, dachom zrobionym ze sklepanych młotkiem puszek, powłóczeniu nogami wskutek nie leczzonego syfilisu, ściekom w dawnych łożyskach potoków, wszom na wylintowanych szynach zarobaczonych drobiu, złuszczonej skórze na karkach starych mężczyzn, smrodowi starych kobiet i rzygocemu radiu”.

Otóż nie ma tego w dzisiejszej Hawanie — nie zobaczysz na ulicy obdartego, chorego, kalekiego czy bosego dziecka, nie zobaczysz ludzi chromych i powłóczących nogami, nie zobaczysz mężczyzn z oparzywiałą skórą i kobiet, których widok budzi wstręt.

Przedmieścia Hawany nie są może zbyt atrakcyjne, ale od czasu, kiedy opisywał je Hemingway, robiąc to jak zwykle z łacie reporterską sumiennością, pozniaki enklawy smrodu i brudu, nie widać uwłaczających godności człowieka domków o tekturowych ścianach i dziurawych dachach, bez wody i światła, z poniewierającymi się na klepsku barłogami. Czystość, higiena i lecznictwo otwarte stały się obowiązującym hasłem, praktykowanym nie tylko w gazetach i na murach. W każdą roboczą niedzielę (el domingo roj) tysiące Kubańczyków wylega na ulice z miotłami, z kibelami ze ścierniskami i zaczyna się walka z czterechsetletnim kurzem.

Praży tropikalne słońce, a oni, spoceni, niezbyt szybcy, lecz dokładni, szorują okna, wystawy sklepów i chodniki, które lśnią niczym w

Paryżu o ósmej rano, kiedy mrowie ludzkie wylega dopiero z domów.

Jutro znowu będzie brudno. Tak myślę i tak mówię do mojego przyjaciela Franciszka.

— Będzie — przytakuje Kubańczyk. — I co?

— Nic. Szkoda jakoś tej ogromnej ludzkiej pracy.

— Liczy się nawyk, a ty mówisz, jakbyś tego nie rozumiał. Człowiek myje codziennie zęby, tak?

— Oczywiście.

— I kąpie się co najmniej dwa razy w tygodniu.

— Jeśli ma łazienkę.

— Jeśli nie ma, idzie do przyjaciół albo pod prysznic na plaży. W tropiku kąpiel jest tak ważna, jak wizyta u lekarza. W ten sposób człowiek broni się przed chorobami skóry, grzybicą i wszelką inną zarazą mogącą przerosnąć się w epidemie. Co jak co, lecz higiena osobista nie jest achillesową piętą narodu.

— A teraz, dzięki owym czerwonym niedzielom, Kubańczycy oswoją się z prawidłem, że czyste mieszkanie i higiena osobista, to jeszcze nie wszystko, bo czyste musi być również podwórko, ulica, plac i tak dalej. Szwedzi i Norwegowie potrafili przyzwyczaić się do tego, więc potrafimy i my. Co tu mówić o zmarnowanej robocie!

— To prawda.

— De aquerado.

— Popatrz!

— Gdzie?

— Tam!

Wskazał wąskie i mroczne patio w jednym z kolonialnych budynków przy ulicy San Rafael. W drewnianej klatce z wodą brzęczał się drobny, siedmioletni Murzynek. Minę miał wielce zafrasowaną i mydlił starannie swoje szczuple, lśniące ramiona. Nagle wyszedł i kąpiel, wytarł się, zajął za węgiem korytarza i zaczął coś wywrzaskiwać.

— Perro! Perro!

— Cogelo! — odwrzasnął inny głos.

— Ven aquí! — pisał brzdąc.

Szamotał się z kimś, a potem zobaczyliśmy go znowu. Szedł ku balii i trzymał na rękach małego, szalenie zdenerwowanego psa, którego rozbiegane oczy wyrażały sprzeciw i trwogę.

— Nie bój się, głupku, przecię cię nie utopię — tłumaczył chłopczyk. — Muszę cię tylko wy-szorować, bo inaczej zetrą cię pchły.

Zanurzył kundla po szyję, a ten uspokoił się i zaczął kwiczeć z radości.

Francisco pokłiwał z przekonaniem swoją kształtną, lekko indiańską głowę.

— Tak jest — powiedział. — Wszyscy muszą być czysti. Nawet koty i psy.

4.

Hawana ma dwie ogromne i wytworne dzielnice: Miramar, gdzie przeważa niska architektura willowa i strzeliste Vedado, gdzie można podziwiać wielopiętrowe hotele oraz inne sięgające chmur budynki zaświadcujące, iż byli tu kiedyś Amerykanie.

Trzecim, zasadniczym trzonem miasta jest La Habana Vieja — rozległy obszar starych, kolonialnych kamienic poprzekładanych wąskimi uliczkami, poprzedzielanych tu i ówdzie ślepymi placikami — są również hotele, muzea, gmachy użyteczności publicznej, skwery o piejących w niebo palmach, bardzo dużo pomników wzniesionych ku chwale powstańców, polityków i pisarzy, a u wejścia do portu, po obydwu stronach zatoki, zobaczysz prastare, hiszpańskie zamki warowne El Castillo de la Fuerza (pierwszy, jaki powstał w ogóle w Ameryce Łacińskiej w 1558 roku), przelazowy El Castillo de Morro (1589) i El Castillo de la Punta (1590).

W Starej Hawanie znajduje się również kubański Capitol, będący dokładną kopią Capitolu Waszyngtońskiego — cała różnica polega na tym, że schody prowadzące do głównego wejścia leżą w Hawanie o jeden stopień mniej, no i na tym, że dzisiaj nie rezyduje tam Kongres Republiki (który przeniósł się do innego, wspaniałego gmachu), a Kubańska Akademia Nauk.

Nie sposób wyliczyć wszystkich ważnych akcentów Starej Hawany, nie chodzi zresztą o to, aby zmienić reportaż w przewodnik po mieście — istotniejszym dla Polaka spostrzeżeniem jest podobieństwo między ową historyczną dzielnicą stolicy kubańskiej a starówką takiego choćby Krakowa, który na zewnątrz posiada bardzo piękne ulice, a w środku ropieje od wilgoci.

Rewaloryzacja Krakowa wydaje się sprawą beznadziejną — tak kosztowną, że nie mamy na to pieniędzy, i tak czasochłonną, że można by ją ewentualnie ukończyć za sto lat.

W wypadku Starej Hawany remont potrwałby zapewne jeszcze dłużej. Każdy niemal dom, każde patio, każde mieszkanie, sporo magazynów i barów prosi o cięcie i murarza. Przed Rewolucją były to budynki prywatne i właściciele dbali o nie na miarę swoich ambicji i swoich rachunków ekonomicznych. Teraz zaś należało do ludu i musi troszczyć się o nie państwo. Łatwiej chyba postawić nowy blok mieszkalny niż przywrócić świetność dziewiętnastowiecznej kamienicy. Hawańczycy odgruzowują podwórka, zbijają stare balkony, naprawiają okna i drzwi, malują ściany, robią, krótko mówiąc, wszystko, na co ich stać we własnym zakresie, ale efekty tego są raczej mizerne.

Rzadko dyskutuje się o rewaloryzacji Starej Hawany. Sądzę, że jest to problem przereasta- jący na razie możliwości narodu.



Trudno mi opisać Hiszpanię owej odległej wiosny: spędziłem w niej tylko dwa tygodnie, a potem przez dwa lata widziałem ją skrwawioną, udręczoną, widziałem okropności wojny, o których nie śniło się Goyi; do zataru ziemiaków wtrącało się niebo; chłopci strzelali jeszcze ze strzelb myśliwskich, Picasso gwałcił, tworząc „Guernikę”, przeczuwał już szaleństwo atomowe.

Przypominam sobie olbrzymie arany, przeznaczone do walki byków, a zapelnione przez dziesiątki tysięcy ludzi: robotników w czapkach, chłopów w szerokoskrzydłych kapeluszach, kobiety w ełkach, garnce, szewców, krawców, uczniów.

Na podium stoi Rafael Alberti. Nie przypomina ani trochę Majakowskiego: ma twarz subtelnie marzycielską. Niedawno jeszcze pisał wiersze liryczne. Teraz czyta romanceros współczesności: wiersze przebiegają po tłumie jak podmuchy wiatru po kępkach drzew i ludzie w podnieceniu wybiegają na ulicę. Młodzi socjaliści mają szkarłatne koszule, komсомолы — granatowe z czerwonymi kławatami. Księża odwracają oczy, staruszkę zegnają się przerażona, bourgeois rozglądają się lekliwie, faszysti strzelają z okien. Jaskrawe słońce świeci chwilami przez rozdarcia w ciężkich, fioletowych chmurach.

Była to wiosna dla Hiszpanii niezwykle: omalże co dzień padały dudniące ulewne deszcze, a ruda gleba Kastylii olśniewała zielenią. Mój ty Boże, ileż słyszałem radosnych okrzyków, wspaniałych projektów, przysięg i przekleństw! Pamiętam, jak na wiecu robotniczym w osadzie asturyjskiej Mieres stary górnik o długiej, wąskiej twarzy potrząsając lampką powiedział: „Trzy tysiące towarzyszy poległo, żeby faszystów już nie było. Toteż ich nie będzie. Będzie my. I nic więcej, Hiszpanii!”.

W Owidio widziałem ruiny uniwersytetu. Ludzie mówili jak stary górnik: „Nie, to się nigdy nie powtórzy!”.

W osiedlu Zama Fernando Rodriguez zaprowadził mnie do Domu Ludowego, tam pacyfikatorzy w roku 1934 torturowali i mordowali powstańców. Na ścianach widniały plamy wyblakłej krwi, zachowały się nazwiska rozstrzelanych, wydrapane paznokciami. Fernando Rodriguez opowiadał: „Podwieszali mnie za ręce i ciągnęli za nogi, nazywali to «samolotem». Oblewali mi nogi, brzuch wrzątkiem, potem lodową wodą. Kłuli szpilkami... ale nie powiedziałem, gdzie ukryliśmy broń”.

Przyszły do mnie dzieci, przyniosły starannie wykaligrafowany list: „Owidio, 22 kwietnia 1938 roku. Towarzysze, czerwoni pionierzy z Owidio w dniu 1 maja przesyłają życzenia towarzyszym w Związku Radzieckim! Towarzysze, przygotowujemy się do drugiej bitwy, ta bitwa wkrótce nastąpi. Będziemy walczyli dzielnie i odwrotnie. Niech żyje rewolucja!”.

Staliśmy przy oknie i widzieliśmy, jak dzieci po wyjściu z hotelu zaczęły dokazywać: dla nich wszystko to, co się działo, było jeszcze zabawą. Nie wiem, co się z nimi stało, ale na jesieni roku 1938 przeczytałem w faszystowskim dzienniku: „W Owidio dzieci, zdeprawowane przez nacucielki-markistów, atakowały oficerów”.

Owe wiosny poznałem córki górników asturyjskich, Dolores Ibarruri, której robotnicy dali miano „La Pasionaria”. Była wybitną działaczką polityczną, lecz pozostała kobieta szczerą i bezpośrednią; miała wszystkie cechy charakteru hiszpańskie — surowość, dobroć, dumę, odwagę, a co najmilejsze, była przy tym ludzka. Opowiadał mi, jak w Asturii uwolniła więźniów: przysłała z tłumem robotników, rzuciła żołnierzom rozkaz „apocznij”, weszła do więzienia, a kiedy wszyscy więźniowie wyszli na wolność, z uśmiechem pokazała tłumowi wielki zardzewiały klucz.

Dyrekcja „Ciudad Lineal”, przedsiębiorstwa, do którego należały madryckie tramwaje, odmówiła przyjęcia do pracy „wywrotowców”, zwolnionych na jesieni roku 1934. Wówczas robotnicy wzięli eksploatację tramwajów w swoje ręce. Na wagonach widniały trzy litery „UHP” — „Unión Hermanos Proletarios” („Związek Braci-Proletariuszy”) — z tym hasłem robotnicy w roku 1934 szli na faszystów, na Legie Cudzoziemską, na Marokańczyków, oszukanych przez generałów. Z wyjątkiem tych trzech magicznych liter tramwaje wyglądały tak samo, jak przedtem — stare, sfatygowane, obwiszone „winogronami” wesołych wyrostków. Numer 8 miał trasę do dzielnicy Cuatro Caminos. A mimo to nikt nie wiedział, dokąd trafi ten tramwaj — do zajezdni czy na pole bitwy.

Kiedy byłem w Madrycie, faszysti zaatakowali robotników. Wybuchł natychmiast strajk powszechny. Mieszkaliśmy w wielkim hotelu; cały personel go opuścił — numerowi, windziarze, kelnerzy, pomywaczki. Właściciel zmobilizował swoją liczną rodzinę; powtarzał: „Obronimy interesy naszych gości przed tymi przekleśnionymi walkoniami. Bardzo proszę, żeby państwo przeszli na samoopatrzenie”.

Potem widziałem wielki strajk w Barcelonie. Burżuazja hiszpańska, leniwa, beztroska, przeżarła się ogromnie. Pewien adwokat mówił mi: „Nie wyobrażałem sobie, że robotnicy są taką potęgą! Jeżeli Europa nie przyjdzie nam na ratunek, znajdziemy się na łasce tych leniwych póżnalfabetów”.

Rząd starał się wszystkich uspokoić. Chłopom wmawiano, że Instytut Reform Rolnych szybko zmieni ich sytuację. Ale instytut wcale się tym nie kwapił. W Hiszpanii jest powiedzenie „mañana por la mañana” — „jutro rano”, czyli, jak się mówi po polsku „na święty nigdy”. Chłopi poczęli zaorywać olbrzymie polacie opuszczonej majątków, należących do różnych arystokratów i niearystokratów. Sporządzali akty. We wsiach kastylijskich widziałem dużo takich dokumentów. Jeden z licznych majątków hrabiego Romanones, posła do korleżów, miał sześć tysięcy hektarów; chłopci rozbili gwardzistów i sporządzili akt o przejęciu ziemi na własność spółdzielni. W kuchni znaleźli szynkę, ziemniaki, odnotowali więc w dokumencie, że znalezione artykuły żywnościowe mają być wrócone hrabiemu. Chłopi ze wsi Guadamuz napisali: „Zajęliśmy majątek, przy czym strażnicy stwierdzają, żeśmy nikogo nie skrzywdzili ani uczynkiem, ani słowem”. Chłopi z innej wsi pisali: „30 marca rano przedstawiciele rady miejskiej wespół z przedstawicielami Federacji Pracowników Rolnych i w obecności personelu obsługującego majątek zajęli Ventillosa, a mianowicie 1992 ha ziemi!”.

W Escalanie, Malpica, w okolicach Toledo widziałem chłopów powtarzających w upojeniu:



Lato 1936. Ochotnicza milicja ludowa w Saragossie

Zwycięzcy nie myśleli o przyszłości

ILIA ERENBURG

„Ziemia!” Starcy jadący na osiołkach wznosili w górę zaciśnięte pięści, dziewczęta niosły kołatkę, młodzi mężczyźni głośno śpiewali, nieoporne karabiny.

W kwietniu gwardia cywilna (zandarmeria) wystąpiła przeciwko rządowi. Utworzono gwardię szturmową, ale szturmownicy również zerkali niechętnie na ministrów Frontu Ludowego. Faszysti krzykali: „Precz z Azają!” Azaja był premierem, a potem prezydentem republiki. Robotnicy ruszyli przeciwko faszystom. Zdawało się, że gwardziści powinni rozprężyć faszystów, występujących przeciwko rządowi, nie śmieli jednak narażać się na dobrych ułanów caballeros, natomiast wydobywali zbroń na robotników.

Dzielnik monarchistyczny „ABC” bez osłonek domagał się interwencji. „Hitler oświadczył, że do tego nie dopuści. Europa nie zechce żyć w kleszczach bolszewizmu...”. W tym samym dzienniku prowadzono zbiórkę: wynotowałem sobie: „Wielbiciel Hitlera — 1 peseta. Za Boga i Hiszpanię — 10. Hiszpanio zbudź się — 5. Narodowy syndykalista — 10. Zwolennik Falangi — 5”.

Kortez zaaprobowany projekt ustawy, zgodnie z którą emerytowanych generałów, występujących przeciwko republice, miało pozbawić emerytury. Wojskowi uśmiechali się lekceważąco: Front Ludowy długo się nie utrzyma. Generałowie Sanjurjo, Franco, Mola nie kryli się ze swymi planami. Sanjurjo mówił: „Hiszpanię może uratować tylko zabieg chirurgiczny...”. Księża i zakonnicy wzywali do walki o Pana Boga i o przywrócenie porządku. Na murach ktoś pisał krędą: „Hiszpanio, zbudź się!” Wczoraj władcy spacerowali najspokojniej po ulicach Madrytu; pewnego razu widziałem Gila Ronleaga, pił kawę z mlekiem na tarasie kawiarni. Przez ten czas, kiedy sprawował władzę, dwadzieścia tysięcy faszystów otrzymało pozwolenie na broń; nikt nie próbował tej broni odebrać.

Rozmawiałem z socjalistami, z prezydentem katalońskiego rządu autonomicznego Companys, który aż do chwili zwycięstwa Frontu Ludowego siedział w więzieniu. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak niebezpieczna jest sytuacja, mówili jednak, że muszą przestrzec konstytucji: nie mogą ograniczać niczyjej wolności.

Najbardziej przerażający nie był barczysty caballero o nieskazitelnych manierach, który nazywał się Gil Robles, nie były przerażające artykuły w dziennikach faszystowskich, ani nawet kaszana szalejących mnichów. Przerażające było co innego: chłopcy z zachwytem pokazywali stare strzelby myśliwskie, nie uzbudziły robotnicy podnosić pięści. Natomiast falangista strzelał. W kościołach znajdowano przypadkiem karabiny maszynowe. Policja, gwardia, wojsko traktowały artykuły konstytucji z nieporównywalnie mniejszym szacunkiem, aniżeli nowo mianowany minister spraw wewnętrznych Casares Quiroga, aniżeli socjaliści Prieto lub piemoni-Company.

Musiałem wrócić do Paryża: na dwudziestego szóstego kwietnia we Francji wyznaczone były wybory i redakcja chciała, żebym był na nich obecny. Wyjeżdżałem ze smutkiem: coraz mocniej zakochany byłem w Hiszpanii. W swoich artykułach pisałem o niebezpieczeństwie faszystów. Znalazłem w starym numerze „Humanité” notatkę o moim referacie w paryskim Domu Kultury; mówiłem, że faszysti hiszpańscy bez wstąpienia wystąpią zbrojnie. W głębi duszy jednak nie za bardzo w to wierzyłem — nie chciałem wierzyć. (Nazbyt często nie tylko szeregowi uczestnicy wydarzeń w moim rodzaju, lecz także wybitni działacze polityczni brali i biorą własne życzenia za trzeźwą ocenę rzeczywistości; leży to widocznie w naturze ludzkiej).

Francuzom Pireneje od wieków wydawały się murem, za którym rozpoczyna się inny konty-

nent. Kiedy na tron hiszpański wstąpił wnuk Ludwika XIV, zachwycony król Francji podobno zawołał: „Nie ma już Pirenejów!” Pireneje wszakże pozostały. Ale oto w kwietniu 1936 nie dostrzegłem ich: ludzie tak samo podnieśli pięści, na stacjach kolejowych widziałem się te same napisy „Śmierć faszystom!”, w podzięgu zaś wystraszeni bourgeois toczyli dobrze znane rozmowy o tym, że należy „określić walkon”. Słowa „Frente Popular” i „Front Populaire” brzmiały jednakowo. Francja czerpała natchnienie z przykładu Hiszpanii. (...)

Cieszyłem się wraz ze wszystkimi: po Hiszpanii teraz Francja! Nie ulega wątpliwości, że Hitler nie zdoła ujarzmić Europy. Nasza sprawa zwycięża — rewolucja przechodzi do ataku! Myśli tych nie zaszepiała jeszcze utrata krwawych i przyjaźni, ani ciężkie próby, które tak rychło nas czekały. Wiosnę roku 1936 wspominałem jako ostatnią pogodną wiosnę w moim życiu.

Po kilku tygodniach we Francji rozpoczęły się masowe strajki; robotnicy przerywali pracę, ale nie opuszczali hal fabrycznych; urzędnicy pozostawali w bankach, biurach, sklepach. Bourgeois mówili z przerażeniem: „Ależ to zaborczy!”

Paryż zmienił się nie do poznania. Nad niebieskawymi domami powiewały czerwone flagi. Zewsząd rozlegały się dźwięki „Miedzynarodówki”, „Karmanioli”. Na giełdzie spadały akcje. Ludzie zamożni przekazywali pieniądze za granicę. Wszyscy mówili — jedni z nadzieją, inni ze zgrozą: „To rewolucja!”

Strajki wszędzie kończyły się zwycięstwem. W ciągu jednego miesiąca robotnicy francuscy osiągnęli nie tylko podwyżkę płac, lecz nawet zmianę ustawodawstwa pracy — umowy zbiorowe, uznanie do iure związków zawodowych, płatne urlopy.

Po wiosnie nastąpiło upalne lato. Dzielnice zachodnie świeciły pustkami: ludzie zamożni wyjeżdżali do Szwajcarii, do Belgii, do Anglii, do Włoch; mówili, że chcą odpocząć od „rozbustwionej hołoty”. Na plażach zaś Normandii lub Bretanii mogą znaleźć się obok robotników: „te walkonie” przecież mają teraz płatne urlopy!

Czternastego lipca ponad milion paryżan brało udział w demonstracji. Górnicy północy nieśli lampki, robotnicy południowych winnic — wielkie winogrona z papier-mâché, rybacy bretońscy — niebieskie sieci. Spalono kukły Hitlera i Mussoliniego. Daladier nadal ścisł kurs: zdecydowanie komunistów. Premier Leon Blum, typowy inteligent dziewiętnastego wieku, witając robotników niewprawnie podnosił w górę małą piastkę. Na dragu niesiono czapkę robotniczą z napisem: „Oto korona Francji!” Przepływały portrety Lenina, Stalina, Gorkiego. Do Hiszpanów wołano: „Zuch, Śmierć faszystom!” Szli robotnicy-emigranci: Włosi, Polacy, Niemcy; o-klaskiwano ich. (Nie przypuszczałem, że wielu spośród nich ujrzy wkrótce na rudej, kamienistej ziemi kastylijskiej).

Demonstranci żądali oczywiście rozwiązania organizacji faszystowskich, jak dawniej wołali „Rozstrzelać de la Rocque’a!” — ale wołali wesoło, nawet dobroduszenie. W lutym na ulicę wyszedł lud gotów do walki, demonstracja zaś czternastego lipca była gigantycznym karnawałem.

Wieczorem, jak co roku, zaczęły się tańce — na placu Bastylii, na setkach ulic i uliczek — z tradycyjnymi lampionami, z harmonią, z kuflem piwa czy butelką lemoniady, z pocałunkami zakochanych. Starsi robotnicy siedzieli i patrzyli, jak się bawi młodzież. Słuchałem rozmów; rozprawiano o tym, gdzie najlepiej spędzić urlop, o wujaszku na wsi w Limuzynie, o domku nad Loarą, o rybołówstwie, o wyścigach górskich, o piaszczystych plażach dla działaw. Słowo „rewolucja” ustąpiło miejsca innemu sło-

wu — „wakacje”. Łatwe zwycięstwo dało ludziom złudny spokój.

Paryż nie przypominał teraz wcale Madrytu: nie miał za sobą ani powstania asturyjskiego, ani tortur, więzień, egzekucji. Nie było też fanatycznego duchowieństwa ani generałów porządkujących szablami; burżuazja francuska była znacznie bardziej oświecona i przebieglejsza: liczyła na to, że zmoże Front Ludowy gładem. Zwycięzcy zaś śmiali się i nie myśleli zbytnio o przyszłości.

Kończyłem tom krótkich opowiadań: „Nie objęte zawieszaniem broni”. Z Moskwy przyjechała Irena. W Paryżu panowały nieznośne upały; Luba i Irena pojechały do Bretanii; powiedziałem im, że muszą przesłać do redakcji sprawozdanie o przebiegu demonstracji czternastego lipca i skończyć książkę, a potem przyjechać. (...)

Picasso malował „Guernikę” na wiosnę roku 1937. Ale o pół roku wcześniej, w sierpniu i we wrześniu roku 1936 Hiszpania przypominała płótna Delacroixa; za Pirenejami ułi się i na krótki czas buchnął płomieniem romantyzm ubiegłego stulecia. (...)

Od wybuchu rebelii upłynęło już prawie dwa miesiące. Komunikaty nadal były sprzeczne, ale widziałem, że faszysti są silniejsi: zajęli Sewillę, Kordowę, potem Estremadurę, Talawerę, teraz posuwają się do Madrytu. Wierzyłem jednak niezłomie w zwycięstwo. Zdarzyły się też pocieszające wiadomości: faszystów przepędzono z Malagi, z Albacete. Opor wzmagał się, powstawały nowe centurie, oddziały, bataliony, kolumny. Zaczeli przyjeżdżać ochotnicy z Francji — Francuzi, Włosi, Niemcy, Polacy.

W Barcelonie zaproszono mnie do koszar imienia Karola Marksa; formowała się tam „Kolumna 19 lipca”. Na wielkim dziedzińcu ustawiono żołnierzy. Jedna centuria, czyli, mówiąc po prostu, kompania, otrzymała miano „Centuria III Erenburga”. Powiedziano mi, że mam wręczyć bojowcom sztandar i wygłosić mowę. Byłem okropnie speszony, czułem całą głupotę sytuacji, mówiłem, że nie jestem działaczem politycznym, nie potrafię robić takich rzeczy. W końcu jednak musiałem trzymać sztandar przed obiektywami fotografów, co tam mówić. Pamiętam, że byłem we władzy dwóch uczuć: rozrzewnienia i wstydu. Po dziedzińcu kręciły się sprzedawcy lemoniady, owoców, cukierków, jeden z nich wcisnął mi do ręki garść karmelków: „Jedz, Ruski! Zrobimy ich na szaro...”

Na każdym niemal domu chłopiekim w Katalonii, w Aragonii były napisy: „Idziemy po głowę Cabanellasa!” (Na czele rządu faszystowskiego stał generał Cabanellas, po miesiacu Franco odwołał go).

Widziałem stare chłopki, które przyprowadzały do koszar swoich synów; kiedy im opowiadano, że ludzi i tak jest za dużo i że brakuje broni, powtarzały: „Ależ on jest Hiszpanem, nie może siedzieć w domu...”

Z Paryża przyjechała żona Gerasiego, Stefa, opowiadała, że została Tita w kolonii dziecięcej. Zegnając się z synem Stefa nie wytrzymała i rozplakała się. Chłopiec powiedział: „Mamo, idź! Ja się odwrócę — o, tak. A ty też się nie patrz. Dobrze?” Stefa mówiła z uśmiechem: „Prawdziwy z niego Hiszpan...”

Przeszło mi w tej chwili przez myśl, czemu to, odkąd zacząłem opisywać lata wojny hiszpańskiej, czuję się wytrącony z równowagi, odkładam często karty rekopisu, a przed oczami przepływają mi rude skały Aragonii, zwłogłone domy Madrytu, kręte drogi górskie, ludzie, bliscy mi, ukochani ludzie — nie znamem nawet imion wielu z nich, lecz wszystko to jest jakby żywe, dzisiaj. A przecież minęło dwadzieścia pięć lat i przeżyłem potem gorszą jeszcze wojnę. Wiele rzeczy wspominałem spokojnie, ale o Hiszpanii myślę z zaboconą tkliwością, z tęsknotą. Pablo Neruda zatytułował swój tom, napisany podczas pierwszych miesięcy wojny domowej, „Hiszpania w sercu”; kochałem te wiersze, wiele z nich przełożyłem na rosyjski, ale najbardziej kochałem tytuł — pięknie nie sposób chyba powiedzieć.

W Europie lat trzydziestych, sponiewieranej i ogarniętej paniką, ciężko było oddychać. Faszystom nacierał i to nacierał bez przeszkód. Każde państwo, ba, każdy człowiek marzył o tym, żeby się uratować na własną rękę, uratować się za wszelką cenę, zmilczeć, dać okup. Lata misji soczewicy... I oto znalazł się naród, który podjął walkę. Nie uratował się, nie uratował też Europy, ale jeżeli dla ludzi mojego pokolenia słowa „godność ludzka” zachowały jakiś sens, to tylko dzięki Hiszpanii. Stała się powietrzem, nią się jedynie oddychało.

Ileż ludzi spotkałem w zbombardowanych miastach hiszpańskich! Jedni przyjeżdżali na krótko, inni na długo; ten walczył, ów był korespondentem wojennym, inny organizował pomoc dla ludności. Drogi wielu z nich się rozeszły, ale przeszłość nie da się wykreślić. To gliatti i Nenni, Vidali („komendant Carlos”) i Pacciardi, Koča Popowić i Kozłowski, André Malraux i Maté Zalka („generał Lukacs”), Kołcow i Louis Fischer, Pablo Neruda i Hemingway, Laszlo Rajk i Ludwig Renn, Regier i Janek Barwiński (Pseudonim Józefa Strzelczyka (1907—1942); Strzelczyk, robotnik łódzki, działacz KZMP, członek KPP, dowódca batalionu, a później brygady im. J. Dąbrowskiego w Hiszpanii, zginął w Polsce jako dowódca partyzanckiej grupy desantowej w walce z hitlerowcami), Longo i Branting, Andersen-Nexo i Bosch, Chamson i Aleksy Tołstoj, Kisch i Banda, Saint-Exupéry i Anna Seghers, Jean-Richard Bloch i Spender, André Violis i Guillén, Si-queiros i Dos Passos, Ralph Fox i Toller, Božo Ušić i Bredeł, Izabela Blum i abisyński ras Imru... Wielu na pewno nie wymienię, chciałem po prostu pokazać, jak różni byli ludzie, którzy w owym okresie żyli tylko myślą o Hiszpanii. (...)

Niedawno we Florencji przyszedł do mnie fotoreporter ze starszym już Włochem, który zamiast biletu wizytowego wyjął legitymację „Związku Byłych Ochotników w Hiszpanii” i natychmiast zapomniał o fotografii, usiedliśmy w kawiarni, zaczęliśmy wspominać dawne czasy. My wszyscy, którzyśmy byli w Hiszpanii, jesteśmy z nią związani, jesteśmy związani ze sobą. Widocznie człowiek zczył się nie tylko zwycięstwami...

Z tomu „Ludzie, lata, życie”.

W kręgu fantastyki

Było to pół roku temu i od tej pory zaczął Log dziwne podwójne życie. Pojawiała się tajemnica, której nie powierzył nikomu. Z początku Log eksperymentował z ogniem i piótnem. Należał z materiału kawałki różnego kształtu i rozmiaru i rzucał w mgłę nad ogniskiem. Kiedy pewnego razu spory kawałek płótna nieoczekiwanie wygiął się w czasie i znieruchomiał drżąc, a potem wolno podniósł się do góry i wypuszczony z rąk skrył się we mgłę nad głową, Log w uniesieniu zgasił nawet płomień nieostrożnym ruchem. Stał w mroku i po raz pierwszy pomyślał, że to realne. To. Dziwne, niewiarygodne przez nikogo jeszcze nie wymyślone tylko przez niego, Loga, zobaczone i teraz realne, zupełnie realne. Trzeba próbować wciąż i wciąż, przecież jeśli w górę mógł wlecieć taki duży kawałek płótna, to poleciał jeszcze większy trzeba tylko więcej ognia i jeśli może lecieć płótno, to zdolne jest unieść z sobą jeszcze coś. Tak, trzeba więcej ognia. Ogromne ognisko i ogromny płatek materiału.

Dlaczego płatek? Jeśli rzeczywiście mgła ciągnie w górę płótno, to trzeba... Taki Trzeba zrobić tak, aby ta szczególna, tworzona przez ogień mgła została w materiale, nie rozplynęła się we wszystkie strony...

Następnego wieczoru oklamawszy matkę zapewnieniami, że powinien uszyć sobie nową koszulę Log usiadł do rozwalającego się warsztatu — ulubionej rozrywki mamy, stojącego w domu od niepamiętnych czasów, a otrzymanego przez matkę, chyba jeszcze od jej prababki — i uszył niezgrabny, ale lekki worek z gardzieli, którą można było łatwo zaciągnąć mocną nicią. Mały przeskakiwał w pracy, warsztat chyłotał się i groziło że rozpadnie się do reszty, ale Log mimo wszystko doprowadził pracę do końca i zasnął zadowolony zmęczony i zaintrygowany. Następnego dnia w polu praca leciała mu i ręką liczył czas od dzwonu do dzwonu. Tego wieczoru niezgrabny twór (dla niego Log wymyślił nazwę „mgielna kula”), powisławszy nad ogniskiem zaczął podnosić się naciągając nić na której wisiał dość ciężki kamień.

Mijały dni a ściślej mówiąc dni wióły się, a wieczory przelatwały pełne trosk i nerwów. Log prawie nie niepokoił się, że ktoś może go wysiedzieć na poletku. Znaleźć we mgłę właśnie ten asekuracyjny palik do którego przywiązana była właśnie tego Loga asekuracyjna nić, można było tylko zupełnie przypadkiem a w tej części osady gdzie zaczynało się opuszczone pole, ludzie pojawiali się nieczęsto. Na pytania matki o jego wieczorne nieobecności Log wymyślał cokolwiek i matka wierzyła lub myślała, że z pewnością spotyka się z Leną i dokiadniej nie wypytywała.

Po miesiącu Log już wiedział, że ogromny worek, największy z uszytych przez niego „mgielnych kul”, zdolna jest unieść kamień i utrzymać go na wysokości 10 łokci mniej więcej pół wieczoru. Potem wszystko się kończyło. Mgła wytwarzana przez ogień z jakiegoś powodu traciła swe niezwykłe własności i worek opadał — wolno i beznadziejnie. To nie było jeszcze tragedia — Log wcale nie palił się, aby natychmiast na sobie wypróbować odkrycia przez niego niezwykłą właściwość mgły.

Pewnego razu, gdy zgasił ognisko, zebrał i włożył pod kamień wszystkie worki — by nie unieść ich wiatr — Log usłyszał w nocej cichy szum trzaski. Szron znikł z ziemi, odstawiając mokra, chłodna i klejąca się gleba, co rusz rozdymająca się maleńkimi pęcherzykami. Pęcherzyki pękały, znikły we mgłę, zostawiając ten niemły, gorzkawy zapach, który Log poczuł już wtedy gdy pierwszy raz przyszedł na poletko. Z powodu tego właśnie zapachu pole zostało opuszczone wiele lat temu, ale wcześniej Logowi nie przyszło nawet do głowy wiązać ten zapach z pęcherzykami.

Słyszcząc trzaski i przypominawszy sobie co one oznaczają, Log pomyślał nieoczekiwanie, że przecież pęcherzyki — to ta sama mgła rodzą się gdzieś pod ziemią, wydobywają się na powierzchnię i zlewają z powietrzem, niczym się od niego nie różniąc i tylko zapach zdradza ich obecność. Log przykrył miejsce gdzie pęcherzyków było najwięcej, kawałkiem płótna i zauważył, że płótno unosi się, że pęcherzyki unoszą go do góry. To nowe odkrycie tak wciągnęło Loga, że zapomniał o powrocie. Z odurzenia, w którym słuchał jak pękają pęcherzyki, wyrwał go narastający Głos Nieba. Log puścił się biegiem, omal nie zabił się i zjawił się w domu brudny, padając ze zmęczenia. Matka karmiła go, ale on nie słyszał, poruszał się, że te pęcherzyki są lekkie inaczej nie mógłby podnieść tkaniny i że jeśli zebrać ich dużo, bardzo dużo i napędzić nimi ogromną „mgielną kulę”...

Wszystko co było potem złożyło się w jeden piękny czyn przerzany koniecznością pracy w polu, opieki nad małcami, pomocy matce, noszenia jedzenia staremu Lepirowi — rzeczami codziennymi, ale zupełnie mu niezbędnymi. Myślał Log był gdzieś tam, w górze, a wokół niego kłębiła się niespytanie piękna pomarańczowa mgła w której łatwo było oddychać, łatwo myśleć łatwo żyć. To mogło się stać dlatego że już pierwsze doświadczenia z pęcherzykami pokazały, że mogą one podnieść znacznie więcej płótna niż mgła utworzona przez ogień.

Log jednakże nie zdołał uszyć worka, który podniósłby tego. Nie dlatego że bytoby to niemożliwe, po prostu nie zdołałby uniknąć pytań matki, nie zdołałby ukryć niezwykłości swojej pracy. Zrobił więc niezbyt dużych „mgielnych kul” i powiesił je nad miejscami wydzielania się pęcherzyków. Na szczęście dla Loga — on rzeczywiście uważał to za ogromne powodzenie — właściwość pęcherzyków pozwalająca im unosić „mgielne kule” nie zniknęła z czasem. Więcej nawet, gdzieś w połowie lata gdy zbliżał się Dzień Płonów pęcherzyki zaczęły wydzielanie się intensywniej jakby pod ziemią nasiliła się niewidoczna i stała praca jakiejś tajemniczkiej, sprzyjającej Logowi, istoty.

Log zarzucił na plecy sakwy — Lenie one na nie a temu przydadzą się obie, jeśli „mgiel-

ne kule” zdołała je unieść i ruszył w pole, przesuwając ręką wzdłuż linki asekuracyjnej.

Na poletku nic się nie zmieniło: nisko nad ziemią wisiało pięć worków, napędzając się pęcherzykami uchłapanej mgły. Log popuścił linki na pełną długość i kule poderwały się do góry, zniknęły z pola widzenia i zawisły gdzieś nad głową. Log przyciągnął z powrotem jedną z „mgielnych kul” udało mu się to z trudem, ale powstrzymał się od okazania zachwytu. Przywiązał do linki sakwę z prowiantem i „mgielna kula” z łatwością podniosła ten ciężar. Log przywiązał i drugą sakwę — do drugiego worka i dopiero potem zamyślił się nad prostym w istocie pytaniem. Nie ma przecież pojęcia, co czeka go tam w górze. W każdej Wędrówce po ziemi przyszedł się żywność, żeby nie umarł z głodu i derki, żeby nie spać na wilgotnej ziemi. A tam, w górze, gdzie nie ma niczego, oprócz mgły i Głosu Nieba?

„Powinienem się tylko przekonać — pomyślał Log — powinienem sam zobaczyć pomarańczową mgłę, a potem odetnie jeden lub dwa

PAWEŁ AMNUEL

Ponad góry, ponad chmury, ponad niebo...

worki i opuszczyć się na pole, i wtedy, w końcu, poznawszy rzeczywiste piękno, zostanie Wędrówcem”.

Tak przekonawszy siebie samego, że sakwy z żywnością i derkami jeszcze się przydadzą, Log zaczął się przywiązywać. „Mgienne kule” były splecione razem, szelki, które powinny być obejmować Loga za ramiona, pod pachami, przygotował kilka dni temu a teraz przywiązał mocnym węzłem siedzisko i usiadł na nie. Siedzieć było niewygodnie, linki wpijały się w ciało. Trzeba zrobić wygodniejsze siedzisko, tam w sakwach są derki, można je wykorzystać.

Drgnęła asekuracyjna linka cały czas jeszcze będąca na kółku u pasa Log zamrli. Wydawało mu się? Linka drgnęła wyraźniej, omal nie wyrwał się Log z siedziska.

„Lena wróciła, — pomyślał, — Teraz zacznie przedzierać się tutaj i trzeba będzie uspokajać ją i przekonywać aby wróciła. A może nawet grozić”.

To nie była Lena. Log usłyszał głosy. We mgłę wzdłuż linki poruszali się ludzie. Głuchy bas należał do jednego ze starszych mężczyzn, ogromnego wzrostu z nieprzyjemną brodą i twarzą. Drugi głos, mamroczący coś w odpowiedzi, był głosem starosty.

Czyżby Lena zamiast iść do domu wszystko

opowiedziała starości? I czyżby zdradzając ją, Log spotkał się z inną zdradą, nie dla uratowania się lecz z zemsty?

Log odrzucił na bok koniec linki ubezpieczającej, usiadł wygodnie, by przypadkowe szarpnięcie nie zważyło go z siedziska. Ledwo sięgał nogami ziemi i nie mógł nachylić się aby odciąć od wbitego w ziemię pala pięć przywiązanych doń „mgielnych kul”. Głosy zbliżały się i wtedy Log wyjąwszy niezbyt głęboko, na szczęście, schowany nóż przejechał nim po linkach.

Nie się nie zmieniło, tylko siedzisko lekko zakłósało się i nogi nie znajdowały już oparcia. A potem Log usłyszał głosy — skądś z dołu, jakby spod ziemi.

I dopiero wtedy zrozumiał, że leci.

* * *

Był moment, przesywającego jak igła, strachu, i było szybkie uspokojenie, dlatego, że wiązka „mgielnych kul” podnosiła swój bagaż

tuż przed oczami, zobaczył wszystkie pięć „mgielnych kul” wszystkie łączące ich linki i sakwy z prowiantem i wszystko to, zupełnie niemożliwe do ogarnięcia jednym — jedynym spojrzeniem na słabo oświetlonym tle zielonkawej z jakiegoś powodu mgły.

„Dlaczego mgła i powietrze to różne słowa?” — przypomniał sobie Log.

Wykręcając szyję, popatrzył do góry, a mgła nad głową coraz bardziej rzędła i w niej coraz wyraźniej pojawiał się ogromny świecący krag, w niepojęty sposób trzymający się tam w niebie. Strach, który z tego powodu czuł Log, zmienił się w instynktowne przerażenie: z daleka nadchodził przerwał nocną ciszę Głos Nieba. Coś niewidzialnego zbliżało się rwał w strzępy powietrze: mgła i wszystko wokół, siedzisko pod Logiem bustało się coraz silniej, omal nie wypadł z niego, a Głos grzmiał i to był koniec. To był gniew niebios i był straszny.

Całkowicie sparaliżowany Log oczekiwał śmierci, ale Głos zaczął cichnąć, wpadł gdzieś w głębinę i Log słyszał go z jakiegoś powodu pod sobą, dokąd nie śmiał spojrzeć. Dopiero po długim czasie kiedy Głos rozplynął się ostatecznie, Log popatrzył w dół i zobaczył białe pole śniegu pagórkowate, z rzucającymi się w oczy wyraźnymi cieniami i pole to ciągnęło się tak daleko jak... Log nie znalazł porównania i rozumiał tylko jedno: widzi. Nie tylko na pięć, nie na dwadzieścia, nie na sto łokci. Być może nawet nie na tysiąc.

Oczy zabolaty nie przywykły do takiej pracy — patrzeć w dół, Log na sekundę zmrużył oczy, a kiedy znowu zdecydował się otworzyć je jego wzrok był skierowany nie w dół, a do góry.

Mgła znikła.

Była czerni, absolutna czerni wysmarowanej sadzą kopuły. A na kopule błyszczały iskrzyły się, świeciły, migotały, jaskrawe i słabe, białe, błękitne, żółte kropczki śnieżynki. Wydawało się, że zamieniają się miejscami i tańczą. Świadomość Loga już nie była zdolna ocenić wrażeń i nie rozumiał, że kropczki na niebie są zupełnie nieruchome a wiązka kul kołysze się w powietrznym prądzie, oddalając Loga od rodzinnej osady i od wszystkich, na zawsze dla niego umarłych ziemskich problemów.

W oczy Loga zajaśniała ogromna zielonkawa twarz z jakimiś plamami, bezoka i beznosa, z wyszczerzoną z jakiegoś powodu szczęką. To był tamten kaganek, który świecił przez mgłę, a który zmienił się w twarz, wyraźną, straszną, otoczoną śnieżynkami — kropczkami. Twarz ciągnęła Loga do siebie i on, szeroko otwartymi oczami i już nie powstrzymując wyrwał się do gardła krzyku, czuł zbliżanie się czegoś nieodwracalnego i beznadziejnego.

Ochłodził kopuły pogłębiała się, coraz silniejsze iskrzyły pojawiały się w mroku, wstępując w ogólny taniec, było ich więcej niż ołatków śniegu na polu i ochłodził, nie wydawała się już czarna — przeciwnie migotała, oślepiała i kiedy Log odwrócił głowę, śnieżynki runęły na niego, spadły na ramiona, zabębniły mocnym dośzczem i rozprysnęły się dookoła, obrzydliwe młodości nadeszły mu do gardła.

Nie czuł rąk ani nóg, umierał wśród ognia, chwytając ustami resztki powietrza rozrzedzonego na tej wysokości i nie pojmował, że rąb go nie gniew Głosu, ale zwykły brak tlenu i to nie oczy niebiań patrzy w jego oczy, i w dół — nie śnieg, a ta sama mgła, z której wiązka powietrznych kul, napędzonych lekkim gazem, wyniosła Loga na przezroczystą i otwartą przestrzeń.

Log nie widział już całego tego przepychu zwykłej letniej nocy, a zobaczysz nie mógłby nie tylko zrozumieć, ale nawet uświadomić sobie, co widza jego oczy.

Mgła ścieliła się połałdowaną równiną, oświetlana równym i obojętnym światłem prawie pełnego księżycy a między mgłą i niebem, które wcale nie było stałą kopułą, unosił się w powietrznym strumieniu nie sterowany pęk kul, rzucając na powierzchnię mgły dziwaczny cień.

* * *

Log ponownie przychodząc na świat nieczego, jak niemowle, nie rozumiał z tego co zobaczył. Jak w ciele niemowlecia, w jego ciele żyły tylko wrażenia — przyjemnie, jasno i chce się jeść. Nie myślał tymi słowami, w ogóle nie myślał. Nadszedł czas i nasycił się. Nadszedł czas i przypomniał sobie swoje imię. Nadszedł czas i zaczął rozróżniać szczegóły zewnętrznego świata i zobaczył coś znanego z poprzedniego życia. Stół. Przypomniał sobie nazwę. Ława. Okno. Światło. Człowiek. Było jeszcze i coś czego nie rozumiał tak, jak nie rozumie małe przeznaczenia nigdy nie widzianych przedmiotów. Uwaga Loga skupiała się na człowieku siedzącym u węgłowia postania. Udało mu się skoncentrować uwagę na twarzy człowieka i to pozwoliło mu wyjść z wieku niemowlecego. Stał się dorosłym prawie natychmiast i przypomniał sobie wszystko. Całe swe poprzednie życie i koszmarnie ostatnich minut, kiedy otworzył się przed nim świat do tego stopnia niezrozumiały że Log nie miał siły aby go przyjąć, a nie przyjmując — nie miał siły by żyć.

W głowie zakreśliło się i Log wczepił się palcami w miękki koc. Powietrze. W pokoju nie było powietrza! Widział stół i ławę przy przeciwległej ścianie, okno, wychodzące w czerni nocy, jaskrawą oślepiającą lampę pod wysokim sufitem — widział wszystko od razu! Jego oczy, od urodzenia przywykłe patrzeć na odległość wyciągniętej ręki, nie były w stanie odczuć wymiarowości oddalonych przedmiotów i do sufitu, w tym pokoju bez powietrza mogło być dziesięć łokci, a mogło być i ze sto tysięcy.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA DĘBSKA

Rys. Piotr Zdrzyński

1

Nagle zastępstwo

Jak zarobić na reklamie?

Przed miesiącem redakcja nasza otrzymała informację o 13 Ogólnopolskim Przeglądzie Studenckich Teatrów Debiutujących „start 86”, który odbył się na przełomie lutego i marca w Kielcach. Ponieważ mamy życzliwy stosunek do studenckiego ruchu kulturalnego, informację zamieściliśmy w Kronice Kulturalnej, przyczyniając się w ten sposób do rozreklamowania imprezy. Nie jesteśmy natomiast aż tak zainteresowani omawianą imprezą i — jak sądzimy — nie wywołuje ona także silnego drzewca emocji wśród naszych czytelników, żebyśmy uznali udział przedstawicieli naszej redakcji w przeglądzie za niezbędny. Toteż nie skorzystaliśmy z zaproszenia...

Tymczasem, już po dwóch tygodniach, organizatorzy „startu 86” przysłali nam, ni mniej ni więcej, ponaglenie!

Piszą oni (organizatorzy) między innymi:

„Ponieważ nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, mamy obawy, że być może nasze informacje nie dotarły do Waszej Redakcji (ach, ta nasza Poczta) (...). Zdajemy sobie sprawę, że jest wiele ważnych i nośnych tematów dotyczących naszego życia gospodarczego, społ-polit., ale chyba nie powinno się zapomnieć o kulturalnej aktywności młodego pokolenia. Dlatego uprzejmie prosimy o odpowiedź na niniejsze pismo...” (koniec cytatu, zachowaliśmy oryginalną interpunkcję, A.K.).

Co się kryje za pewną — naszymi rzecz po imieniu — natrącością działaczy studenckich? Wstyd powiedzieć — pieniądze... Otóż akredytacja na przeglądzie jest płatna! Nie jest to astronomiczna suma, ale już na pierwszy rzut oka grubo przekracza koszty trzech noclegów w domu studenckim i wyżywienia w studenckiej stołówce. Organizatorzy zapewniają jeszcze „udział we wszystkich imprezach” — miejmy nadzieję, bezpłatny...

Obawiam się, że bilety na spektakle debiutujących teatrów studenckich będą albo bardzo tanie albo wręcz darmowe. W tej sytuacji płatna akredytacja kilkunastu dziennikarzy będzie najpoważniejszą pozycją po stronie wpływów z imprezy.

Redakcja nasza nie posłała do Kielc swego sprawozdawcy. Występy debiutujących teatrów z Bielawy, Leżajska, Nowej Soli, Pili i Wodzisławia Śląskiego nie będą recenzowane na tych łamach. A pisać o tym wcale nie po to, żeby zawstydzić młodych organizatorów „startu 86”. Nie oni na to wpadli, oni naśladowali tylko swych starszych i sprytniejszych kolegów — organizatorów najroźniejszych festiwali, spotkań, przeglądów itp. itd. Od paru już lat bowiem obserwujemy bardzo szczególny stosunek najroźniejszych „menażów” do dziennikarzy. Zaprasza się ich po to, żeby zapewnić reklamę tymże przeglądowi, festiwalowi itp., a pośrednio właśnie menadżerom.

Od niepamiętnych czasów dziennikarze dostają zaproszenia na premierowe spektakle, na najroźniejsze imprezy kulturalne i handlowe. Oczywiście — za darmo. Wcale nie nawołuję tu do jakiegos obdarowywania dziennikarzy, wprost przeciwnie — organizatorzy winni zapewnić wstęp na imprezy oraz zarezerwować miejsca w hotelu — to oczywiste. Dziennikarz przyjeżdża przecież z delegacją służbowa i podstawowe koszty pokrywa delegujący — wydawca gazety, dyrekcja radia czy tv.

Tymczasem ryczałtowo obliczane koszty akredytacji pachną zwykłym nacłagiem. Dziennikarze i ich chlebodawcy mają nie tylko imprezę rozreklamować, ale i — częściowo —

finansować!

Na dodatek, tak chytro obliczane opłaty za akredytację wykluczają np. dwudniowy pobyt dziennikarza na — pięciodniowej, dajmy na to — imprezie. Trzeba bulnąć za całość!

Najwyższy czas, aby dziennikarz i ich sponsorzy-wydawcy rozpoczęli bojkot tych praktyk. Proponuję, aby Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL sumiennie i systematycznie opłacało się w ten sposób do rozreklamowania imprezy — przynajmniej zbyt wysoko płatną — akredytację. Proponuję kolegom — żurnalistom demonstracyjnie omijanie tych imprez a wydawcom — odmawianie delegacji na takie imprezy.

Żeby jednak być konsekwentnym, trzeba, aby koledzy dziennikarze stanowczo odmawiali też przyjmowania prezentów w rodzaju bezpłatnego wyżywienia i zakwaterowania, oferowanego niekiedy przez zamożniejszych organizatorów imprez. Chodź przecież nie o te dwa — trzy tysiące. W tle stoi Prawo Prasowe i Dziennikarski Kodeks Obyczajowy, surowo zakazujący kryptoreklamy...

Co do koktajli podawanych na konferencjach prasowych, to mam na ten temat inne zdanie, ale sprawa jest i tak nieaktualna. Od lat się ich nie podaje...

ANDRZEJ KAROL

P.S. Po ubiegłotygodniowym felietonie „Ale kino! (nocne)” miałem telefon od oburzonego, anonimowego czytelnika. Czytelnik mój stwierdził, że nie tylko nie będzie oglądał „tych zbierzeń” w kinie nocnym tv, ale także nie będzie czytał moich felietonów. Następnie rzucił słuchawkę i nie wysłuchał mej odpowiedzi!

Drogi Panie! Na szczęście ani oglądanie telewizji ani — tym bardziej — czytanie felietonów nie jest w naszym kraju, póki co, obowiązkowe. Życzę zdrowego snu w sobotnie wieczory.

A. K.

2

Opowieści wschodnie

Rudogrzywy II czyli niepo- hamowana ambicja

Pewien bardzo stary ogier opowiedział mi kiedyś starą, perszeroną legendę. Twierdził zresztą, że nie jest to legenda a najprawdziwsza prawda. Nie ma o niej wzmianek w perszeronich kronikach a to tylko dlatego, że po okresie Wielkiej Reformy i wojny domowej regent wydał tajne zarządzenie, na podstawie którego przepisano na nowo całą historię Perszeronii opuszczając opisy wszystkich wydarzeń, jakie mogły rzucić cień na dynastię. Wśród tych zapomnianych już zapisów był i taki, dotyczący panowania dwóch kolejnych regentów: Rudogrzywego II i Konika Garbuska.

Rudogrzywy miał ambicję występować w wyścigach. Był, rzecz jasna, koniem rosyjskim, długonogim, dobrze umiśnionym. Biegał nieźle, ale, jak twierdził znawcy, nie miał tego czegoś, tej iskry, która odróżnia zwykłego konia pociągowego od wspaniałego biegaacza, triumfatora torów.

Przegrane wyścigi psuły humor regentowi. Był zwykły po nich złośliwy, dręczył cały dwór nie wyłączając stadka dwunastu klaczy — prawnych żon władcy a nawet innego stadka, większego, choć o zmniejszonym udziale w wyścigach. Były to, jak ma-

wiają ludzie — nabożnice regenta. W Perszeronii używano raczej nazwy: stajennice.

A już największego pecha mieli ci, których los postawił przed najwyższym trybunałem, którego regent był z urzędu przewodniczącym. Za najmniejszą, nie udowodnioną przyswojenie wykroczenia, Rudogrzywy, jeśli akurat przegrał był gonitwę, karał niezwykle surowo. Chłosta była karą najcięższą a dożywotnie przykucie do kielasa połączone z oślepieniem — najcięższą, wyłączając karę główną, karę przewidzianą w Kodeksie, zapadała w siedmiu przypadkach na dziesięć.

Rudogrzywy trenował coraz więcej, sprowadzał z zagranicy najwybitniejszych trenerów a nawet, wstyd powiedzieć — trenerów! Podobno, w głębokiej konspiracji biegał nawet pod dżokiem, co było w Perszeronii traktowane jako największa hańba i ścigane przez prawo. Zwycięstw wciąż było mało, trzeci miejsca były największymi osiągnięciami Rudogrzywego. Potęgował się jego zły humor, powiększała się udręka poddanych.

Wówczas Wielki Kanclerz zwołał tajne posiedzenie rady regencyjnej, która uchwaliła tajną dyrektywę dla Wydziału Ceremonii Widołowskich i Wyścigów. Od tej pory organizatorzy wyścigów mieli obowiązek tak kierować gonitwami, żeby wygrywał regent. Dokonywano okaleczenia kopyt faworytów, przekusztwa, zatrucia obrotu, sznitał i inne wściekłe postępy były na porządku dziennym. Wszystkiego dokonywała, w porozumieniu z Wydziałem Ceremonii, Widołowskich i Wyścigów tajna policja. W największej konspiracji, albowiem trzeba było to praktyki utrzymywać w tajemnicy nie tylko przed władzą, ale także przed opinią publiczną — obywateli Perszeronii kochał wyścigi jak Hiszpanie corrida, a organizatorzy i sędziowie zawodów hippicznych cieszyli się wielką estymą. Nad przestrzeganiem regulaminów czuwała specjalna komisja, składająca się z nieposłuszkowanych i nieprzekupnych obywateli.

Tymczasem regent nadal przegrywał! Rządził, co prawda, ale niejednokrotnie zdarzało się, że jakiś zdrowy, młody ogier wyrwał się i miał przed sobą władzę!

Wówczas Wielki Urząd Kanclerski rozpoczął akcję, która w historii Perszeronii została nazwana Wielką Amputacją. Specjalne komisje, rzekomo medyczne, dokonywały amputacji jednej nogi każdego zdolnego rumaka, który zagrażał prymatowi regenta i był — choćby tylko potencjalnym — championem.

Rozpoczęły się ucieczki za granicę, wiele rączych koni składało rejentalne oświadczenia, że nigdy nie staną do współzawodnictwa z panującym. Były to czasy krwi, hańby, obłądki i terroru...

Na szczęście Rudogrzywy zdechł w czasie treningu, biegał bowiem z dużym obciążeniem na długich dystansach, a nie był już młodzieńcem.

Perszeronia odetchnęła z ulgą, kiedy na fotel regenta wstąpił jego syn Garbusek. Ten nie miał sportowych ambicji, co było zrozumiałe ze względu na jego kalekostwo.

Garbusek panował mądrze i sprawiedliwie. To on udzielił azylu wielbiadom, przesładowanym w Zoofili. Miał do tych zwierząt szczególną sympatię...

Interesował się głównie sztuką i kulturą. Dbał o artystów, hojnie ich nagradzał, chętnie przebywał w ich towarzystwie. Na wyścigi nie chodził, nie wtrącał się w sprawy, które nie go obchodziły. Z trudem dawał się namówić na udział w corocznych derbach państwowych o Wielką Nagrodę Regenta.

Po jakimś czasie sam ujawnił pewien talent artystyczny. Oto dwutygodniak satyryczny „Ośli ogon” któregoś dnia zamieścił opowiadanie humorystyczne podpisane pseudonimem. Po stolicy, lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że to sam regent jest autorem opowiadania. Ludzie regenta sami tę wieść rozpowszechniali, miał bowiem Garbusek ambicję i chciał zostać wybitnym satyrykiem.

Nic dobrego z tego nie wynikło, o czym w następnej opowieści.

BEN GRUNDIK

3

Ludzie, piszcie pamiętniki!

Mam kilku znajomych, którzy chwają się, że systematycznie piszą pamiętniki. Wracają tak człowiek z pracy, zebrania, narady, obejrzy dziennik telewizyjny, poczyta gazety i nim pójdzie spać siada przy stole, wyjmując gruby zeszyt i zapisuje swoje wrażenia z minionego dnia. Zazdroszczę takim ludziom. Po pierwsze — czasu, po drugie — systematyczności, po trzecie — rezultatów. Jeśli mają szczęście żyć w ciekawych czasach — co u Chińczyków jest przekleństwem — jeśli mają też szczęście być bliżej ważnych wydarzeń, to ich zapiski mogą w przyszłości zrobić furorę. Czasem wystarczy tylko umiejętność montowania cudzych tekstów i stworzenie pozorów, że było się świadkiem tego, co się działo ważnego w kraju, a już można zasłużyć na pochwały i ciekawość. Skoro się samemu nie przeżyło i mało widziało, to i taki chwyt może przynieść jakiś tam pożytek.

Mimo wszystko gorąco namawiam do pisania pamiętników. Jaka by nie była późniejsza ich wartość, są one świadectwem czasu i mogą być ważnym dokumentem w niedalekiej przyszłości. Przeczytałem „Pamiętniki” Jerzego Kirchmayera. Nie jest to lektura łatwa, gdyż autor — jako oficer sztabowy, a z zamiłowania historyk wojskowy — podaje dużo szczegółów mniej może zwykłego czytelnika interesujących. Są to jednak dla zrozumienia naszego dwudziestolecia międzywojennego szczegóły niebywale ważne.

Jerzy Kirchmayer jest niebawale krytyczny. Gdy uważnie czyta się jego „Pamiętniki” można odnieść wrażenie, że tylko on miał rację, wszystko widział we właściwych rozmiarach i nie było wokół niego ludzi mądrych, krytycznych, mających szerokie horyzonty. Ale jest to złudzenie. Jerzy Kirchmayer stara się widzieć nie tylko wady, ale i zalety przedstawianych ludzi. Stara się być obiektywny, choć u pamiętnikarza jest to prawie niemożliwe. Pamiętnikarz musi być subiektywny. Inaczej nie będzie to pamiętnik, a naukowa relacja. W pamiętniku przecież najważniejszy jest sąd autora, jego przeżycia, takie, jakimi były, jak je ocenił nie dysponując pełnym obrazem wypadków i wydarzeń, widząc je i oceniając we fragmencie, z własnego punktu widzenia, czasem nadto okraszane emocjami. Jerzy Kirchmayer stara się mimo wszystko być obiektywny i dzięki temu otrzymaliśmy kilka wspaniałych portretów wojskowych z okresu II Rzeczypospolitej, stosunków panujących w wojsku, tamtejszych obyczajów.

Zaraz potem przeczytałem książkę Kazimierza Kordasa pt. „Człowiek spod Arnhem”. Ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego, jako drugie wydanie. W nocie od wydawcy, gdy charakterystyka się dorobek literacki Kazimierza Kordasa, napisano: „W roku 1959 wydał powieść „Człowiek spod Arnhem...”. On sam w słowie od autora napisał, że książka ta jest „opowieścią o losach grupy polskich spadochroniarzy, opowieścią wierną w szczegółach charakterystycznych, lecz niczym więcej”.

Przeczytałem ostatnio kilka pamiętników cichociemnych. Pasjonująco to lektura. Ale na ich ile opowieść Kazimierza Kordasa wygląda blade. W części pierwszej, opisującej okres szkolenia, razi nadmierny-

mi uproszczeniami. Dopiero zaczyna pasjonować w części ostatniej, gdy toczy się bitwa pod Arnhem i jest ona pokazana oczyma żołnierza, a więc we fragmentach, które nawet nie składają się na jej całość.

Na usprawiedliwienie autora można powiedzieć tylko tyle, że była pisana w 1937 roku, a więc — jak sam to przyznaje — najwcześniej, jak tylko było to możliwe, że dziś dysponujemy bogatą literaturą na ten temat, że dopiero w konfrontacji z tą literaturą traci ona jakby na swej wartości, którą niegdyś miała bez wątpliwości. Nie mam jednak za złe Wydawnictwu Literackiemu, że tę książkę wznowiło. Rosną nowe pokolenia i warto byłoby, aby znały naszą historię w różnym oświetleniu: i pamiętnikarskim, i literackim, i naukowym.

Ala sądzę, że Kazimierz Kordas być może mógłby pokusić się o odwzorowanie czegoś w rodzaju pamiętnika żołnierza i Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Zachęcałbym do tego mając nawet tę świadomość, że byłby to pamiętnik odwarty po latach, wspomnienia raczej niż bezpośredni zapis. „Posłowi do drugiego wydania” można się zorientować, że autor zna literaturę przedmiotu, podjął nawet polemikę z książką generała R. E. Urquharta „Arnhem”, któremu w tej bitwie podlegała polska i Samodzielna Brygada Spadochronowa. Zatem gra może okazać się warta świeczki.

W 1984 roku MON wydał książkę Bohdana Tymienieckiego pt. „Na imię tej było Lily”. Bohdan Tymieniecki był w czasie kampanii włoskiej żołnierzem 2 Brygady Pancerniej. Jego książka jest takim właśnie zbeletryzowanym pamiętnikiem. Zbiorem różnych i luźnych wspomnień, pisanych już z odalenia, ale z dużym talentem i niebawale interesujących. Przypominam tę książkę li tylko po to, aby wykazać, że coś takiego może się udać.

A poza tym powtarzam za- chęć: ludzie, piszcie pamiętniki! Potomni będą wam za to wdzięczni!

WITOLD BOROWY

4

Sport

Biedni i bogaci

Ruszyła liga piłki nożnej. Wcześniej, choć do wiosny kalendarzowe pozostało trzy tygodnie. Zima nie folguje i piłkarzom nie będzie łatwo grać na zamrzniętych boiskach, w śniegu. Ale w połowie roku mamy Mundial'86 w Meksyku i wszystko trzeba poświęcić, aby na Mundialu dobrze się zaprezentować. A zatem i liga musi być podporządkowana Mundialowi.

Krakowski „Tempo” wypuściło na rynek specjalny dodatek, w którym kibic piłkarski znajdzie wszystko o I, II i III lidze. Cena: 200 złotych. Ale prenumeratorzy dostali taki dodatek gratis. Mogło sobie „Tempo” na to pozwolić, bo nakład wyniósł 250 000 egzemplarzy. Dla rozsądnego kibica jest to skarb i warto na to wydać nawet 200 złotych. „Tempo” szykuje następne wydawnictwo, w którym kibic piłkarski znajdzie wszystko o Mundialu'86. Też będzie warto kupić. Szef „Tempa”, Ryszard Niemiec wpadł na znakomity pomysł. Pogratulować i pozazdrościć.

Ala wróćmy do ligi, która podporządkowana jest Mundialowi'86. Powróćła reprezentacja z zimowych wojaży po Włoszech i Ameryce Południowej. Wszyscy wrócili zadowo-

leni — tak się przynajmniej wydaje. Tak przynajmniej próbowali to przedstawiać. Jednak co w tym wszystkim nie do końca grało.

Najpierw Dariusz Wdowczyk zwierzył się dziennikarzom, że na zgrupowaniu w Wiśle była zła atmosfera, że gracze byli między sobą skłócen, podzieleni na grupy. Można tę relację Dariusza Wdowczyka potraktować z dużym sceptycyzmem, bowiem nie załapał się on na włosko-argentyńskie tournée. Człowiek rozczulony może różne rzeczy wygadawać. Z drugiej strony warto pamiętać, że człowiek, który nie jest czymś zainteresowany będzie mówił bardziej otwarcie od tego, który na coś jeszcze liczy i ma to i owo do stracenia. Takie są na ogół reguły gry.

Na Okeciu dziennikarze natychmiast rzucili się więc z pytaniami o stosunki w polskiej reprezentacji. Antoni Piechni-czek dyplomatycznie oświadczył, że cele zostały osiągnięte i wszyscy powinni czuć się usatysfakcjonowani. Ale Dariusz Dziekanowski przyznał, że „tak długie przebywanie ze sobą rodzi nieuchronne stresy, z najbardziej powodu mogą powstać konflikty w sytuacji między zawodnikami”.

Jednak nie wszyscy byli zadowoleni. Kazimierz Praybski choćby dlatego, że dostał po twarzy i na dodatek jeszcze dostał czerwoną kartkę, a przecież nie on używał ręcznych argumentów. Włodzimierz Smolarek z dużą satysfakcją prezentował opuchniętą jak balon nogę. Kokierni zaważdził że nogę Urugwajczyka, a polski lekarz nie dostrzegł małej ranki, przez którą dostała się infekcja. Teraz Włodzimierz Smolarek musi pauzować, lecz się, traci formę i będzie musiał znów zacząć od nowa. A tu startuje liga. Widzów jest jeszcze na czele tabeli, potrzebne są punkty i bramki, a napastników w Widzewie znów tak dużo nie ma.

Zadowolony był za to wiceprezes PZPN, Zbigniew Jabłoński, który oświadczył dziennikarzom: — „Nie zawiedli nas organizatorzy tournée — Antonio Rossellini i Luciano Damiani z Włoch, którzy wywiązali się ze wszystkich zobowiązań. Nie interesuje nas, ile na tym zarobili. My przywieźliśmy do kraju dwadzieście tysięcy dolarów, a więc sumę zagwarantowaną w kontrakcie oraz miłe wrażenie z kontaktów z tymi panami”.

Oświadczenie to wzbudziło różne uczucia i myśli wśród dziennikarzy, a Zbigniew Dutkowsky wyraził swoje niezadowolone w „Temple”. Jego zdaniem powinno być odwrotnie, powinniśmy interesować się, ile to dolarów nie poszło do naszej kieszeni, a do kieszeni sprytnych włoskich panów, którzy nieźle sobie na naszej naiwności zarobili. Jego zdaniem z tournée po Ameryce Południowej polska ekipa powinna przywieźć minimum 100 tysięcy dolarów, a nie 12 tysięcy. Na przykład zupełnie nie pomyślanie, że mecze z Polakami mogą być transmitowane przez tamtejszą telewizję i że za to się płaci. Ile zatem za nasze gapiostwo wzięli panowie Antonio Rossellini i Luciano Damiani? I kogo to ma interesować, że grosz nam należy się poszedł do zupełnie innej kieszeni?

Wszyscy wiemy, że jesteśmy biedni. Mamy potworne długi i to właśnie w dolarach. Z tego powodu wydaje się nam, że każdy dolar, który wpłynie do nas, to już więcej niż zero. To prawda, ale tylko częściowo. Na ogół dobrze płaci się temu, kogo się szanuje. Takie reguły gry obowiązują w interesach. Nie szanuje się zazwyczaj ośzwałonego partnera. Lekceważy się go i dalej ośzwabia. Jak się partner postawi, jak wysunie twarde żądania, jak umie ich bronić, to i kontrakt nabiera szacunku i inaczej rozmawia. A PZPN ulega każdemu, nie potrafi prowadzić dyplomatycznej gry, zadowolony się byle czym. Kto zatem będzie szanowany trzecią drużyną świata, jeśli ona sama i jej mocodawcy się nie szanują? Nie jest to pytanie bez sensu.

Biedny, jeśli chce, aby go bogaty szanował, musi się sam szanować. W piłce nożnej również. Innego wyjścia nie ma.

BOGDA MADEJ

W bezwietrznym powietrzu ogień szedł wysoko w górę, jeszcze wyżej szłyby iskry — złote, czerwone, białe. Na polach i w pobliskim lesie zalegała cisza, tym donośniej wydawał się trzask palących się kłoci i desek, palba pękających od żaru dachówek. Wiele widziano pożarów, zawsze słyszano coś jak skargę palącego się budynku, porykiwanie bydła, szczekanie psów, płacz kobiety. Tymczasem tartak płał bez żadnej skargi i gdyby nie ów trzask trawionych przez ogień belek i desek, można by rzec — że płał z godnością i majestatem.

W tym samym czasie Kristopher Bullow, pedząc skradzionym samochodem po autostradzie — także zobaczył rozlewającą się na horyzoncie lunę światła wielkiego miasta. Przypominała szalejący gdzieś daleko pożar, ale to był odbłask tysięcy światła ulicznych, neonów, oświetlonych okien, latarni na skwerach i wzdłuż ulic. Autostrada nagle wpadła w las. Światła reflektorów samochodu zaczęły ślizgać się po pnich drzew, daleka luna jak gdyby przystała, zaś bliskość lasu dodała Bullowowi odwagi. Wiedział już przecież czym jest las, w jego wnętrzu setki razy ledwo dostrzegalnymi drózkami przemierzał mrok na swojej izabelowej klaczy. To dziwne, że kiedyś czuł się w lesie jak za kratami więzienia, nienawidził mrocznych gaszczy i ta nienawiść połączyła go z Horstem Sobotą. Lecz las nie odzwierciedlał jego niechęci, a nawet uczynił coś dziwnego. W przejmującym zapachu drzew i mchów Bullow upewnił się ostatecznie, że człowiek ma jednak prawo kogoś lubić. Przestał się zachwycać sobą jako bezdusznym precyzyjnym mechanizmem, odkrył własne zupełnie mu dotąd nieznane potrzeby i marzenia. Być może las, o którym mówiono, że odbiera ludziom dusze, temu jednemu — ją oddał, ponieważ przyszedł do niego z pustką w sercu. I być może było winą tych kilku miesięcy spędzonych w lesie, że teraz — pedząc autostradą w skradzionym samochodzie — pozostał jednak Józefem Marynem, który się bardzo boi, podczas gry Kristopher Bullow nie odczuwałby lęku, a co najwyżej, rozumiejąc, że popadł w tarapaty, cały swój umysł skierowałby na najlepszy sposób wybrnięcia z tej sytuacji. Czy dawnemu Bullowowi przyszyby w ogóle przez myśl, aby znalazł się w niebezpieczeństwie tak po prostu ukradł z ulicy samochód i rzucił się do ucieczki, choć to narażało na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Wydawało mu się, że przyszedł do lasu wypełniony ziemią, ale dla jakiegoś przyczyni czynił dobro, niekiedy wbrew sobie. Być może w lesie wszystko pozostawało poza dobrem i złem w pojęciu ludzkim, a więc nie tymi kategoriami powinien oceniać własne postępy. Było bowiem faktem, że wystarczyło mu kilka dni oddychania powietrzem lasu a zaczęło go irytować skrzypienie łóżka nad głową, mimo że dawniej pozostawał na takie sprawy zupełnie obojętny. Skąd się wzięła w nim wówczas myśl o kobietach, które szły za mężczyzną, aby choćby z daleka i raz na dzień obrzucić ich miłosnym spojrzeniem? Dlaczego przenosił się do domu starego Horsta, zamiast pozostać u leśniczego Kuleszy? Cemu on, który mógł przytoczyć dziesiątki przykładów swej niezwykłej odwagi, wracając nocą od Kuleszy, gdzie dokonywała się sprawa najwzajemniejsza na świecie — miał posiadać żonę bez jej zgody — odkrył w sobie jakiś rodzaj tchórzostwa? Co było przyczyną, że nie chciał po raz drugi kelnierki z Gaud, skoro tak naprawdę nie wierzył w miłość wielką i prawdziwą? Dlaczego poszedł do nadleśniczego i zmusił go do przyjaźni, jeśli miał świadomość, że przed jej późniejszą Sobotą musi przegrać w walce z siłami lasu. Jak w ogóle sens ma sprawiedliwość oddana kościom zmarłych i jednemu staremu człowiekowi? Weronika sama przyszła do jego łóżka, aby jego ciało obsypać pieszczotami, czuł jej pożądanie, nie uczynił jednak żadnego gestu, aby okazać jej swoje pragnienie, gdyż bał się dotknąć jej okaleczonej duszy, nawet odrobnie zranic. I tak uciekał od niego z krzykiem, on jednak nie musiał się za to winić i to sprawiło mu zadowolenie. Dotąd znał przyjemność jaką daje drobna dobroć — kupno komus lubionych perfum, zabranie na ładną wycieczkę albo na wykwintną kolację. Teraz rozumiał, że jest jeszcze głębsza dobroć, a on stanął dopiero u jej brzozy.

Las się kończył, luna wielkiego miasta nabrała intensywniejszej barwy, spostrzegł niebieski neon ze strzałką wskazującą zjazd do motelu „Dębowa altana”. Na zgaszonych światłach podjechał na prawie pusty parking przed motelem. W niskim budynku dla gości prawie we wszystkich oknach było ciemno, może z powodu małej frekwencji, a może z powodu późnej pory. Opuścił samochód, rozmasował kark, parę razy głęboko wciągnął w płuca wilgotne jesienne powietrze przesycone zapachem rzeki, która płynęła nieopodal.

Hans Weber, kulawy Niemiec, który pracował dla Bullowa, dla Ivo Bundera, a może także jeszcze dla kogoś innego, gdyż przedzie czy później tak być musiał, mieszkał w małym domku na zapleczu motelu. Bullow był tu wiele razy za dnia i nocą. Przemknął więc na zapleczu i zapukał do okna mieszkania Hansa. Tak jak to było umówione: cztery mocne stuknięcia, potem przerwa, i znowu cztery mocne stuknięcia w szybę.

Usłyszał pokaskiwanie nalogowego palacza. Drzwi się otworzyły. Hans poznał go mimo ciemności.

— Nie jestem sam — ostrzegł Bullowa i znowu się rozkaszał. Był tylko w pidżamie.

Bullow nie pytał kto jest u niego. Jakaś dziwka czy przyjaciel. Kulejając Weber do mieszkania, na pidżamę nałożył ciepły płaszcz, szyję okrył szalikiem. W milczeniu poszli wysafalowaną alejką w kierunku rzeki.

— Musisz mnie przerzucić przez granicę — powiedział mu Bullow. — Wystarczy samochód dostawczy. Ukryjesz mnie wśród skrzyni i worków.

— Jesteś sam?

— Tak. Skradzionym samochodem.

— To wbrew zasadom. Tu nie może być nic trefnego — rozłoszczony Weber aż parsknął śliną i znowu się rozkaszał.

— Nie mogłem inaczej. W tej chwili mój pamięciowy rysunek rozesłano już do wszystkich posterunków granicznych. Jesteś skończony, rozumiesz? Nie mogę ryzykować jazdy przez granicę skradzionym samochodem.

O nic nie pytał. O takich ludziach jak Bunder czy Bullow naj lepiej i najbezpieczniej było niczego nie wiedzieć. Jak długo Hans Weber pracował w ich fachu? Chyba jeszcze od czasów wojny, miał teraz co najmniej sześćdziesiąt pięć lat. Kulawa no ga była pozostałością z czasów wojny. Może kiedyś ile wyłudawa na spadochronie?

— Najpierw musiny pozbyć się skradzionego wozu — rzekł Weber. Złość mu chyba minęła. Może pojął, że Bullow nie mógł postąpić inaczej? — Przyprawdź go tutaj. Trzydzieści metrów dalej jest skarpa i głębina. Zepchnijemy wóz do rzeki. Tylko nie zapalaj światła. Motel jest pełen gości.

Bullow wrócił na parking, w pięć minut później wjechał na wysafalowaną alejkę, gdzie czekał pokaskujący Weber.

Społobał mu się pomysł zrzuć samochodu ze skarpy. Znał to miejsce; skarpa była rzeczywiście wysoka, w dole rzeka tworzyła głęboką z ogromnym wirami. Weber był dobrym fachowcem, to oczywiste, że najpierw należało się pozbyć skradzionego wozu. Nie byłoby dobrze, gdyby na parking motelu „Dębowa altana” znalazł się samochód skradziony o trzysta kilometrów stąd. Co się stało z gościem, który ukradł samochód? Dlaczego właśnie tutaj zaparkował wóz? Bullow złamał ich prawa i będąc w niebezpieczeństwie zaczął narażać innych. „Ratuj się sam” — taka była zasada. Tylko że Bullow nie mógł się sam uratować.

Weber wsiał na miejsce obok kierowcy i w ciemnościach przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów.

— Stał! — rozkaszał.

Dalej była rzeka. Jeszcze dwa metry i stoczyliby się ze skarpy. Bullow zahamował gwałtownie i rozbiły czerwone światła stopu.

— Do diabła, wyłącz silnik i zdejmij kłeme z akumulatora — znowu rozloszczył się Weber.

Wysiedli z samochodu, Bullow podniósł maskę wozu, wyrwał kłeme. Ostrożnie, żeby nie wywołać trzasku, przymknął maskę.

— Sładz za kierownicą, bo wóz może skreślić. Kiedy będziesz na krawędzi skarpy, przestanie pchać wóz i wyskoczysz — instruował go Weber.

Bullow nie namyślając się znowu zasiadł za kierownicą. Chciał jak najprędzej zatrzeć ślady swojej głupoty.

Było ciemno i cicho. Gdzieś z dołu dochodził jedynie szum rzeki. Dopiero, kiedy przód wozu raptownie zaczął opadać ku dołowi, Bullow pojął, że Weber nie zatrzymał samochodu na skraju skarpy, spycha go do rzeki razem z wozem. Ile metrów dzieliło

Wielki las

(35)

ZBIGNIEW NIENACKI

brzeg skarpy od lustra wody? Cztery a może pięć. Na tej krótkiej przestrzeni Bullow wszystko zrozumiał i zdążył wyskoczyć, wpadając do wody tuż obok wozu. Głośny plusk wody, w którą uderzyła potężna masa żelaza zagłuszył zupełnie plusk wpadającego do rzeki ciała ludzkiego. Bullowa porwał silny prąd rzeki, ale wystarczyło kilkanaście mocnych ruchów rękami, aby dotknąć zarosli porastających brzeg. Tonący wolno samochód bulgotał głośno, zagluszając trzask i szelest zarosli, wspinającego się po skarpi Bullowa. Ślizgając się w przemoczonych butach i mokrym ubraniu, znalazł się wreszcie na górze. Weber zapalał papierosa i stojąc na skarpi, przysłuchiwał się cichaczemu bulgotaniu powietrza uchodzącego z tonącego samochodu.

Zaszedł go Maryn od tyłu. Kantem dłoni uderzył w kark, a kiedy tamten upadł, kilka razy kopnął go mocno w brzuch i klatkę piersiową. Potem pochylił się nad leżącym, zrewidował kieszenie jego płaszcza, zabrał z jednej stary niemiecki pistolet, a z drugiej paczkę papierosów i zapalniczkę. Z rekawów ciekła mu woda, trzy papierosy zamokły, zanim zapalił. Leżący na ziemi Weber zaczął pokaskiwać i wolno gramolić się na nogi.

— Musiałem tak zrobić... Chyba wiesz, że musiałem — mówił niewyraźnie. Wciąż męczył go kaszel.

— Daj mi suche ubranie. A jutro spróbujesz mnie przewieźć przez granicę.

Nie czuł nienawiści do tego człowieka, który przed chwilą usiłował go zabić. On, Bullow, być może postąpiłby tak samo, gdyby znalazł się w podobnej sytuacji. Nie przejeżdża się do kogoś ni stąd ni zowąd skradzionym samochodem.

Od niewidocznego w ciemnościach nurtu rzeki nie dochodziło już bulgotanie, samochód zatonał. Poczłapali w kierunku motelu; stary kulał jeszcze bardziej. Bolały go także uderzenia Bullowa jego kopniaki. Bullow pomyślał, że nie musiał tak mocno bić starego, w ogóle nie musiał go bić, bo i tak, gdyby znalazł się żywy za jego plecami, stary stałby się posłusznym. To dobrze jednak, że przeskakał mu kieszonkę i zabrał pistolet. Weber nigdy nie odda go w ręce policji, może jednak jeszcze raz spróbuje zabić. Z powodu Bullowa, który przyjechał tutaj skradzionym samochodem, zbyt wielu ludziom mogło grozić niebezpieczeństwo. Życie jednego człowieka za życie wielu innych — taki był zawsze rachunek i stary postąpił uczciwie wobec tych innych, którzy nie byli winni głupocie jednego człowieka.

— Zaczekaj — Weber zatrzymał się w pobliżu głównego budynku. W domu mam kogoś. Wezmę z recepcji klucz do wolnego pokoju, potem przyniosę ci suche ubranie. Wypoczniesz, a jutro przejeżdżemy granicę.

Po kilku minutach Bullow znalazł się w pokoju z łazienką i dwoma zasłanymi tapczanami. Dopiero teraz poczuł, że jest mu bardzo zimno i ciągnął za siebie mokre ubranie. Wyciął się w łazience ostrym ręcznikiem i owinał kocem, który znalazł w szafie. Sprawdził pistolet starego, stwierdził, że zawiera pełny magazynek, wsunął kulę do lufy. Kiedy rozległo się ciche pukanie, stanął za szafą z pistoletem gotowym do strzału.

Stary w milczeniu położył na łóżku wytarte dżinsy i gruby, czarny sweter, skarpetki i szary podniszczony płaszcz. Był prawie tego samego wzrostu co Bullow, więc te rzeczy powinny były na niego pasować. Na stoliku postawił żelazko, aby Bullow mógł wysuszyć przemoczone w kieszonki dokumenty.

Biorąc gorący prysznic raptem uświadomił sobie, że jest współwłaścicielem tego motelu. On i Ivo Bunder zlecił tylko Weberowi prowadzenie całego interesu i Ivo regularnie przekazywał Bullowowi część zysków. Bullow mógłby teraz zażądać od starego należności za te kilka minionych miesięcy, ale po co? Miał dość pieniędzy, należało je tylko odprasować żelazkiem, gdyż były mokre.

Dwie godziny zajęło mu suszenie dokumentów i pieniędzy, potem już ubrany w rzeczy starego, położył się na wznak na jednym z tapczanów i usiłował zasnąć. Potrzebny mu był wypoczynek, nie mógł jednak zasnąć. W myślach przywoływał w pamięci jakiegoś ważnego sprawę, żeby rozluźnić tkwiące w nim napięcie nerwowe, ale wciąż, nie wiadomo dlaczego, pojawiał mu się w mózgu obraz, kiedy zobaczył samochód zaparkowany przed jakimś domem i do tego nie zamknięty. Wskoczył za kierownicę, wyrwał przewody ze stacyjki, położył je na krótko i odjechał wolno, aby nie zwrócić na siebie uwagi policjantów na skrzyżowaniach. Na przednim siedzeniu obok kierowcy leżała duża dziecięca piłka, właściciel tego wozu miał małe dziecko albo dzie-

ci. Ucieszył go ten przedmiot, bo gdyby go przypadkowo zatrzymał policjant i zajął do wozu, zobaczywszy tę piłkę pomyślałby, że ma do czynienia z jakimś nobliwym obywatelem, który posiada dom, żonę, małe dzieci. Ale gdy wyjechał z miasta ów przedmiot zaczął go irytować. Nagle przykra mu się stała myśl, że jakieś dziecko będzie rano płakać, gdyż ktoś ukradł samochód razem z jego piłką. Przerzucił piłkę na tylnie siedzenie, żeby jej nie widzieć. Teraz piłka spoczęła na dnie rzeki razem z wozem. To było w stylu Józefa Maryna — litować się nad starcem, któremu chcieli odebrać dom, nad kobietą, która nie mogła przyjąć w siebie mężczyzny, nad dzieckiem, któremu skradziono piłkę. Dlatego Józef Maryn nie zdołał uciec z tej piekielnej pułapki, zrobić to może wyłącznie Kristopher Bullow. I on musi być Bullowem. Tak długo aż znajdzie się na płycie lotniska w kraju i zgłosi się do ubranego w mundur wojskowy strażnika, który przywoła oficera: „Panie poruczniku, jakiś cudzoziemiec przyjechał bez wizy”. Przekięta kolorowa piłka. Dlaczego nie może przestać myśleć o niej i ona nie pozwala mu rozluźnić napiętych nerwów?

Przyszedł świt, Weber nie zjawił się. W Bullowie zaczęły kielkować podejrzenia. Wciąż zrywał się z tapczana, odchylając zapuszczone na okna żaluzje, obserwował podjazd do motelu. Włók jednak z tego okna miał bardzo ograniczony — kawałek trawnika, kilka drzew i malutki odcinek asfaltowej drogi na autostradzie. W sąsiadującym z nim pokoju po lewej stronie słyszał krzątanie, potem jakiś mężczyzna wyniósł walizkę i chyba odjechał. Bullow pomyślał, że mógłby na wszelki wypadek przynieść się do tamtego pokoju. Siworyłoby to jednak niebezpieczeństwo, że ktoś zauważył jak manipuluje przy zamku. Musiał więc czekać i co chwila spoglądał na zegarek, który nie przestał chodzić mimo kapieli w rzece. Kiedy minęła dziesiąta rano Bullow doszedł do wniosku, że znowu zachował się jak głupiec. Należało zabić starego i wrzucić go do rzeki, potem z pistoletem w reku wejść do jego mieszkania i tego kogoś, kto tam był, choćby i wynajętą dziewczynę, zmusić do natychmiastowego wyjazdu w kierunku granicy. W motelu była półcieżarówka, Weber przewoził nią produkty do motelowej restauracyjki. Pod workami i skrzynkami w półcieżarówce można było Bullowa przewieźć przez granicę bez większego ryzyka. Ale Bullow od początku miał pecha. Mogłoby się okazać, że dziewczka u Webera nie ma prawa jazdy. Albo, że nie jest to dziewczka, tylko także ktoś z ich fachu, kto natychmiast Bullowa załatwiłby rzecznikiem. Tak naprawdę nie żałował, że nie zabił starego. Nigdy dotąd nie zabił człowieka, ale też nigdy dotąd nie znajdował się w takiej sytuacji. Było w tym wszystkim trochę jego winy — zaczął mieć niewłaściwe reakcje. Niepotrzebnie wybiegł frontowymi drzwiami, zamiast tyłem przez ogród. Tak zachowuje się człowiek niewinny, jak gdyby w jego sytuacji można było pozostać niewinnym. Już wsiadając do samolotu rozumiał, że musi zabić w sobie Józefa Maryna, bo spartaczył robotę. Uciekał frontowymi drzwiami, gdyż czuł się niewinny, potem zamierzał pozostać w mieście, choćby w mieszkaniu przy Square Saverin, a jednak ukradł samochód, bo chciał jak najszybciej znaleźć się w kraju, gdyż jego podświadomością rządził Józef Maryn.

Dopiero koło jedenastej rano usłyszał pokaskiwanie starego i natychmiast zerknął ku niemu przez uchyloną żaluzję. Stary niósł w ręku plastikowe pudełko i gazetę.

— Samochód zatonał. Nie widzę go. Gazety podały twój rysopis. Zdecydowałem, że najlepiej będzie jeśli wieczorem spróbujemy przejechać granicę. Na ogół nie sprawdzają dokładnie takich jak ja, z przygranicznymi moteli. Kupujemy różne rzeczy tam, gdzie taniej. Przyniosłem ci śniadanie.

Bullow poczuł głód. W plastikowym pudełku były sandwiche, stary wyjął z kieszeni płaszcza termos z czarną kawą.

— Samochód zatonał. To bardzo dobrze — konkludował Bullow.

— Owszem. Gdyby było widać dach, musiałbym się i ciebie pozbyć — obojętnie rzekł Weber.

— Co to znaczy: pozbyć? — Bullow przestał jeść.

Stary zrobił nieokreślony ruch ręką, który mógł wyrażać wszystko: wyjazd Bullowa albo zabicie go.

— Nie lubię takich żartów — Bullow wrócił do jedzenia.

— To nie są żarty — stary położył na stole gazetę. — Przeczytałem ją. Radzę ci siedzieć tu spokojnie do wieczora. Przynieś ci kolację i przygotuj wóz do drogi. Nie rób żadnych głupstw. Nie wychodź stąd.

Odszedł i wtedy Bullow sięgnął po gazetę. Wiadomość była na pierwszej stronie: „Zabójstwo Claude Imberta, właściciela lombardu”. Obok widniał pamięciowy portret Kristophera Bullowa, nawet dość wiernie oddający jego rysy. Nie istniała więc możliwość, aby bez pomocy Webera przedostał się przez granicę.

Najedzony poczuł zmęczenie. Wyciągnął się na tapczanie i wkrótce pograżył się w czujnym śnie, który pozwalał słyszeć głosy za ścianą i kroki przed motelem. Horst Sobota powiedział mu kiedyś, że tak właśnie zimą zasypia las. Wszystkie drzewa zdają się być niemal martwe, wystarczy jednak wejść w głąb lasu, w mateczniki albo bagna, aby z nagle obsypał człowieka rozpylony śnieg z nisko rosnącej gałęzi, poraził krzyk ptaka, pochrząkiwanie żuków. Na śniegu widniało mnóstwo śladów, które mówiły, że nawet w porze zimy i mrozów w lesie trwała nieustanna krzątanie. Maryn nigdy nie widział zimowego lasu, przybył tam wczesną wiosną i zniknął wczesną jesienią. Czy zobaczy kiedyś zimowy las? Czy ktoś o nim jeszcze tam myśli, pamięta go, wspomina, tęskni?

CDN



Rys. Janusz Szymański Glanc